ZUŻYTA PIĘĆSETKA
Kto przebije program PiS

KULT PRZEMOCY
Ekskomunika dla włoskiej mafii

INDIE BEZ TLENU
Państwo zawiodło, obywatele na ratunek

DRZEWA MÓWIĄ
o zmianach klimatu i upadkach kultur

WSTRĘTNA GRA
Skąd się wzięła piłka nożna

Kraków 13 czerwca 2021 nr 24 (3753) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Sposób na piękne lato

Wakacje: jak się cieszyć mimo wszystko

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TP Historia: WIŚLNA 12

Opowieść o „Tygodniku Powszechnym”, czyli wszystkie światy pod jednym adresem

Ponad 75 lat na ul. Wiślnej to 75 lat historii polskiej kultury, polskiego Kościoła, polskiej inteligencji i polskiego dziennikarstwa. W wydaniu:

- prawdziwa historia „Tygodnika” i jego zespołu
- wiele niepublikowanych dotąd zdjęć i nowe teksty
- piszą i rysują m.in. ks. Adam Boniecki, Kalina Błażejowska, Olga Drenda, Anna Goc, Stefan Kisielewski, Ryszard Koziołek, Michał Kuźmiński, Stanisław Lem, Bartosz Minkiewicz, Sławomir Mrożek, Michał Okoński, Paweł Sołtys, Ewa Szumańska, Leopold Tyrmand, Marcin Wicha.

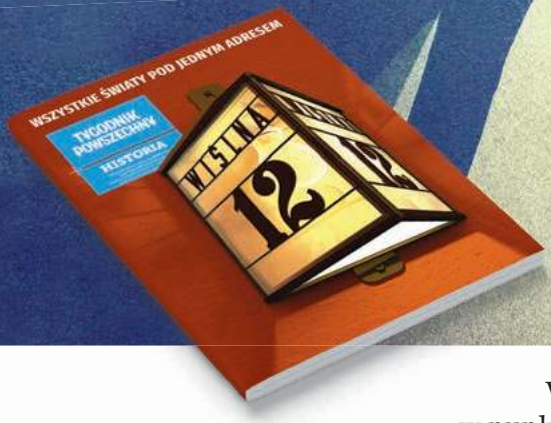

weź, czytaj!

Wydanie dostępne w punktach z dobrą prasą i na **powszech.net/wislna12**

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

WYDANIE WSPIERA

zaiks sprzyjamy wyobraźni

PARTNERZY WYDANIA:

Kraków

KONRAD ADENAUER STIFTUNG

ECS europejskie centrum solidarności

DRZE KRÓJ Fundacja

znak

Polska Rada Biznesu

Copernicus Center

Fundusz Obywatelski im. Henryka Wujca

Walstead

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / RYS. JOANNA RUSINEK

KS. ADAM

Boniecki: *Synodalność nasza*

Chcę napisać jeszcze o najbliższym synodzie biskupów, choć już pisał o tym Piotr Sikora w poprzednim numerze „Tygodnika" („Ważny głos każdego"). Piotr – jak zwykle jasno i konkretnie – pokazał, na czym polega nowość przygotowywanego synodu: że ma być nie wydarzeniem, lecz procesem, który najszerszym kręgom wiernych zapewni możliwość uczestnictwa, i że jest to krok rzymsko-katolickiego Kościoła w kierunku synodalności, która owocnie funkcjonowała w Kościele pierwszych wieków, ale później „różne zawirowania historyczne sprawiły, że nie funkcjonuje ona we właściwy sposób".

Początkowo (za Pawła VI) celem synodu biskupów była ścisła współpraca papieża i biskupów całego świata. Synod miał ułatwiać dochodzenie do ustalania wspólnych opinii przynajmniej co do zasadniczych kwestii doktrynalnych i życia Kościoła. Interpretując myśl papieża Franciszka, kardynał Mario Grech, sekretarz generalny obecnego Synodu, powiada w wywiadzie dla „Vatican News", że „dojrzał czas szerszego udziału ludu Bożego w procesie decyzyjnym, w sprawach dotyczących całego Kościoła i wszystkich w Kościele". Przypomniał, że papież Franciszek często wspomina o konieczności wsłuchiwania się w *sensus fidei* – zmysł wiary ludu Bożego, który – cytuję – „sprawia, że wierząc jest on [lud Boży] nieomylny" w myśl starożytnej zasady, że „wszyscy wierni nie mogą się mylić w wierze". Zresztą Sobór Watykański II mówił wyraźnie o udziale ludu Bożego w profetycznej funkcji Chrystusa. Ten profetyczny głos można usłyszeć tam, gdzie żyje Kościół, a więc w Kościołach lokalnych.

Starożytna zasada głosi, że „to, co dotyczy wszystkich, musi być debatowane przez wszystkich". Stąd podstawą synodalności ma być gigantyczna „akcja słuchania". Dokument przygotowawczy, *vademecum* oraz kwestionariusz zostaną przesłane do kurii rzymskiej, do wszystkich diecezji, do Unii Wyższych Przełożonych Zakonów, wspólnot życia konsekrowanego, międzynarodowych ruchów i na uniwersytety oraz wydziały teologiczne. Każdy będzie miał prawo przedstawić swoje zdanie. Konsultacje diecezjalne zakończą się diecezjalnym spotkaniem przedsynodalnym, a wypracowane materiały zostaną przekazane do episkopatu. Materiały opracowane przez episkopat krajowy zostaną przekazane episkopatowi kontynentalnemu, by ostatecznie, w postaci opracowanego przez Sekretariat Synodu dokumentu roboczego nr 2, trafić na synodalne zgromadzenie biskupów w październiku 2023 r.

Piotra Sikorę, a pewnie nie tylko jego, niepokoi to, że na poszczególnych etapach prac synodalnych głosy ludu Bożego będą oceniane (syntetyzowane? odrzucane? eksponowane?) przez biskupów. Odpowiedź kardynała Grecha jest prosta: zgromadzenie synodalne nie jest parlamentem, nie działa jak parlament, a biskupi „są zasadą i fundamentem jedności ich Kościołów lokalnych". Do nich należy zadanie rozeznania. „Moim zdaniem – powiada sekretarz generalny Synodu – siła procesu (synodalnego) polega na wzajemności konsultacji. To jest owocna zasada, która może służyć rozwojowi synodalności". Kardynał jest realistą, dodaje więc, że dopiero doświadczenie tego synodu nauczy nas, czym jest synodalność i jak ją realizować.

My mamy swoje doświadczenia synodalności, jak duszpasterski synod archidiecezji krakowskiej (1972–1979). Podstawą jego prac był dorobek blisko pięciuset synodalnych zespołów studyjnych, złożonych przede wszystkim ze świeckich. Mamy też doświadczenie „Kościoła słuchającego" w postaci biskupów, którzy na systematycznie organizowanych, otwartych spotkaniach z wiernymi słuchają ludu Bożego i odpowiadają na podnoszone przez nich kwestie. Wiemy więc dobrze, że synodalność to nie prosta sprawa. Z propozycjami uzdrawiania Kościoła czasem występują ludzie, którzy Kościoła, znając go z daleka, nie rozumieją. Ci zaś, którzy żyją w Kościele, zwłaszcza jeśli się czują za Kościół odpowiedzialni, są sparaliżowani lękiem, że ruszenie czegokolwiek w istniejącym systemie może doprowadzić do katastrofy. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Anita Piotrowska nagrodzona!

Podczas Krakowskiego Festiwalu Filmowego odbyło się wręczenie nagród Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. Otrzymały je w tym roku dwie krytyczki: Anita Piotrowska – nasza recenzentka i redaktorka – oraz Maria Malatyńska; obie od lat związane z festiwalem.

Nagrody ZAiKS-u to wyróżnienie dla twórców podejmujących w swoich utworach literackich, publicystycznych oraz filmowych i telewizyjnych szeroko pojętą tematykę funkcjonowania i rozwoju mediów, ochrony praw autorów i popularyzacji ich dorobku. Przyznawane są corocznie od 1966 roku. Laureatkom serdecznie gratulujemy!

zaKS sprzyjamy wyobraźni

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Pusty tron hegemona
PAWEŁ MARCZEWSKI
Chociaż polityczny efekt 500 plus został poważnie zachwiany, na razie nie widać programu, który mógłby skutecznie zająć jego miejsce.

30 Przestępcze związki
ROZMOWA Z VITTORIO ALBERTIM, KOORDYNATOREM WATYKAŃSKIEJ GRUPY DS. EKSKOMUNIKI MAFII:
Biskupi powinni mieć doktrynalne wsparcie, gdy wskazują, że działalności mafijnej nie da się pogodzić z Ewangelią.

40 Gdy umilkły dźwięki
TOMASZ AUGUSTYNIAK Z BANGKOKU
Kiedy pod naporem epidemii w Indiach załamał się system opieki zdrowotnej, mieszkańcy największych miast i lekarze zaczęli organizować się oddolnie.

54 Śmiech szalony, gorzkie łzy
KRZYSZTOF TARKA
Festiwal w Opolu, jedna z masowych imprez muzycznych w PRL, stale był na celowniku cenzury i bezpieki.

64 Marzenie i strach
WOJCIECH ENGELKING
Przeczytał na studiach słynne pytanie Saula Bellowa: „Kto jest Tołstojem Zulusów?". Zajęło mu dwie dekady, nim znalazł odpowiedź: Tołstojem Zulusów jest Tołstoj.

78 Ta wstrętna gra
MICHAŁ OKOŃSKI
Dziś, gdy zaczynają się mistrzostwa Europy, futbol niesie przesłanie wolności, równości i braterstwa. Pomaga zwalczać uprzedzenia i leczyć rany po straszliwej pandemii. Ale nie zawsze tak było.

JAKUB WŁODEK / AGENCJA GAZETA // CRISTIAN GENNARI / MATERIAŁY PRASOWE // ALEKSANDER JAŁOSIŃSKI / FORUM // BETTMANN / GETTYIMAGES // JOEL LE GALL / MAXPPP / FORUM // TAUSEEF MUSTAFA / AFP / EAST NEWS

6 Ewangelia przed urzędem
PIOTR SIKORA

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Pusty tron hegemona
PAWEŁ MARCZEWSKI

24 Dziwne, że się dziwicie
ROZMOWA Z BEATĄ POTOCKĄ, MATKĄ ADOPCYJNĄ I ZASTĘPCZĄ:
To nieprawda, że porzucone dzieci z ciężkimi niepełnosprawnościami muszą być w placówkach. Są tam, bo się na to godzimy

27 Lewandowski na wagę
KRZYSZTOF STORY:
Koszulki piłkarskie nie muszą służyć tylko do zarabiania. Czasem mogą dostać drugie życie. I zmienić człowieka

WIARA

30 Przestępcze związki
ROZMOWA Z VITTORIO ALBERTIM

34 Cisza w Watykanie
MARTA ZDZIEBORSKA:
W Kanadzie po raz kolejny rozgorzała dyskusja na temat współodpowiedzialności Kościoła za krzywdy wyrządzone rdzennym mieszkańcom

37 Szczerze o Kościele
MACIEJ MÜLLER *o tym, czy z rozmowy między o. Szustakiem a abp. Gądeckim może coś wyniknąć*

ŚWIAT

40 Gdy umilkły dźwięki
TOMASZ AUGUSTYNIAK Z BANGKOKU

46 Słowa nie wystarczą
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA:
Rząd niemiecki chce przeprosić namibijskie plemiona za ludobójstwo sprzed ponad wieku. Ich członkowie wolą reparacje

TEMAT TYGODNIKA

MAREK ZALEJSKI

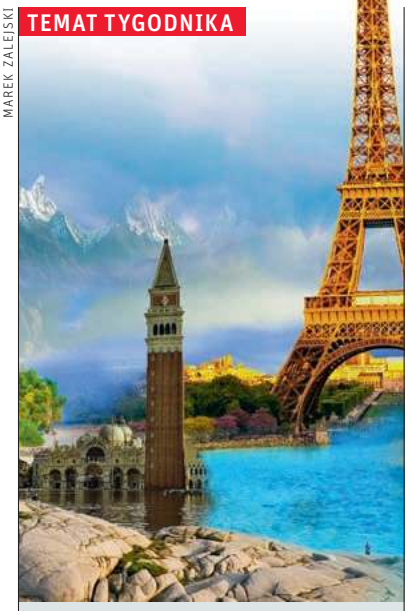

12 Sposób na piękne lato
MARCIN ŻYŁA
Czekaliśmy na nie długo, jak na symbol normalności. Ale po ponad rocznym lockdownie wracamy do nieco innego świata. Oto jak będzie wyglądał w wakacje.

FELIETONY

29 JACEK PODSIADŁO
39 WOJCIECH BONOWICZ
62 HANNA KRALL
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: JOANNA RUSINEK DLA „TP"

Redaktor prowadzący:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

48 Niechciana miłość Elisy
PATRYCJA BUKALSKA: *Do końca czerwca Europejczycy żyjący w Wielkiej Brytanii muszą zalegalizować swój pobyt*

50 Okop z widokiem na dom
MONIKA ANDRUSZEWSKA SPOD DONIECKA: *Gdy Rosja zaatakowała Ukrainę, swoją ziemię opuściło półtora miliona ludzi. Wrócić nie mogą. Niektórzy jadą na front, by choć popatrzeć*

52 Wielka restauracja
WOJCIECH KONOŃCZUK *o największym w historii niepodległej Ukrainy programie odnowy zabytków*

HISTORIA

54 Śmiech szalony, gorzkie łzy
KRZYSZTOF TARKA

NAUKA

58 Co mówią słoje
KAMIL KOPIJ: *Analizy rocznych przyrostów drzew dają bogaty wgląd w życie w minionych epokach*

KULTURA

64 Marzenie i strach
WOJCIECH ENGELKING

68 Powrót: dwa z czterdziestu i czterech
DARIUSZ KOSIŃSKI
o dwóch premierach po otwarciu teatrów

70 Kant z Kantorem
PIOTR KOSIEWSKI: *Tegoroczny Miesiąc Fotografii w Krakowie miał się otworzyć na wydarzenia ostatnich miesięcy. Ale zadziałała polityczna cenzura*

74 Pogranicze w proszku
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Magnezja"*

76 Podróż niesentymentalna
LEKTOR *o książce „Autobiografia w sensie ścisłym, a nawet umownym" Jerzego Pilcha*

ZMYSŁY

78 Ta wstrętna gra
MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Rosyjska ruletka
Putinizm skończył w tym roku dwadzieścia jeden lat i wszedł w nową, dojrzałą fazę – pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** w nowym specjalnym serwisie „TP". Jej teksty o Rosji dostępne na naszej stronie co czwartek **tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka**

Własny pokój [Podkast Powszechny]
Jest takie pojęcie: „wystarczająco dobra matka" – i to mi się podoba. Po prostu robiłam wszystko najlepiej, jak umiałam – opowiada ilustratorka **IWONA CHMIELEWSKA** w rozmowie z **KATARZYNĄ KUBISIOWSKĄ** **tygodnikpowszechny.pl/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

EWANGELIA PRZED URZĘDEM

Jeden z najważniejszych kościelnych hierarchów w Niemczech zrezygnował z urzędu – uznając swą odpowiedzialność za zło w instytucji Kościoła.

PIOTR SIKORA

Kardynał Reinhard Marx, arcybiskup Monachium i Fryzyngi, 21 maja przekazał papieżowi list, w którym poprosił o przyjęcie jego rezygnacji z urzędu biskupa. Franciszek jak dotąd nie podjął decyzji, ale w piątek 4 czerwca pozwolił kardynałowi podać treść listu do publicznej wiadomości.

Jest to o tyle ważne, że nadaje działaniu kardynała Marksa symboliczne znaczenie. Arcybiskup Monachium przyznaje bowiem, że to instytucja Kościoła – przez całokształt swojego funkcjonowania – ponosi odpowiedzialność za „katastrofę molestowania seksualnego" dokonywanego przez ludzi pełniących w niej urzędową rolę, tj. przez księży i niektórych biskupów. Kardynał Marx stwierdza też, że Kościół instytucjonalny „znalazł się w martwym punkcie".

Były przewodniczący niemieckiego episkopatu przyznaje jednocześnie, że on sam, będąc biskupem przez dwie dekady, współkształtując więc tę instytucję, jest współodpowiedzialny za nagromadzone w niej zło. Chodzi też o odpowiedzial-

Kardynał Reinhard Marx, arcybiskup Monachium i Fryzyngi, po nabożeństwie w kościele parafialnym św. Konrada w Haar. Niemcy, Bawaria, 6 czerwca 2021 r.

ność osobistą – sam Marx na początku swojego biskupiego urzędowania, jeszcze w diecezji w Trewirze, zachował się w sposób, który dziś ocenilibyśmy negatywnie – nie wykazał dostatecznej empatii wobec ofiar jednego z księży, nie wszczął też wobec niego postępowania kanonicznego, gdy ten przyznał się do molestowania świeckim śledczym (komisja mająca dokładnie zbadać ówczesne wydarzenia i działania kardynała Marksa jeszcze pracuje).

Oceniając rezygnację arcybiskupa Monachium i Fryzyngi, trzeba jednak pamiętać, że jego osobiste zaniedbania nie są cięższe niż w przypadku większości biskupów, którzy w przeszłości mieli do czynienia z przypadkami krzywd seksualnych wyrządzonych przez księży. Reinhard Marx postępował w Trewirze w 2006 r. w sposób, który pasował do najpowszechniejszego typu funkcjonowania kościelnych instytucji. I – jego list do papieża sugeruje to wyraźnie – właśnie ta sytuacja jest powodem jego obecnej rezygnacji.

W późniejszych latach kardynał Marx był jednym z tych hierarchów, którzy najbardziej zaangażowali się w reformę Kościoła w tym obszarze i – można przypuszczać – ocenia jej postępy bardzo negatywnie. Jego rezygnacja ma być, jak wyraża to w liście, osobistym sygnałem potrzeby „nowego początku", znakiem, że „nie urzędy są najważniejsze, lecz misja Ewangelii".

Znak to tym bardziej znamienny, że inny niemiecki kardynał, arcybiskup Kolonii Rainer Maria Woelki, wobec którego również padają zarzuty w kwestii reagowania na przestępstwa seksualne, stwierdził, iż nie zamierza rezygnować z urzędu. Wśród kościelnych hierarchów ujawniają się – jak widać – dwie postawy: jedni odmawiają przyznania, że sposób funkcjonowania instytucji kościelnych jest jednym ze źródeł zła (krzywd seksualnych doznanych przez najsłabszych) i bronią się przed wzięciem na siebie części odpowiedzialności. Drudzy tę współodpowiedzialność gotowi są uznać i ustąpić miejsca, jeśli może to pomóc w nawróceniu i reformie Kościoła.

Jak jednak pokazują reakcje innych biskupów na rezygnację kardynała Marksa – w swoim postępowaniu będzie on, przynajmniej na razie, osamotniony. ©

MATTHIAS BALK / AFP / EAST NEWS

Powrót Tuska, akt trzeci

KAROLINA LEWICKA

Donald Tusk znowu to zrobił – zasugerował, że wraca do krajowej polityki. „Mentalnie, emocjonalnie, życiowo jestem w stanie podjąć każdą decyzję, by pomóc odwrócić ten bardzo niebezpieczny dla Polski bieg zdarzeń" – powiedział w telewizyjnej rozmowie. Choć żadne deklaracje nie padły, niektórzy politycy PO już ogłosili „powrót króla". To tzw. stara gwardia, dla której były premier wciąż jest symbolem potężnej partii i zwycięskich kampanii.

Czerwonego dywanu raczej nie rozwinie mu Borys Budka, bo to on miałby – jak plotkuje się w PO – ustąpić Tuskowi miejsca w fotelu przewodniczącego partii. Panowie rozmawiali już kilka tygodni temu, Tusk zapowiedział, że w czerwcu spotkają się ponownie. Na byłego premiera nie czekają też politycy skupieni wokół Rafała Trzaskowskiego, bo to w nim widzą przywódcę. Na taki potencjał prezydenta Warszawy wskazują zresztą sondaże. Trzaskowski jest nie tylko liderem rankingu zaufania, ale też – obok Szymona Hołowni – wymarzonym kandydatem na premiera elektoratu opozycji, który raptem rok temu sprawdził się w wyborach prezydenckich.

„Tusk tak wraca, że wrócić nie może" – tak do sprawy odniósł się Joachim Brudziński (PiS). I coś w tym jest. Najpierw, w listopadzie 2018 r., była Łódź, gdzie ówczesny szef RE apelował do rodaków, by nie czekali na kolejnego Andersa, tylko sami pokazali, że „wiosna może być nasza". Między wierszami wyczytano, że jest gotów stanąć na czele jakiejś poważnej siły. Ale kiedy powstała Koalicja Europejska, Tusk wspierał ją z boku, a po przegranej z PiS-em odtrąbił swój odwrót, czego dowodem było przemówienie gdańskie. Liczono, że w 30. rocznicę wyborów czerwcowych zapowie osobistą walkę o Polskę, ale otrzymano garść motywacyjnych porad („Nie należy się nigdy poddawać. Trzeba wierzyć w zwycięstwo"). Wreszcie miał wrócić na wybory prezydenckie, ale wycofał się, gdy opozycja znów przegrała wybory (parlamentarne w 2019 r.). Ponoć teraz – jak usłyszałam od kierownictwa PO – wraca jednak „na poważnie".

Tusk chce być budowniczym „nowego ładu" po stronie opozycji, rozmawia z Polską 2050 i ludowcami. Trudno ocenić, w jakiej roli byłby do zaakceptowania dla liderów: przywódcy czy wyłącznie mediatora. Rzecz ma się rozstrzygnąć jeszcze przed wakacjami. Wtedy też okaże się, jaka jest siła sprawcza byłego premiera po siedmiu latach nieobecności. ©

Autorka jest dziennikarką radia Tok FM.

Polska między falami

KORONAWIRUS ODŻYŁ w Wielkiej Brytanii, powodując nawet ponad 6 tys. nowych zakażeń dziennie. Nie wzrosła jednak liczba hospitalizacji – co może wskazywać na to, że w społeczeństwie w dużym stopniu wyszczepionym (ok. 60 proc. przynajmniej jedną dawką) wirus wprawdzie się rozprzestrzenia, ale nie wywołuje ciężkiego przebiegu choroby. Na Wyspach dominuje już wariant indyjski – bardzo zakaźny, przed którym skutecznie chronią dopiero dwie dawki szczepionki.

To ważne memento dla Polski: w naszym kraju do odporności zbiorowej droga daleka, a nie wyszczepiliśmy w wystarczającym stopniu nawet grup ryzyka. Lekarze rodzinni są zaskoczeni, w jak wielu przypadkach spotykają się z odmową seniorów. Środowisko lekarskie podpowiada – nie po raz pierwszy – że tę grupę najskuteczniej przekonaliby duchowni. Nową kartą do rozegrania jest uruchomienie szczepień dzieci od 12. roku życia.

Narodowy Program Szczepień pozornie ma się dobrze, ale wysokie wskaźniki z ostatnich dni to efekt wizyt po drugą dawkę. Rejestracji w systemie jest coraz mniej. Rząd na razie nie sięga po narzędzia przymusu i stawia na perswazję: osoby niezaszczepione mogą spodziewać się telefonów od konsultantów. Według NFZ skuteczność takiej metody sięga 25 proc.

Eksperci nie pytają już, czy czwarta fala nadejdzie. To jest właściwie pewne. Prawdopodobnie jednak – dzięki zaszczepionej części populacji – szpitalom nie zagrozi już paraliż, mniej będzie również przypadków ciężkich i śmiertelnych. Ale nadal trzeba się liczyć z powrotem części obostrzeń sanitarnych.

©℗ MACIEJ MÜLLER

Jak Prezes zniesławił prezesa

SZEF NIK w zeszłym tygodniu skierował do prokuratury wniosek przeciw Jarosławowi Kaczyńskiemu. Prezes PiS nie tylko zlekceważył w wywiadzie prasowym poprzednie zarzuty NIK pod adresem m.in. premiera w sprawie wyborów kopertowych („mówienie o jakimś złamaniu prawa jest wielkim nieporozumieniem"), ale podważył też wiarygodność Mariana Banasia, opisując go jako człowieka, „wobec którego toczą się poważne śledztwa". Banaś we wniosku powołuje się na artykuły kodeksu karnego dotyczące m.in. wywierania nacisków na organ państwa oraz zniesławienia. Obóz władzy próbuje na wszelkie sposoby zneutralizować swojego dawnego nominata, zrozumiałe więc, że ten się broni. Warto jednak zauważyć, że obecne wnioski są marnej jakości „batem" na Kaczyńskiego. Środowiska prawnicze i medialne od dawna walczą bowiem o zniesienie lub zmianę art. 212, który w obecnej postaci szkodzi wolności słowa. Poważne prace w tym kierunku inicjował np. RPO Adam Bodnar. Podległa Zbigniewowi Ziobrze prokuratura zapewne ukręci łeb wnioskowi Banasia, ale nawet gdyby trafił do sądu, należałoby oczekiwać oddalenia zarzutu. Za to solidny, tyle że polityczny a nie karny, zarzut przeciw sobie Kaczyński sam w tym wywiadzie podał na tacy, twierdząc, że wybory kopertowe to jego „osobista decyzja". ©℗ PB

Przegrana bitwa o handel

JUŻ DZIESIĘĆ sieci handlowych (z premedytacją nie podajemy ich nazw) omija lub zapowiada obejście zakazu handlu w niedziele, korzystając z luki prawnej umożliwiającej formalną zmianę sklepów w „placówki pocztowe". Organy państwa na razie nie reagują, co wygląda na milczące przyzwolenie dla łamania zakazu, który nie zdobył w Polsce społecznej aprobaty. Rządzącej partii, czułej na kwestionowanie jej poczynań chociażby przez trybunały międzynarodowe, nie przeszkadza nawet to, że jednym z podmiotów ułatwiających sieciom handlowym rzekome wejście w biznes pocztowy jest Ruch, wykupiony niedawno przez kontrolowany przez Skarb Państwa PKN Orlen.

Wiele wskazuje więc na to, że zakaz handlu w niedziele będzie w Polsce stopniowo zmieniać się w martwy przepis. Rząd nie może się zeń wycofać, nie narażając się ważnym ideologicznym sojusznikom (biskupi już mówią w tej sprawie „non possumus") oraz koalicjantom (Solidarność wnosi o zmianę przepisów, która zakaże wszystkim placówkom pocztowym posiadania koncesji na sprzedaż alkoholu). A jednocześnie chciałby przypodobać się wyborcom, którzy nie zamierzają rezygnować z niedzielnych zakupów. Politycy po raz kolejny wolą więc zagrać w ulubioną grę i udawać, że nie dostrzegają niewygodnych faktów. ©℗ MR

KRAJ W SKRÓCIE

POLSKI NIEŁAD
Korki pod Warszawą i Krakowem, zatkana zakopianka i trasy znad morza, długie rzędy samochodów przy bramkach autostradowych – Polacy wrócili z pierwszego długiego weekendu po zluzowaniu obostrzeń antycovidowych.

PRZEMEK ŚWIDERSKI / REPORTER

POLSKI ŁAD
Tymczasem Jarosław Kaczyński na spotkaniu z działaczami PiS w Rzeszowie powiedział, że „sezon na spanie się skończył": mobilizował podwładnych przed wyborami na prezydenta tego miasta i wzywał do promowania Polskiego Ładu.

POLSKI PAN
Wśród obudzonych znalazł się Ryszard Terlecki. „Jeżeli Cichanouska chce reklamować antydemokratyczną opozycję w Polsce i występować na mityngu Trzaskowskiego, to niech szuka pomocy w Moskwie" – skomentował udział liderki białoruskiej opozycji w imprezie zorganizowanej przez prezydenta Warszawy.

POLSKA PANI
Tymczasem wyrwane z kontekstu zdanie z wywiadu Olgi Tokarczuk dla włoskiego dziennika (pisarka nie zrównywała Polski z Białorusią, choć tak mogło wynikać z tytułu) doprowadziło grupę prawicowych internautów do zorganizowania akcji odsyłania jej książek. W odpowiedzi fundacja imienia noblistki poinformowała, że wszystkie odesłane egzemplarze przekaże na aukcję wspierającą organizacje broniące praw osób LGBT+.

Izrael: nowa era

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Cokolwiek się teraz stanie, miniony tydzień przejdzie do historii Izraela: po raz pierwszy od 12 lat kraj ma szansę na rząd bez Beniamina Netanjahu.

Ogłoszone przez Jaira Lapida porozumienie koalicyjne wydaje się wręcz nieprawdopodobne, bo obejmuje egzotyczny zestaw polityczny: od lewicy (partie Merec i Ha-Avoda), przez centrum (Kahol-Lavan i Yesz Atid) oraz prawicę (Jamina, Tikva Hadasza i Israel Beitenu) aż po – to największa niespodzianka – Zjednoczoną Listę Arabską (Ra'am). Tym, co łączy koalicjantów, jest usunięcie Netanjahu z urzędu i ożywienie politycznej sceny. Pytanie, na jak długo to wystarczy.

Porozumienie zakłada rotację szefa rządu: tu główny rozgrywający, Lapid, oddał pierwszeństwo Naftalemu Bennettowi, szefowi Jaminy, który ma być premierem do 2023 r. Po nim urząd obejmie Lapid. Uwagę skupia Mansour Abbas, lider Ra'am, do niedawna szerzej nieznany arabski polityk, a dziś jedna z głównych postaci nowej koalicji. Jako pierwszy arabski polityk w Izraelu zgodził się na udział w rządzie. Abbas uważa, że celem nadrzędnym powinno być zadbanie o interesy izraelskich Arabów, a dopiero w dalszej kolejności – o powstanie suwerennego państwa palestyńskiego. Po ostatniej eskalacji konfliktu zdobył serca wielu Żydów, gdy zapewnił o pomocy w odbudowie zdewastowanej podczas rozruchów synagogi w mieście Lod.

Zaprzysiężenie nowego rządu ma odbyć się najpóźniej 14 czerwca. Atmosfera w kraju jest gorąca, Szin Bet (odpowiednik ABW) obawia się rozruchów.

A co z Beniaminem Netanjahu? Już tak wiele razy wydawało się, że to jego definitywny koniec – po raz ostatni kilka tygodni temu, zaraz po tym, gdy Jair Lapid otrzymał mandat do uformowania rządu, a kilka dni później w Izraelu wybuchła wojna. Z postawieniem kropki w zdaniu obwieszczającym „koniec Netanjahu" wstrzymam się zatem – przynajmniej do zaprzysiężenia nowego rządu. ©

GUERCHOM NDEBO / AFP / EAST NEWS

MIASTO ZAGINIONYCH DZIECI. W pośpiechu i chaosie trwała 27 maja ewakuacja 600-tysięcznej Gomy (Demokratyczna Republika Konga), wymuszona przez erupcję położonego niedaleko miasta wulkanu Nyiragongo. Tego dnia Pierrette Mihindano straciła kontakt z pięciorgiem swoich dzieci. W podobnej sytuacji znalazło się kilkaset rodzin; jedna czwarta z nich do dziś czeka na połączenie z dziećmi. Mihindano miała szczęście, dzięki pomocy Kongijskiego Czerwonego Krzyża odnalazła wszystkie. Na zdjęciu: wszyscy razem w miasteczku Minova, 2 czerwca 2021 r. ©℗ MŻ

Birma: rewolucja trwa przy bankomatach

ARMIA, KTÓRA W LUTYM dokonała zamachu stanu, dławi skutecznie protesty, ale system bankowy kraju chwieje się w posadach, a jego upadek może pozbawić generałów władzy.

Przed oddziałami birmańskich banków znów stoją długie kolejki chętnych do wycofania pieniędzy z lokat. W bankomatach wprowadzono limity wypłat do równowartości ok. 1,2 tys. dolarów tygodniowo. Bank centralny apeluje o spokój, ale na próżno: dla Birmańczyków wycofywanie pieniędzy z banków staje się aktem oporu wobec junty. Generałowie utrzymują się przy władzy, sowicie opłacając znienawidzone przez społeczeństwo wojsko i pozostałe resorty siłowe. Narastają też obawy, że władze nie będą w stanie drukować nowych banknotów. Niemiecka firma Giesecke & Devrient, dostawca technologii zabezpieczającej birmańskie kyaty, zerwała właśnie współpracę z tamtejszym reżimem.

Pierwszy run na krajowe banki nastąpił tuż po przewrocie, gdy pojawiły się pogłoski o możliwej nacjonalizacji części depozytów. Większość banków zamknęła wówczas placówki i przez krótki czas wspierała protestujących przeciwko juncie. Na początku marca do internetu wyciekły jednak dokumenty, z których wynikało, że junta zmusiła banki do posłuszeństwa. Tym, które nie wznowią działalności, zagrożono konfiskatą części kapitału. Rząd nakazał też zwolnienie pracowników, którzy nie stawiają się do pracy. ©℗ MAREK RABIJ

Dożywocie za brata

HUSHTAR ISA, brat prezesa Światowego Kongresu Ujgurów, został skazany w Chinach na dożywocie. „Ta wiadomość łamie mi serce. Mój brat jest niewinny. Został ukarany z powodu mojej działalności na rzecz praw człowieka” – napisał w oświadczeniu prezes Dolkun Isa.

Kongres to międzynarodowa organizacja diaspory ujgurskiej, powstała w 2004 r., która stara się zwrócić uwagę świata na los Ujgurów: mniejszości muzułmańskiej w Chinach, zamieszkującej głównie region Sinciang. Represje wobec nich przyjmują wyjątkowo ostrą formę: pod byle pretekstem Ujgurzy masowo trafiają do tzw. obozów reedukacyjnych, gdzie ma dochodzić do tortur, znęcania się psychicznego i gwałtów. Chiny twierdzą, że obozy to tak naprawdę ośrodki, które mają na celu walkę z ekstremizmem ze strony muzułmanów. Przebywać w nich może obecnie ponad milion osób – niemal co dziesiąty ujgurski mieszkaniec Sinciangu. Ujgurzy na emigracji nie mogą swobodnie kontaktować się z rodziną żyjącą w Chinach [o Ujgurach pisaliśmy w „TP” nr 17/2021, kolejny tekst ukaże się wkrótce – red.]. © ANNA MIKULSKA

Wiadomości z kraju terroru

NIEMAL CODZIENNIE BIAŁORUŚ dostarcza informacji, które trafiają na czołówki zachodnich mediów.

W ubiegły wtorek samobójstwo na sali sądowej próbował popełnić Sciapan Łatypau, w 2020 r. uczestnik demonstracji, od dziewięciu miesięcy bezprawnie trzymany w areszcie. Był to dramatyczny protest przeciw groźbom kierowanym wobec jego bliskich, by zmusić go do przyznania się do „winy”. Dzień później upubliczniono informację, że zatrzymane w marcu trzy aktywistki polskiej mniejszości – Irena Biernacka, Maria Tiszkowska i Anna Paniszewa – zostały wydalone do Polski. W areszcie nadal przebywają Andżelika Borys i Andrzej Poczobut z kierownictwa Związku Polaków na Białorusi, którzy nie zgodzili się na wyrzucenie z kraju. Kontakt z obojgiem jest ograniczony, gdyż służba więzienia utrudnia korespondencję. Ofiarą takich represji padł również Dzianis Iwaszyn, grodzieński dziennikarz, od ponad trzech miesięcy bezprawnie pozbawiony wolności – jego ostatni list dotarł do żony w końcu kwietnia.

Największe wrażenie zrobił jednak „wywiad” Ramana Pratasiewicza, którego reżim dopadł, zmuszając do lądowania samolot z Aten do Wilna. Media państwowe pokazały, jak przyznaje się do „winy”, nie zostawia suchej nitki na opozycji i wyraża szacunek do Alaksandra Łukaszenki. Skojarzenia z samokrytyką więźniów podczas procesów stalinowskich narzucają się same. Nie ma wątpliwości, że Pratasiewicza poddano naciskom fizycznym (ślady widać było na jego ciele) i psychicznym. Prawdopodobnie grożono też zrobieniem krzywdy jego partnerce Sofii Sapiedze. Jedna z osób, które wydał, a która po wyemitowaniu „wywiadu” ratowała się ucieczką z Białorusi, napisała: „Żadnych pretensji do Pratasiewicza nie ma i być nie może. Zakładników się nie osądza”.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

KS. PIOTR MAJER, PROFESOR PRAWA KANONICZNEGO

Prawo trzeba egzekwować

EDWARD AUGUSTYN: Papież zaostrzył kościelne prawo karne. Dlaczego?

EPISKOPAT.PL

KS. PIOTR MAJER: Zmiany postulowano od dawna. Obowiązujące dotąd przepisy często pozwalały na uznaniowość w podejściu do przestępstw i stawiały na łagodne formy oddziaływania, jak perswazja, dobry przykład, upomnienie. To utrudniało egzekwowanie prawa.

Kodeks ogłoszony przez Jana Pawła II w 1983 r. był zbyt liberalny?

To wynikało z ogólnej atmosfery po Soborze Watykańskim II, kiedy toczyły się prace nad nowym kodeksem. Panowało przekonanie, że nie ma już miejsca na suche przepisy prawa, bo przecież Kościół jest wspólnotą miłości. Niektórzy wręcz uważali, że prawo karne nie jest już w Kościele potrzebne.

Szokujące nas skandale, na przykład pedofilskie, są owocem tamtej liberalizacji?

Sądzę, że tak. Przepisy nie wymagały, by biskup zawsze i w każdym przypadku reagował na przestępstwa poprzez proces karny. To przyczyniło się do myślenia, że prawo karne wprawdzie jest, ale nie trzeba go stosować. Jednak w przypadku przestępstw wykorzystywania nieletnich skończyło się to w 2001 r., gdy Jan Paweł II wprowadził pierwsze surowe normy, potem znowelizowane w 2010 r. przez Benedykta XVI i jeszcze zaostrzone przez Franciszka. Tu akurat niewiele się zmienia.

A w przypadku innych przestępstw?

Po pierwsze kodeks znacznie ogranicza uznaniowość: biskup będzie miał obowiązek ukarać sprawcę. Po drugie zwiększa się liczba przestępstw jasno określonych przez przepisy prawa: tam, gdzie do tej pory mówiło się ogólnie o nadużyciach władzy czy urzędu, dziś wymienia się konkretne przestępstwa, np. nadużycia finansowe. Po trzecie zwiększa się katalog kar, z których biskup może korzystać. Wcześniej nie za bardzo miał z czego wybierać. Dochodzą na przykład kary finansowe: grzywna czy pozbawienie części lub całości wynagrodzenia. I po czwarte – duży nacisk kładzie się na obowiązek naprawienia szkód wyrządzonych przez sprawcę.

Czy od grudnia, kiedy wejdą w życie nowe przepisy, prawo będzie bardziej przestrzegane?

Na pewno będzie można je lepiej egzekwować. Do tej pory biskupi nie zawsze byli zobowiązani do korzystania z prawa karnego. Po zmianie będzie jasne, że biskup, który nie korzysta z takiego narzędzia, jest po prostu złym pasterzem.

KS. DR HAB. PIOTR MAJER *jest profesorem Wydziału Prawa Kanonicznego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. Całość wywiadu na naszej stronie internetowej.*

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

WSPÓŁCZUCIE
Franciszek złożył wyrazy współczucia społeczeństwu kanadyjskiemu, zbulwersowanemu odkryciem szczątków 215 dzieci, uczniów Kamloops Indian Residential School w Kolumbii Brytyjskiej. Wskazał, że „te trudne wydarzenia są silnym wezwaniem dla wszystkich, aby odwrócić się od modelu kolonizatorskiego". O latach milczenia Watykanu na temat przymusowej asymilacji kanadyjskich Indian pisze Marta Zdzieborska na str. 34.

SYMBOL
Przed kościołem kapucynów przy ul. Miodowej 13 w Warszawie stanęła rzeźba „Bezdomny Jezus". Dzieło Kanadyjczyka Timothy'ego Schmalza przedstawia leżącego na ławce bezdomnego otulonego kocem. Podobne przedstawienia stoją już w ponad stu miejscach na świecie, m.in. w Watykanie.

NOMINACJA
Wśród trzech mianowanych przez Franciszka konsultorów Synodu Biskupów znalazła się kobieta. Prof. Myriam Wijlens z Uniwersytetu w Erfurcie jest holenderską prawniczką, ekspertką od problemu wykorzystania seksualnego małoletnich przez duchownych. Prowadziła ponad sto dochodzeń kanonicznych w takich sprawach.

UNIVERSITÄT ERFURT / MATERIAŁY PRASOWE

Dłuższa litania

„OPIEKUNIE ODKUPICIELA, Sługo Chrystusa, Sługo zbawienia, Podporo w trudnościach, Patronie wygnańców, Patronie cierpiących i Patronie ubogich" – to tłumaczenie siedmiu wezwań, które dołączył papież do Litanii do św. Józefa. Wezwania zaczerpnięto z wypowiedzi Magisterium Kościoła o św. Józefie – pochodzą z adhortacji „Redemptoris custos" Jana Pawła II, z homilii Pawła VI z 19 marca 1966 r., z homilii św. Jana Chryzostoma do Ewangelii wg św. Mateusza oraz z listu apostolskiego Franciszka „Patris corde" z 2020 r.

Poszerzonej litanii będzie można używać w liturgii, gdy tłumaczenie zaproponowane przez Komisję Episkopatu ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów zostanie zatwierdzone przez biskupów na czerwcowym zebraniu w Kalwarii Zebrzydowskiej. ©℗ ASK

W tym roku ruszą piesze pielgrzymki

DWIE LISTY sporządzane są obecnie przy zapisach na sosnowiecką pieszą pielgrzymkę na Jasną Górę: osób zaszczepionych i niezaszczepionych. „Chciałbym mocno podkreślić, że dwie listy zapisów nie oznaczają dwóch osobnych grup pielgrzymkowych. Wszyscy – zaszczepieni i niezaszczepieni – będą pielgrzymować razem. Nie będzie żadnej »segregacji« ani »dyskryminacji« jednych bądź drugich" – zapewnia ks. Paweł Tracz, dyrektor pielgrzymki diecezji sosnowieckiej na Jasną Górę.

Chodzi o to, że wytyczne Głównego Inspektora Sanitarnego dla organizatorów ruchu pielgrzymkowego z 14 maja rekomendują, aby liczba niezaszczepionych pątników nie przekroczyła 300.

W tym roku z powodu bezpieczeństwa sanitarnego organizatorzy zrezygnowali z kwater prywatnych. Uczestnicy pielgrzymki, którzy nie będą chcieli spać pod namiotem albo dla których zabraknie miejsc w szkołach czy remizach, będą na noc odwożeni do domów. ©℗ ARTUR SPORNIAK

KULTURA W SKRÓCIE

SMOKI I LAJKONIKI
Laureatem Smoka Smoków na 61. Krakowskim Festiwalu Filmowym został Piotr Dumała, wyróżniony za wkład w rozwój filmu animowanego. Złotego Lajkonika otrzymał Tomasz Wysokiński, autor „Spaceru z aniołami", zwycięstwo zaś w Międzynarodowym Konkursie Filmów Dokumentalnych, a tym samym możliwość ubiegania się o nominację do Oscara, zapewniła sobie „Dalekowschodnia golgota" w reż. Julii Serginy. Pełna lista nagrodzonych na stronie festiwalu.

KRÓL LITERATURY
Szczepan Twardoch wraz z tłumaczem jego powieści na język angielski zostali laureatami konkursu literackiego Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju. Wyróżniony „Król" ukazał się po angielsku jako „The King of Warsaw". Autorem tłumaczenia jest Sean Gasper Bye, znany głównie z przekładów reportaży Filipa Springera, Małgorzaty Szejnert czy Lidii Ostałowskiej.

NOWY BOOKER
David Diop, 55-letni Francuz o senegalskich korzeniach i specjalista od XVIII-wiecznej literatury, został natomiast laureatem Międzynarodowego Bookera za powieść „W nocy każda krew jest czarna". Jeszcze w tym roku nagrodzoną książkę przeczytamy po polsku.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

PARAFIA ŚW. KLEMENSA W DROLSHAGEN / MATERIAŁY PRASOWE

W KOŚCIELE ŚW. KLEMENSA w Drolshagen w Nadrenii Północnej zawisł obraz, który wzbudził sensację w europejskich mediach i wzburzył część wiernych. „Maryja w dżinsach", jak powszechnie go nazwano, przedstawia Matkę Bożą stojącą na drabinie pod krzyżem. Wręcza św. Tomaszowi Apostołowi pasek od swojej sukni, jako dowód wniebowzięcia (również w nie św. Tomasz miał wątpić według apokryfu). Proboszcz Markus Leber tłumaczył: „Utknęliśmy w XIX-wiecznym wyobrażeniu na temat wyglądu Matki Bożej. Warto pamiętać, że była zwykłym człowiekiem, naszą siostrą w wierze". Artysta, u którego Leber zamówił obrazy do wyremontowanego kościoła, Thomas Jessen, sam jest katolikiem o dość konserwatywnych poglądach i uznanym dorobku. Wyjaśnił tylko, że jego sztuka „nie ma na celu prowokowania. Oferuje autentyczny obraz, autentyczną postać, autentyczną scenę". Dżinsy są tu najmniej ważne, dopowiedzmy. ©℗

Oby nie doszło do „Omegi"

WARIANTY WIRUSA SARS-COV-2 będą oznaczane literami greckiego alfabetu – zdecydowała Światowa Organizacja Zdrowia (WHO). Nazwę „Alfa" otrzymał ten zidentyfikowany po raz pierwszy w Wielkiej Brytanii. „Beta" to wariant nazywany dotąd „południowoafrykańskim", „Gamma" – tzw. brazylijski, „Delta" – tzw. indyjski.

Zmiana ma zakończyć stygmatyzowanie krajów, które pierwsze wykryły i poinformowały o nowych mutacjach. Podobnie było z nazwą choroby COVID-19, którą WHO zaproponowała, aby uniknąć jej ewentualnych skojarzeń z miastem Wuhan („wirusem chińskim" nazywał SARS-CoV-2 m.in. Donald Trump). W przeszłości nazwy wirusów często miały konotacje geograficzne – np. Ebola to rzeka w Demokratycznej Republice Konga.

Każdy wirus z czasem zmienia nieco swoją strukturę – większość tych zmian nie ma znaczenia dla jego właściwości. Nowe warianty to mutacje, które np. łatwiej się rozprzestrzeniają, mogą powodować cięższy przebieg choroby, mieć wpływ na skuteczność terapii bądź wymagać innych metod diagnozowania. Oprócz wariantów A–Δ, które WHO zaleca szczególnie obserwować (*variants of concern*), wyodrębniono sześć innych, potencjalnie mniej groźnych mutacji SARS-CoV-2 (*variants of interest*). ©℗ ŻYM

Co się stało z rekinami

JESZCZE 19 MLN LAT TEMU roiło się od nich w morzach i oceanach. Wkrótce potem liczebność ich populacji i różnorodność gatunkowa gwałtownie spadła – nawet o 70-90 proc., do tego w ciągu mniej niż 100 tys. lat. Elizabeth Sibert i Leah Rubin opisały w „Science" nieznany wcześniej epizod wielkiego wymierania rekinów. Badaczki oparły swoje wnioski na analizie materiału kopalnego wydobytego z dwóch oddalonych regionów dna Pacyfiku. Skamieniałości rekinów sprzed 19 mln lat było mnóstwo: na jeden okaz przypadało pięć skamieniałości innych ryb z tego samego okresu. Później te proporcje się załamują: młodsze skamieniałości rekinów stanowią już tylko 1 proc. wszystkich skamieniałości ryb, stają się też znacznie mniej zróżnicowane.

Nie jest jasne, co doprowadziło do katastrofy takich rozmiarów. Raczej nie chodziło o zmiany klimatyczne – dopiero kilka milionów lat później doszło do ocieplenia mórz, a także do zróżnicowania się morskich drapieżników: m.in. tuńczyków, wielorybów i morskich ptaków. Nie wygrały więc one z rekinami rywalizacji o zasoby, tylko zajęły po nich miejsca w ekosystemie. ©℗ ŁK

TEMAT TYGODNIKA

SPOSÓB NA PIĘKNE LATO

Czekaliśmy na nie długo, jak na symbol normalności. Ale po ponad rocznym lockdownie wracamy do nieco innego świata. Oto jak będzie wyglądał w wakacje.

TEKST MARCIN ŻYŁA | ILUSTRACJA MAREK ZALEJSKI

W TYM ROKU SAMOLOTY ZACZĘŁY latać tego samego tygodnia, co pszczoły. Owady, przyćmione wyjątkowo zimnym majem, dopiero pod koniec miesiąca przystąpiły do zapylania kwiatów i jabłoni. Maszyny wróciły na niebo tuż po zniesieniu najdotkliwszych restrykcji w podróżowaniu oraz wprowadzeniu pierwszych, skromnych jeszcze, rozkładów na lato.

Ten równy start natury i cywilizacji, choć przypadkowy, nabiera rangi symbolu. Uziemienie kilku tysięcy odrzutowców było bowiem najbardziej wymownym przejawem precedensowej – i pierwszej w dziejach masowej turystyki – przerwy człowieka w podróżach. Covidowe zamknięcie granic niemal z dnia na dzień zastopowało wart 6,6 bln euro globalny biznes turystyczny. Podczas pandemii okazało się, że potrafimy bez niego żyć, a spokój i wytchnienie znajdujemy czasem bliżej siebie. Teraz, gdy przybywa osób zaszczepionych, świat powoli się uchyla. Wobec wakacji i relaksu mamy jednak nieco inne oczekiwania.

Halo, tu Ziemia!

To będzie piękne lato – choć nie oznacza powrotu do normalności, raczej pierwszy test dla świata po pandemii. A ściślej mówiąc: dla świata, który dopiero po pandemii nastąpi, bo w wielu miejscach covid wciąż zbiera śmiertelne żniwo. Również w Europie możliwa jest czwarta, jesienna fala zakażeń. Tempo szczepień spada, pojawiają się kolejne warianty wirusa SARS-CoV-2.

Miejmy więc za sobą złe wiadomości. Po pandemii wrócimy do natury, która wcale nie jest w lepszym stanie niż wtedy, gdy zamykaliśmy się w domach. I to mimo entuzjastycznych doniesień o tym, że lockdown dał przyrodzie odżyć. Czym innym jest jednak pojawienie się dzięciołów w miejskich parkach, czym innym – nieodwracalne zmiany na wielką skalę. W najuboższych i równocześnie najbardziej zróżnicowanych biologicznie regionach lockdown i wywołana nim zapaść ekonomiczna pogłębiły nierówności społeczne. Około 150 mln ludzi grozi za sprawą koronawirusa popadnięcie w skrajne ubóstwo. Zmniejszyło się bezpieczeństwo żywnościowe – wprost proporcjonalnie zwiększyła się więc skala wylesiania i kłusownictwa. Mniejsza liczba patroli straży przybrzeżnych sprawiła, że rozkwitło nielegalne rybołówstwo i zagłada oceanów jest dziś jeden krok bliżej niż rok temu.

Choć te informacje wydają się odległe, lekcja, którą wynieśliśmy z miasta Wuhan, być może pozwoli nam potraktować je w końcu serio. Świat, do którego wracamy, jest wciąż na krawędzi katastrofy.

Czasem praca...

Nie wiemy dokładnie, jak pandemia zmieni nasz sposób podróżowania i wypoczynku. Ostatni rok pokazał, że ludzie szybko adaptują się do nowych warunków i możliwości. Ale także – że presja dużego biznesu bywa silna. Chiny, pierwszy doświadczony przez covid kraj, otworzyły się częściowo już latem ubiegłego roku – i w ciągu miesiąca ruch lotniczy wrócił tu do poziomu sprzed pandemii. Optymiści twierdzą, że dla przemysłu turystycznego obecny czas to szansa na odbudowanie się w lepszej, etycznej dla planety formie. Jeśli miałoby się tak stać, to tylko za sprawą naszych nowych przyzwyczajeń.

Te mogą sprzyjać dobrym zmianom. Długi lockdown spotęgował tęsknotę za naturą i zwiększał nasze uzależnienie od technologii. W 2021 r. zwiększy się głód za otwartymi przestrzeniami. Oprócz tradycyjnych, stacjonarnych wakacji wzrośnie więc popularność spokojniejszego, dłuższego odpoczynku w kilku miejscach podczas jednego wyjazdu. Według dziennika „Financial Times" w 2020 r. wypożyczalnie camperów w Europie zanotowały wzrost rezerwacji o 350 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Coraz częściej liczy się podróż, a nie tylko jej ostateczny cel.

W miejsce pracy zdalnej nie zawsze powróci w pełni stacjonarna – podział czasu na obowiązki i odpoczynek, zaburzony podczas pandemii, pozostanie niewyraźny. Popularność zdobywa dziś określenie „workations" – połączenie „vacations" (wakacje) i „work" (praca) – opisujące dłuższe pozostawanie w miejscu odpoczynku, ale za cenę wykonywania stamtąd zawodowych obowiązków. Jedna z zachodnich agencji podróży specjalizująca się w wyjazdach do miejsc rzadziej odwiedzanych przez turystę zanotowała już w tym roku wydłużenie średniego czasu urlopu z 5 do 10 dni. ↦

↦ Powstaje już osobna gałąź turystyki, której grupą docelową są współcześni nomadzi – osoby potrzebujące do utrzymywania się wyłącznie laptop z dostępem do internetu. To propozycja już nie tylko dla singli czy millenialsów, w Europie Zachodniej korzystają z niej także osoby z większym stażem pracy. Niektóre państwa zmieniają dla nich politykę imigracyjną. Bermudy za cenę 222 euro oferują już roczną wizę „turystyczną" dla współczesnych nomadów. Biura podróży proponują wyjazdy do coworków, z których można pracować zdalnie, mając obok pracowników z innych państw.

...czasem relaks

Eksperci prognozują też wzrost popularności *slow travel*, mikropodróży, a także odpoczynku w miejscach nam znanych i bliskich domowi. Po kilkunastu miesiącach spędzonych w dużej mierze w izolacji, zamiast tradycyjnie pojmowanego odpoczynku będziemy szukać przeżyć, doświadczeń i nowych narracji – szykuje się dobry czas dla turystyki kulturalnej.

Według przygotowanego na zlecenie telewizji Euronews raportu o turystyce po pandemii, oprócz wyjazdów do mniej uczęszczanych miejsc, wzrośnie popularność turystyki ekologicznej. W Wielkiej Brytanii popularność zdobywają tzw. *cultivacations* – odpoczynek połączony z wolontariatem na fermach warzywnych. To efekt mody na miniogródki, która w ostatnim czasie dotarła także do Polski.

Celem co piątej podróży podejmowanej na świecie w przyszłym roku ma być uzdrowisko, ośrodek spa lub inne miejsce, w którym, całkiem dosłownie, nabierze sił nasze ciało. Podróż, podobnie jak kiedyś, stanie się rodzajem przywileju, a nie, jak się do tego przyzwyczailiśmy, prawem. Niektóre państwa zaczną preferować dłuższe pobyty – w Tajlandii 90-dniową wizę turystyczną można bezpłatnie przedłużyć do 270 dni.

Nowe granice

Powrót nie będzie jednak łatwy. Świat bez granic – jedno z największych osiągnięć Europy ostatnich lat – skończył się na długo. Dla Polaków wolność bez granic to głównie lata 2007-15, między otwarciem strefy Schengen a początkiem kryzysu migracyjnego, kiedy kilka krajów Europy zaczęło budować siatki graniczne lub przywracać kontrole. Ale ostatnie lata to i tak tylko zapowiedź tego, co nas czeka po pandemii. Granice już dawno przestały być tym, do czego wciąż przyzwyczajeni są w Polsce ludzie powyżej 40. roku życia – wyraźnie zaznaczonymi liniami na mapie. Teraz są niewidoczne, przebiegają w poprzek. Zamiast słupków wyznaczają je dane z naszych paszportów. Tych przybędzie, bo w ramach walki z pandemią na całym świecie zaczęliśmy, poprzez różnego rodzaju aplikacje i formularze, przekazywać władzom jeszcze więcej informacji na swój temat. Rządy zaś niechętnie zrezygnują z przywilejów zyskanych przy okazji walki z epidemią.

Z drugiej strony polski, unijny paszport wciąż należy do najmocniejszych na świecie. Stosunkowo skuteczna akcja szczepień umożliwia nam podróżowanie. Obywatele choćby sąsiedniej Ukrainy są tego pozbawieni – dla nich świat w 2021 r. pozostanie w dużej mierze nadal zamknięty.

Wszystko płynie

Zasady mogą się zmieniać w zależności od sytuacji – nawet poświęcona ponownemu otwarciu granic strona Unii Europejskiej wyświetla komunikat przepraszający, że ze względu na jej częste uaktualnienia tłumaczenia dokonywane są automatycznie. Na mapie europejskich regionów, pokazującej sytuację pandemiczną, dwa polskie województwa – lubuskie i podkarpackie – są zaznaczone na zielono, podobnie jak Islandia, większość Finlandii i fragmenty Rumunii. To jednak zmienia się z tygodnia na tydzień.

Choć Unia otwiera się na zaszczepionych obywateli USA i Kanady, dla Europejczyków Stany Zjednoczone pozostają zamknięte. A zapotrzebowanie tylko jed-

nej strony oceanu to za mało, aby połączenia lotnicze między oboma kontynentami wróciły do stanu sprzed pandemii. Według danych spółki OAG zajmującej się analizą ruchu pasażerów w lipcu na trasach przez Atlantyk przewoźnicy zaoferują 2,5 mln miejsc – o 2 mln mniej niż w tym samym okresie dwa lata temu. Rozkłady lotów do państw pozaeuropejskich mogą się zmieniać zależnie od sytuacji epidemicznej. Jeżeli więc sami organizujemy podróż, warto wybierać miejsca, do których dana linia lata często, co najmniej dwa razy dziennie.

Od tego roku wydłużą się kolejki do urzędników granicznych na lotniskach. Oprócz paszportu trzeba będzie mieć ze sobą świadectwo szczepienia. Niektóre państwa nawet od osób zaszczepionych będą wymagać negatywnego wyniku testu na covid bądź testować przy przekraczaniu granicy. Zwiększą się formalności wizowe – od roku, aby podróżować do wielu państw Afryki czy Azji, trzeba mieć wyraźny powód; przez pewien czas tak pozostanie. Na całym świecie boom przeżywają producenci kamer reagujących na ciepło – te będą nas obserwować w kolejce do odprawy. Mimo posiadanych certyfikatów i zaświadczeń wciąż rozsądniej będzie się w niej powstrzymać przed kaszlem. Przez ostatni rok wyraźnie spadła społeczna akceptacja do podróżowania z objawami grypy bądź przeziębienia.

Nawet jeśli pandemia faktycznie wyhamuje, władze poszczególnych państw zachowają prawo do wprowadzania czasowych ograniczeń. Okresy luzu – „okna możliwości" – sprawią, że do świątecznych zwyżek cen na bilety lotnicze dojdą kolejne. Na greckiej wyspie Kos i na Cyprze liczba rezerwacji wzrosła od października o 50 proc. W 2021 r. państwa będą się otwierać na innych nierównomiernie.

Trzecia rewolucja

Większe linie lotnicze próbowały przed rokiem (bezskutecznie) zatrzymać odpływ pasażerów proponując im tzw. bilety otwarte – wiele z podobnych udogodnień zostanie utrzymanych w lecie 2021 r. Do ceny biletu lotniczego warto jednak doliczyć koszt ubezpieczenia. Towarzystwa ubezpieczeniowe już oferują pakiety, po wykupieniu których można zrezygnować z podróży z dowolnego powodu, nawet kilka godzin przed wylotem.

To ważne, bo podczas pandemii, uznawanej za „stan nadzwyczajny", ma zastosowanie tylko część europejskich przepisów gwarantujących pasażerom linii lotniczych specjalne prawa. Nie dostaniemy np. odszkodowania (a jedynie zwrot kosztów biletów) za rejsy odwołane wcześniej niż dwa tygodnie przed wylotem. Jeśli planujemy podróż, lepiej nie czekać z kupowaniem biletów – ich ceny niebawem wzrosną. W każdym przypadku warto dowiedzieć się o politykę odwoływania rezerwacji w naszej linii lotniczej, hotelu lub biurze podróży.

Pierwszą rewolucją w zwyczajach podróży lotniczych było wprowadzenie zakazu palenia papierosów na pokładzie. Drugą – po zamachach z 11 września, kiedy z lotnisk, wcześniej przypominających chaotyczne dworce kolejowe, uczyniono „strefy sterylne" – ograniczenia związane z bagażem oraz zakaz odprowadzenia bliskich pod sam rękaw samolotu. Teraz – oprócz znanych z innych środków komunikacji maseczek i płynów do dezynfekcji – największa odczuwalna zmiana na samym pokładzie samolotu ma, mimowolnie, charakter komiczny. Grożą nam bowiem wyścigi do toalety. Aby ograniczyć kontakt do minimum, niektóre linie proszą pasażerów, by powstrzymywali się przed ruszeniem z fotela do momentu, gdy zapali się zielone światło.

Nie tylko samolotem

Częściej niż przed pandemią będziemy wybierać podróż pociągiem. Koleje kilku europejskich państw szykują się do nowej ery szybkich pociągów sypialnych. Przedziały nowych pociągów będą przypominać bardziej klasę ekonomiczną premium w samolotach niż rozklekotane, powolne i stojące godzinami na granicach wagony pospiesznego „Cracovia", który latami woził wczasowiczów z Krakowa do rumuńskich i bułgarskich portów Morza Czarnego. Już teraz na trasach z Pragi do Wenecji i z Bratysławy do Splitu jeżdżą tanie i szybkie pociągi długodystansowe. Francja – połączona siecią szybkiej kolei TGV – jako pierwsza nosi się z zamiarem wprowadzenia całkowitego zakazu lotów krajowych przynajmniej na krótszych trasach. ↦

ŹRÓDŁA FOTO: WALKERSSK / MOONZIGG / DRZALEK83 / PETE LINFORTH / CHRISTO ANESTEV / LUMIX2004 / DIGITAL341 // PIXABAY

W Polsce wsiądziemy do nowych pociągów, bo podczas lockdownu spółki kolejowe inwestowały. Tylko PKP Intercity w 2020 r. kupiła 30 nowoczesnych lokomotyw, zmodernizowała 130 wagonów, a wartość inwestycji taborowych przekroczyła 5 mld zł. Zakończono remonty ważnych tras – przejazd pociągiem z centrum Krakowa do centrum Katowic trwa już niewiele ponad godzinę i w końcu jest konkurencyjny wobec drogiej i wiecznie remontowanej autostrady A4.

W wiele miejsc dojedziemy lokalną komunikacją, dotowaną przez samorządy. Grupki oczekujące na przystankach w Zakopanem podczas długiego czerwcowego weekendu pokazały, jak trafnym pomysłem było pod Tatrami zorganizowanie kilka lat temu komunikacji miejskiej i uniezależnienie się od monopolu busiarzy.

Covidowa przepustka

Podróżowanie w czasie pandemii bywa, paradoksalnie, stosunkowo bezpieczne. Badania przeprowadzone w Chinach wiosną ubiegłego roku, powtarzane później na Zachodzie, pokazały, że filtry wymieniające powietrze w samolotach sprawiają, iż prawdopodobieństwo zakażenia się wirusem podczas kilkugodzinnej podróży jest mniejsze, niż podpowiada nam wyobraźnia. Według Europejskiej Agencji ds. Bezpieczeństwa Lotniczego (EASA) oraz Europejskiego Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (ECDC) liczba wykrywanych nowych przypadków koronawirusa wśród pasażerów samolotów jest znacznie niższa niż wśród ogółu populacji. Po przejściu przez bramki na lotnisku jesteśmy bezpieczniejsi niż na zakupach w supermarkecie – to również się nie zmieni tego lata.

Jeszcze wiosną wielu z nas nie przypuszczało, że się to w ogóle wydarzy – tempo wyszczepiania jest w Polsce wciąż mniejsze, niż być powinno, ale szczepionki są dostępne bez problemu. Każdy,

2021: Jak bezpiecznie podróżować za granicę

- **ZASZCZEP SIĘ.** Bez tego ani rusz.

- **POBIERZ UNIJNY CERTYFIKAT COVID.** Jeśli jesteś całkowicie zaszczepiony/-a, masz negatywny wynik testu na covid lub przeszedłeś/-łaś tę chorobę, zrobisz to od ręki za pośrednictwem Internetowego Konta Pacjenta. Certyfikat najlepiej wydrukować, można też zapisać go w pamięci telefonu. Pod koniec czerwca znajdziesz go też, obok innych dokumentów, w aplikacji mObywatel (dostępne w niej obecnie potwierdzenie o szczepieniu, również z kodem QR, to nie to samo). W Unii certyfikat zacznie obowiązywać 1 lipca.

- **POTWIERDŹ PRAWO DO BEZPŁATNEGO LECZENIA.** Bardziej niż dotąd może się przydać Europejska Karta Ubezpieczenia Zdrowotnego – uzyskasz ją w delegaturach NFZ, pocztą zwykłą, mailem lub na Internetowym Koncie Pacjenta.

- **SPRAWDŹ OBOSTRZENIA W DANYM KRAJU.** Zwłaszcza wyjeżdżając poza Unię i inne państwa strefy Schengen warto – w chwili dokonywania rezerwacji oraz tuż przed samym wyjazdem – skorzystać z serwisu „Polak za granicą" lub podobnych prowadzonych przez służbę konsularną USA lub Wielkiej Brytanii (są najszybciej aktualizowane).

- **WYKUP DODATKOWE UBEZPIECZENIE.** Zwłaszcza rezerwując lot, przejazd bądź nocleg rozważ dołożenie (zwykle niewysokiej) kwoty, aby uzyskać pewność, że w razie ich odwołania nie zostaniesz na lodzie.

- **PRZESTRZEGAJ NOWYCH ZASAD ZACHOWANIA.** Nie dyskutuj z personelem pokładowym, pracownikami lotnisk czy funkcjonariuszami – są w końcu po to, aby sprawić, że Twoja podróż będzie bezpieczna. Zagraniczne służby podczas wakacji mogą mieć znacznie mniej cierpliwości od polskich.

- **BĄDŹ GOTÓW NA ZMIANĘ PLANÓW.** Po wprowadzeniu lockdownu wiele osób miało kłopot z powrotem do kraju. Sytuacja wciąż szybko się zmienia, w wielu miejscach poza Europą wskaźniki zakażeń są nadal wysokie. Przyda się więc dodatkowa gotówka, ale jeszcze bardziej od niej – gotowy „plan B".

FREE-PHOTOS / PIXABAY

kto chce, może się zaszczepić i pobrać unijny „paszport covidowy", który znacznie ułatwi podróże.

Wbrew głosom dochodzącym czasem od osób przeciwnych szczepieniom dzielenie pasażerów na odpornych i narażonych na konkretną chorobę (i jej przekazywanie dalej) nie jest niczym nowym. Poprzedniczki międzynarodowej książeczki szczepień (tzw. żółta książeczka) są starsze od Światowej Organizacji Zdrowia – pierwsze tego rodzaju świadectwa ułatwiające podróże lub pracę za granicą zaczęto wydawać pod koniec II wojny światowej. Dziś bez tzw. żółtej książeczki i potwierdzonego w niej szczepienia przeciw żółtej febrze nie można wjechać do kilkudziesięciu państw świata. Niektóre wciąż utrzymują wprowadzany na przełomie lat 80. i 90. XX w. zakaz wjazdu dla nosicieli wirusa HIV.

Jeśli kolejne badania będą nadal potwierdzać skuteczność szczepionek przeciw COVID-19, koncepcja żółtych książeczek, ostatniego tak ważnego dokumentu wydawanego w starej książeczkowej formie bez czipa, zostanie zastąpiona przez „paszporty immunologiczne", poświadczające także przebycie covidu i innych chorób. Przybiorą formę cyfrową. Te stosowane od kilku dni w siedmiu państwach Unii, w tym w Polsce, są ich zwiastunami.

Chaotycznie reagująca na nową sytuację wiosną 2020 r., a z początkiem tego sparaliżowana opóźnieniami w dostawach szczepionek Unia ostatecznie osiągnęła sukces: od 1 lipca we wszystkich państwach członkowskich będzie funkcjonował unijny certyfikat COVID. Nie jest to dokument podróży – w Unii pozostaje nim paszport lub dowód osobisty. To bardziej przepustka – bez niej podróże międzynarodowe, obojętne, czy na wczasy w Hiszpanii, czy na zakupy do Czech, mogą się okazać niemożliwe.

Unijny certyfikat z kodem QR może pobrać każda osoba zaszczepiona, każda, która otrzymała negatywny wynik testu na obecność koronawirusa, oraz każda, która przechorowała covid w ciągu ostatnich kilkunastu tygodni. Jest dostępny za darmo w wersji drukowanej bądź na telefon. Państwa Unii obiecały, że nie będą wprowadzać nowych restrykcji dla osób posiadających certyfikat – chyba że będzie to konieczne z uwagi na znaczne pogorszenie się sytuacji pandemicznej. Każdy funkcjonariusz służb w dowolnym kraju Unii – fiński policjant drogówki, francuska urzędniczka graniczna, cypryjski żołnierz – będzie w stanie w ciągu kilku sekund zweryfikować nasze dane. 1 czerwca ruszyła platforma EU Gateway pozwalająca na wymianę informacji między państwami Unii.

Komisja Europejska chce, aby osoby w pełni zaszczepione nie podlegały obowiązkowi kwarantanny po przekroczeniu granicy już 14 dni po otrzymaniu drugiej dawki szczepionki (lub pierwszej w przypadku preparatów jednodawkowych).

Idą wyże

Poniedziałek, 7 czerwca, dawne przejście graniczne Lipnica Wielka/Bobrov na drodze krajowej nr 962 (woj. małopolskie). Wciąż stoi ustawiony tu w poprzek szlaban, wzmocniony betonowymi zaporami.

Kiedy wiosną Słowację uderzyła mocno trzecia fala koronawirusa, kraj zamknął możliwość wjazdu z Polski mniejszymi drogami, takimi jak ta. Ale rozjeżdżone pole obok znaczą ślady opon – szlaban objeżdżano, zresztą przy milczącej aprobacie służb granicznych. Omijano tak położony dalej, otwarty cały czas przejazd na Słowację w Chyżnem. Wkrótce nikt nie będzie już tu łamał obostrzeń – zapora zniknie, a unijny certyfikat umożliwi swobodną podróż.

To będzie piękne lato. Także dosłownie. Nawet długoterminowe prognozy pogody, zwykle ze sobą sprzeczne, dają w tym roku wyjątkowo zgodny obraz: wakacje będą mniej upalne niż poprzednie, z temperaturami maksymalnymi od 20 do 28 stopni Celsjusza. Deszczu też spadnie poniżej normy, burze szykują się rzadkie, choć gwałtowne. Nawet lipiec ma być pogodniejszy niż zazwyczaj, więc z dwóch tygodni nad Bałtykiem, co dziwne, możemy wrócić opaleni.

Wprawdzie jedna z prognoz grozi lokalnymi tornadami, ale po roku, który mamy za sobą – kto by się w Polsce bał tornad? Szerokiej drogi.

©℗ MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Frędzle*

Zwis męski ozdobny – w przypadku malowniczego ortodoksa – to nie tylko pejsy, ale i wystające spod koszuli sznurki. Widoczny znak spełniania przykazania, by nosić frędzle na krajach swoich szat (zob. Lb 15, 37-41 i Pwt 22, 12). W starożytności nie brakowało czwororożnych okryć, później zaczęto nosić pod ubraniem rodzaj miniponczo, a owe sznurki to wystające zakończenia rytualnych frędzli, zwane po hebrajsku cicit. Frędzle – według Biblii – mają przypominać o Bożych przykazaniach i chronić przed folgowaniem pożądaniu. Ilustruje to historia zapisana w Talmudzie.

Pewien człowiek, który skrupulatnie przestrzegał przykazania, by nosić cicit, usłyszał, że w jednym z zamorskich miast jest prostytutka, która bierze 400 złotych monet jako zapłatę za usługę. Wysłał jej pieniądze i umówił się na spotkanie. Gdy nadszedł czas, zjawił się w jej domu. Prostytutka przygotowała dla niego siedem łóż – sześć srebrnych i jedno złote. Między łożami były drabinki ze srebra, a na szczycie stało łoże ze złota. Kobieta wspięła się i usiadła nago na górnym łożu, a klient zaczął się rozbierać. Wtedy wyskoczyły jego cztery rytualne frędzle i uderzyły go w twarz. Mężczyzna usiadł na ziemi, a kobieta zeszła z góry i usadowiła się obok. Powiedziała do niego: „Nie pozwolę ci odejść, dopóki nie powiesz mi, jaką skazę we mnie dostrzegłeś". On na to: „Przysięgam na służbę świątynną, że nigdy nie widziałem kobiety tak pięknej jak ty. Jest jednak przykazanie noszenia rytualnych frędzli, a we fragmencie, w którym o nich mowa, napisano dwa razy: »Ja jestem Pan, twój Bóg« (Lb 15, 41). Podwojenie tej frazy oznacza: »Ja jestem tym, który karze łamiących Moje przykazania, oraz Ja jestem tym, który nagradza tych, którzy je wypełniają«. Właśnie teraz cztery cicit ukazały mi się jak czterej świadkowie, którzy będą zeznawać przeciwko mnie".

Prostytutka oświadczyła stanowczo, że nie pozwoli klientowi odejść, dopóki ten nie zostawi jej adresu domu studiów, w którym pobiera nauki. Mężczyzna spełnił jej prośbę i wrócił, skąd przyjechał. Kobieta podzieliła swój majątek na trzy części: jedna trafiła do lokalnych władz, druga dostała się biednym, a trzecią – wraz z łożami – wzięła ze sobą. Stawiła się w rzeczonym domu studiów i poprosiła o pomoc w przejściu na judaizm. Nauczyciel zapytał wprost: „Moja córko, może upatrzyłaś sobie jednego z uczniów i dlatego chcesz się nawrócić? Idź i weź w posiadanie swój nabytek". Owe łoża, które wcześniej przygotowała dla niego w sposób zakazany, teraz przygotowała dlań w sposób dozwolony. Oto nagroda dana mu na tym świecie, a jeśli chodzi o świat przyszły – konkluduje Talmud – nie wiadomo, jaką nagrodę dostanie. Ze wszech miar frapująca historia, nieprawdaż? ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Komunia to nie szczepionka*

W czasie epidemii zachęcaliśmy do przyjmowania komunii duchowej, traktując ją jako coś zastępczego, jako nieomal zło konieczne. Mówiono też, że Najświętsze Ciało i Krew najskuteczniej zabezpiecza przed zachorowaniem. Jakby samo fizyczne spożywanie Chleba stanowiło rodzaj szczepionki i powodowało skutki duchowe.

W komunii, jak sama nazwa wskazuje, chodzi o wspólnotę, o życie z Jezusem, jego braćmi i siostrami przy wspólnym stole. Wynika z tego, że cała msza jest komunią gdyż, jak uczy sobór, to Jezus ją odprawia dla nas i z nami. Nie można mówić, że najważniejszą częścią mszy jest przemienienie chleba i wina, ponieważ takie przemienienie dotyczy także mowy. Zarówno chleb i wino, jak i język, zgodnie z obietnicą Jezusa, upewniają nas o obecności Jezusa wśród nas. W mszy mowa staje się słowem Bożym. Bez tej psychiczno-duchowej więzi z Chrystusem i między nami na niewiele się zda samo spożywanie poświęconego chleba i wina, choćby na kolanach i wprost do jamy gębowej. Słowem, żeby komunia umacniała więź z Bogiem, ta więź musi najpierw zaistnieć.

Jezus przebywa z nami w „swoim ciele i krwi", tym samym, które ma od poczęcia, ale w chwili śmierci przemienionym, uduchowionym, niepodlegającym już prawom fizyki czy biologii. Stąd podstawowa trudność. Jak kochać i rozmawiać z kimś, kogo się nie widzi oczami i nie słyszy uszami, a tylko sercem i mózgiem? Nie umiemy miłości, czyli naszego nastawienia do rzeczywistości, ujawniać inaczej jak przez naszą cielesność, materialność. Paweł Apostoł mówi: „Ufamy więc zawsze, wiedząc, że jak długo przebywamy w ciele, tułamy się z dala od Pana, gdyż wciąż jeszcze chodzimy w wierze, a nie w widzeniu. Jesteśmy jednak pełni ufności i wolelibyśmy raczej opuścić ciało, a przebywać blisko Pana. Dlatego ze wszystkich sił staramy się Jemu podobać zarówno wtedy, gdy przebywamy blisko, jak i wtedy, gdy tułamy się z dala. Wszyscy bowiem musimy stawić się przed sądem Chrystusa, aby każdy otrzymał odpłatę za dokonane w ciele czyny, zarówno dobre, jak i złe".

Czasami pytamy, czy msza była odprawiona ważnie i czy udział w niej był udziałem pobożnym czy może niepobożnym, świętokradczym. Z wypowiedzi Pawła wynika, że sprawdzianem owej ważności i świętości mszy nie mogą być jedynie nasze odczucia, emocje, zadowolenie czy rozczarowanie, ale to, czy pod jej wpływem zmienia się nasza mentalność, a co za tym idzie postępowanie, owe czyny, o których mówi apostoł. Również pewności, co do tego, czy Jezus jest i z nami współpracuje, nie wywodzimy z naszych odczuć, ale z wiary w Jego obietnicę: „Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do końca świata". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Jedność uczniów

Życie porusza się
od wewnątrz
– samo z siebie.

MISTRZ ECKHART

Nikt innego nie traci
życia nad to, którym żyje,
a innym nie żyje jak tym,
które traci. Najdłuższe więc
równa się najkrótszemu.
Teraźniejszość jest bowiem
równa u wszystkich, a więc
i to, co się traci, jest równe.

MAREK AURELIUSZ

Modlitwę Arcykapłańską (J 17) zwykle kojarzymy niemal wyłącznie z Jezusowym pragnieniem jedności Jego uczniów, „aby byli jedno!". Mocno ono wybrzmiewa w tygodniu ekumenicznym (szkoda, że z reguły jedynie raz do roku).

Tymczasem pragnienia Jezusa zawarte w tej modlitwie skierowane są wcale nie jedynie do wnętrza (*ad intra*) Kościoła, ale także *ad extra Ecclesiae*, wyznaczając nam cel poza sobą, wskazując nam misję. Misją nie jest Kościół, lecz świat.

„Aby świat uwierzył!" – mówi Jezus, dzieląc się z nami pragnieniami swego serca (J 17, 21). „Aby świat poznał!" – dodaje za moment (w. 23).

Jest to tym mocniejsze, iż w pierwszych zdaniach modlitwy arcykapłańskiej Jezus podkreśla kilkakrotnie dystans – a nawet wrogość – między światem a uczniami: „Oni nie są ze świata, jak i Ja nie jestem ze świata" – powtarza dwukrotnie (J 17, 14b. 16). I dodaje: „Nie proszę, byś ich zabrał ze świata, ale byś ich ustrzegł od Złego" (w. 15). Najwyraźniej więc widzi, jak dalece świat Złemu podlega.

W końcu stwierdza niemal bez znieczulenia: „Świat ich znienawidził!" (J 17, 14). A potem naraz: „aby świat uwierzył (...) aby świat poznał!".

W jaki sposób możemy przekonać do wiary kogoś, kto nas nienawidzi?

Jak? Jakimi argumentami można przemówić do kogoś, kto ma mnie w nienawiści?

Jedno wydaje się pewne: tu nie wystarczy nawet najlepszy i najbardziej logiczny teoretyczny wywód; racjonalna i obiektywna („chłodna") apologetyka niczego tu nie wskóra. Napięcie nie ma bowiem charakteru intelektualnego sporu. Mamy do czynienia z nienawiścią.

Czy można przełamać nienawiść? I czym – w jaki sposób można to uczynić?

Jezus mówi, że tu ważniejsze od tego, co potrafimy powiedzieć czy „zrobić", jest to, kim jesteśmy. Ale właśnie – nie kim jesteśmy jako każdy z nas z osobna, ale kim jesteśmy razem – jako wspólnota.

I nie chodzi tylko o to, byśmy „byli jedno". Chodzi także o charakter – o naturę – tej jedności. Ta opisana jest zwrotami: „jak My jedno jesteśmy", „by byli jedno w nas".

Ojciec, Syn i Duch Święty (przeżywaliśmy to trzy tygodnie temu) są jednością, która nie ma charakteru wsobnego, lecz jest otwarta na wszystkich – zaprasza do swojego wnętrza cały „świat".

Taki sens ma również jedność uczniów Jezusa. I taka jest argumentem adekwatnym wobec nienawiści. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (13 – 20 VI)

11. niedziela zwykła: Ez 17, 22-24; Ps 92; 2 Kor 5, 6-10; Mk 4, 26-34;
Poniedziałek: 2 Kor 6, 1-10; Ps 98; Mt 5, 38-42;
Wtorek: 2 Kor 8, 1-9; Ps 146; Mt 5, 43-48;
Środa: 2 Kor 9, 6-11; Ps 112; Mt 6, 1-6. 16-18;
Czwartek: 2 Kor 11, 1-11; Ps 111; Mt 6, 7-15;
Piątek: 2 Kor 11, 18. 21b-30; Ps 34; Mt 6, 19-23;
Sobota: 2 Kor 12, 1-10; Ps 34; Mt 6, 24-34;
12. niedziela zwykła: Hi 38, 1. 8-11; Ps 107; 2 Kor 5, 14-17; Mk 4, 35-41.

Wybrał PIOTR SIKORA

PUSTY TRON HEGEMONA

Alternatywa „usługi albo świadczenia" jest fałszywa – te narzędzia polityki społecznej odpowiadają na różne potrzeby.

PAWEŁ MARCZEWSKI

W opublikowanym niedawno i chętnie cytowanym przez media raporcie z badań Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego „Koniec hegemonii 500+" autorzy dowodzą, że program świadczeń rodzinnych, będący sztandarowym projektem polityki społecznej PiS, jest coraz mocniej krytykowany. Przytaczają dane ze swojego sondażu, w którym jedynie 11,32 proc. respondentów opowiedziało się za pozostawieniem programu bez zmian, a 15,12 proc. chciało jego zniesienia.

Fakt, że liczba zdecydowanych przeciwników 500 plus jest większa niż osób akceptujących go bezwarunkowo, nie oznacza jednak zapowiadanego w tytule „końca hegemonii" – i to nie tylko 500 plus, ale też przewagi PiS w dziedzinie polityki społecznej. Zgodnie z takim rozumowaniem wiele krajów członkowskich UE, w tym Polska, dawno powinno wystąpić z Unii, skoro – według sondaży – osób domagających się jej opuszczenia jest w tych krajach więcej niż akceptujących ją bezwarunkowo w obecnej postaci. Krytyczna postawa wobec UE jednak nie oznacza, że zwolennicy jej zreformowania chcieliby żyć poza nią. Podobnie większość Polaków może nie być zadowolona z obecnego kształtu programu Rodzina 500 Plus, ale nie oznacza to, że chce jego zniesienia. W badaniu Sadury i Sierakowskiego 84,88 proc. nie opowiedziało się jednoznacznie za likwidacją programu. W opublikowanym w marcu 2021 r. badaniu CBOS poparcie dla niego wyniosło 73 proc., o kilka procent mniej niż zaraz po jego uruchomieniu, ale nadal bardzo dużo.

Koniec hegemonii 500 plus ogłoszono zatem przedwcześnie. Nie oznacza to jednak, że monopol obozu rządzącego na politykę społeczną nie został zachwiany. Paradoksalnie PiS staje się ofiarą własnego sukcesu. Wprowadzając do głównego nurtu dyskusji politycznej kwestie redukcji ubóstwa i spra-

JAKUB WŁODEK / AGENCJA GAZETA

Po pikniku 500 plus w Krakowie, sierpień 2019 r.

wiedliwości społecznej, przemilczane lub traktowane po macoszemu przez liderów poprzednich ekip rządzących, po kilku latach staje przed koniecznością lepszego uzasadnienia, dlaczego rozdziela pieniądze na cele społeczne w ten, a nie inny sposób.

Wcześniej wystarczyło zaklęcie „poprzednicy nie dawali nic, my z roku na rok wywindowaliśmy Polskę do czołówki państw europejskich pod względem wydatków na rodziny". Dziś coraz częściej słychać pytania, które rodziny korzystają na tym bardziej i czy na pewno współmiernie do potrzeb. Te wątpliwości są wyrażane tym głośniej, im bardziej traci na realnej wartości kwota wypłacanego co miesiąc świadczenia.

Moralizowanie zamiast rozwiązania

W badaniu Sadury i Sierakowskiego największym poparciem wśród propozycji reform 500 plus cieszył się wariant zakładający wypłacanie go „najbardziej potrzebującym". Autorzy nie pytali w kwestionariuszu, w jaki sposób miałyby być kwalifikowane rodziny „najbardziej potrzebujące", ale w wywiadach pogłębionych niektórzy rozmówcy wspominali o zdaniu się w tej kwestii na pomoc społeczną. Niezależnie jednak, czy weryfikacji dokonywałaby pomoc społeczna, ZUS, czy urzędy gminy, które teraz wypłacają świadczenia, trzeba by to było robić w oparciu o jakieś kryterium dochodowe.

Pogląd, że zasiłki rodzinne powinny zależeć od takiego kryterium, istnieje od dawna. Badanie Sadury i Sierakowskiego nie jest pierwszym, które pokazuje, że wiele osób chciałoby znieść powszechny charakter programu. Na przykład w 2019 r., po rozszerzeniu Rodziny 500 Plus na każde dziecko, portal Ciekaweliczby.pl opublikował wyniki sondażu, w którym 33 proc. ankietowanych uznało, że wypłacanie świadczeń bez względu na dochody rodziców jest ↦

niesprawiedliwe. Zapytani o dochody, które dawałyby prawo do świadczenia, respondenci wskazywali najczęściej (32 proc.), że nie powinny być one większe niż 2 tys. zł na rękę na osobę w rodzinie.

Zaraz po wprowadzeniu programu rząd bronił braku kryteriów dochodowych argumentując, że wprowadzenie ich byłoby stygmatyzujące, zwiększyłoby koszty operacyjne i przyniosło nieduże oszczędności (przy założeniu, że próg ustalono by na wysokim poziomie – ówczesny wiceminister w resorcie rodziny i polityki społecznej Bartosz Marczuk podawał kwotę 5 tys. zł na osobę w rodzinie, czyli o wiele więcej, niż chcieli respondenci w cytowanym badaniu). Trwałość przekonania, że świadczenia rodzinne są sprawiedliwe, o ile trafiają do najbardziej potrzebujących, dowodzi jednak, iż mimo zdecydowanego poparcia dla swojego sztandarowego programu po jego wprowadzeniu i niewiele mniejszego pięć lat później, PiS nie zmienił zasadniczo myślenia Polaków o polityce socjalnej. Nadal bardzo wiele osób myśli o niej w kategoriach pomocy społecznej, a nie instrumentu wspierania rozmaitych potrzeb i budowania solidarności społecznej.

Spadek dochodów rodziny po przyjściu na świat dziecka – pierwszego i każdego następnego – jest faktem i nie dotyczy wyłącznie rodzin najgorzej sytuowanych. Powszechne świadczenia rodzinne mają niwelować ten efekt. Nie oznacza to, że wystarczają, by zachęcić do posiadania dzieci – tu decyduje raczej możliwość godzenia opieki z pracą – ale wbrew szumnym zapowiedziom rządu o zwiększaniu dzietności nie taki jest ich cel. Są narzędziem służącym sprawiedliwości, a nie pomocy społecznej, o czym zapominają ci, którzy w szale moralizowania domagają się świadczeń wyłącznie dla potrzebujących.

Moralizatorzy, popierając kryterium dochodowe, jednocześnie często wyrażają pogląd, że pieniądze przyznawane obecnie bez żadnych kryteriów są przepijane albo wydawane przez ubogich kompletnie nieracjonalnie. Abstrahując już od tego, że nie ma żadnych danych, które dowodziłyby, że 500 plus jest gremialnie „przepijane", wprowadzenie kryterium dochodowego raczej nie sprawiłoby, że beneficjenci staliby się nagle bardziej racjonalni. Konieczna byłaby ścisła kontrola opieki społecznej, a ta faktycznie byłaby nie tylko stygmatyzująca, ale i kosztowna.

Znaj proporcje

Z faktu, że narodziny dziecka zmniejszają dochody rodziny, nie wynika jeszcze, że ten spadek jest równie dotkliwy dla wszystkich. Dla zamożniejszych ciężar finansowy jest odczuwalny o wiele mniej niż dla uboższych – i polityka rodzinna prowadzona w imię solidarności społecznej powinna ten fakt brać pod uwagę. Innymi słowy, świadczenia rodzinne zaprojektowane zgodnie z zasadą solidarności społecznej oferują wsparcie wszystkim rodzinom, ale proporcjonalnie do ich zamożności.

Program Rodzina 500 Plus nie został jednak rozszerzony na każde dziecko po to, by budować solidarność społeczną, ale by możliwie poszerzyć grono jego beneficjentów, a co za tym idzie – zwiększyć i scementować poparcie dla PiS. Rozkład korzyści, jakie przynosi rodzinom, jest odwrotny niż w przypadku programów budujących solidarność społeczną. Dziesięciu procentom najzamożniejszych rodzin objętych programem wypłacane jest o wiele więcej środków niż dziesięciu procentom rodzin najuboższych. Jak policzyli eksperci z Centrum Analiz Ekonomicznych CenEA, do najzamożniejszych trafia rocznie 5 mld zł (12,34 proc. kosztów programu), do najuboższych 2 mld (5,05 proc.).

Dzieje się tak, gdyż – wbrew stereotypom o licznych ubogich rodzinach wielodzietnych – w zamożniejszych gospodarstwach domowych wychowuje się w sumie więcej dzieci. Jest to w gruncie rzeczy wyraz racjonalności przyszłych rodziców w sytuacji rosnących oczekiwań wobec dzieci i niedostatecznego wsparcia instytucjonalnego dla ich posiadania: na dzieci częściej decydują się osoby, które są przekonane, że będą w stanie podołać finansowo i organizacyjnie ich wychowaniu i edukacji. Jednocześnie większe środki z 500 plus w przypadku dziesięciu procent najzamożniejszych rodzin z dziećmi poniżej 18. roku życia stanowią jedynie 4,1 proc. ich dochodu, zaś w przypadku dziesięciu procent rodzin najuboższych – 26,9 proc. Czyli większe środki dla zamożniejszych są przez nich dużo mniej odczuwane niż mniejsze przez najuboższych.

Nie dziwi więc, że poparcie dla programu Rodzina 500 Plus jest najmniejsze wśród zamożniejszych obywateli. We wspomnianym badaniu CBOS z marca 2021 r. wśród ogółu badanych poparcie to wyniosło 73 proc., a w gronie respondentów z dochodem na osobę w rodzinie w wysokości 3 tys. zł i więcej jedynie 49 proc. Jednocześnie to ta grupa korzysta z największych środków w jego ramach. O wiele większe kwoty płyną zatem do tych, którzy korzystają z nich proporcjonalnie najmniej i wśród których poparcie dla programu jest najniższe. Wielu respondentów, czy to w badaniu Sadury i Sierakowskiego, czy wcześniejszych, domaga się zmian w programie i trzeba przyznać, że są mocne powody, by go zreformować.

Jak wspomniałem, najczęściej proponuje się wprowadzenie kryterium dochodowego. O ile jednak wiem, nikt nigdy nie zapytał respondentów, czy chcieliby nie tyle likwidacji 500 plus lub ograniczenia go tylko do rodzin najuboższych, ile zreformowania w taki sposób, by ubodzy korzystali z niego w większym stopniu, a zamożniejsi w mniejszym. Dla zamożnych ta zmiana będzie mało odczuwalna, ubogim natomiast może przynieść wyraźną poprawę sytuacji finansowej. Zamiast likwidować program, lepiej zadbać o jego właściwe proporcje.

Powrót nierówności

Ważnym sukcesem polityki społecznej rządu Zjednoczonej Prawicy była znacząca redukcja biedy wśród dzieci. Po dojściu PiS do władzy spadek był bardzo znaczący: z 9 proc. w 2015 r. do 5,8 proc. w 2016. W roku 2019 odsetek skrajnie ubogich w wieku 0-17 lat wynosił 4,5 proc. (dane za pandemiczny rok 2020 nie były jeszcze dostępne w momencie pisania tego artykułu).

Do tego przez pierwsze dwa lata malały nierówności dochodowe wyrażone tak zwanym współczynnikiem Giniego – z 0,322 w roku 2015 (0 oznacza pełną równość dochodów gospodarstw domowych, 1 skrajną nierówność) do 0,304 w 2016 (był to największy spadek rok do roku w ciągu ostatnich 15 lat), a następnie do 0,299 w roku 2017. Potem nierówności zaczęły stopniowo rosnąć, ale dopiero w 2020 r. nastąpił znaczący wzrost i osiągnęły poziom 0,313, czyli wyższy niż zaraz po wprowadzeniu 500 plus.

Malejąca skala ubóstwa skrajnego, szczególnie wśród dzieci, i początkowa znacząca redukcja nierówności pozwo-

liły PiS przekonująco przedstawiać się jako siła prospołeczna, skutecznie walcząca z problemami, które postrzegane są jako negatywne skutki polskiego modelu transformacji ustrojowej. Rządy prawicy mogły się wiarygodnie jawić jako nowe otwarcie po 25 latach polityki zaciskania pasa i dyscypliny budżetowej.

Po długim okresie wyrzeczeń, w którym konkurencyjność gospodarki i zwiększanie zatrudnienia miały pierwszeństwo przed niwelowaniem nierówności i poprawianiem jakości miejsc pracy, polityka społeczna PiS wydawała się faktycznie nową jakością. Również przeciwnicy rządu, którzy zdecydowanie sprzeciwiali się na przykład podważaniu niezależności sądownictwa, mieli powody, by traktować rozwiązania socjalne obozu Zjednoczonej Prawicy jako pierwszą od dawna próbę nie tylko poprawienia sytuacji najuboższych, ale wręcz zmiany polskiej struktury społecznej i modelu gospodarczego.

Pandemia obnażyła jednak niedostatki modelu polityki społecznej, która miała na celu stworzenie możliwie szerokiego kręgu beneficjentów, a nie budowę solidarności. W roku wymuszonych przez COVID-19 lockdownów, ograniczonej mobilności czy wręcz izolacji nierówności wzrosły wyraźnie szybciej, a trzymanie się rozwiązania, w którym środki z flagowego programu polityki rodzinnej płyną nieproporcjonalnie szerszym strumieniem do najmniej potrzebujących, zaczęło przynosić zauważalne negatywne skutki.

Rozczarowanie coraz mniejszą skutecznością modelu polityki społecznej PiS, widoczne choćby w badaniach Sadury i Sierakowskiego, bierze się także ze zmian w realiach społecznych i ekonomicznych, równolegle do gniewu wywołanego złamaniem tak zwanego kompromisu aborcyjnego czy postępującą oligarchizacją obozu władzy. Problem w tym, że jak na razie nie widać siły politycznej, która byłaby programowo gotowa do wyciągnięcia wniosków z tego kryzysu i przekucia ich w skuteczny, alternatywny program polityki społecznej.

Kto bardziej korzysta na inwestycjach

Od początku funkcjonowania programu Rodzina 500 Plus badania pokazywały, że wśród wielu jego beneficjentów panuje silna obawa, że nie będzie on kontynuowany w kolejnych latach. W połączeniu

Chociaż hegemonia 500 plus została poważnie zachwiana, na razie nie widać programu politycznego, który mógłby skutecznie zająć jego miejsce.

z informacjami o poparciu zdecydowanej większości Polek i Polaków dla programu skłaniało to formacje opozycyjne do prześcigania się w zapewnieniach, że 500 plus nie ruszą. Trudno się dziwić, że załatwianie dyskusji o modelu polityki społecznej mało ambitnym stwierdzeniem „500 plus zostaje", nie pozwoliło opozycji odebrać obozowi rządzącemu dominacji na tym polu. Aby hegemonia faktycznie się skończyła, konieczna jest przekonująca i możliwie kompleksowa kontrpropozycja. W dodatku musi stać za nią narracja równie skuteczna emocjonalnie, jak pisowski przekaz o naprawianiu krzywd wyrządzonych przez transformację.

Pandemia otworzyła w tym zakresie niedostępne wcześniej okno możliwości. Rosnące nierówności, a także malejąca ze względu na inflację realna wartość świadczeń wypłacanych w ramach stworzonych przez PiS powszechnych programów w rodzaju 500 plus czy Dobry Start, dają szansę na zaproponowanie skutecznej alternatywy. Nie wystarczy już jednak powiedzieć po prostu, że ten czy tamten program zostaje. Analiza ekspertów Centrum Analiz Ekonomicznych CenEA dowodzi też, że niewystarczające byłoby po prostu zwiększenie wypłat o inflację. Waloryzacja świadczenia o poziom inflacji przyniosłaby dziesięciu procentom najuboższych rodzin dodatkowe 0,3 mld zł, do dziesięciu procent najbogatszych trafiłoby dodatkowe 0,7 mld. Dysproporcja korzyści między najmniej i najbardziej potrzebującymi zostałaby zatem zachowana.

Wobec niechęci do zniesienia 500 plus i braku pomysłów na jego gruntowną przemianę, w debacie publicznej powraca argument, że powinno się w takim razie po prostu zwiększyć inwestycje w usługi publiczne. Krytycy tego pomysłu argumentują, że same inwestycje nie wystarczą. Bez zapewnienia realnego dostępu do powstałych lub ulepszonych usług oraz zachęt do korzystania dla najbardziej potrzebujących pozytywne skutki inwestycji będą odczuwać przede wszystkim lepiej sytuowani, korzystający w nieproporcjonalnie większym stopniu z wydawanych w ten sposób publicznych pieniędzy, na przykład dzięki lepszej mobilności czy większej świadomości oferowanych szans.

Problem jednak w tym, że alternatywa „usługi albo świadczenia" jest fałszywa – te narzędzia polityki społecznej odpowiadają na różne potrzeby społeczne. Szkoła publiczna dobrej jakości, do której w dodatku zapewniony jest wygodny dojazd, pozwala zmniejszyć koszty edukacji dzieci, ale nie zamyka luki dochodowej między rodzinami z dziećmi i rodzinami bezdzietnymi. Zarówno świadczenia pieniężne, jak i inwestycje w usługi publiczne, by były skuteczne w wyrównywaniu szans i niwelowaniu nierówności, trzeba projektować tak, by służyły przede wszystkim najbardziej potrzebującym.

Chociaż hegemonia 500 plus została poważnie zachwiana – a można wręcz rzec, że tron hegemona stoi pusty z uwagi na coraz lepiej widoczne niedostatki polityki społecznej obozu rządzącego – na razie nie widać programu politycznego, który mógłby to puste miejsce skutecznie zająć. Naturalne byłoby zapewne przejęcie inicjatywy na tym polu przez Lewicę, ale jak dowodzą Sadura i Sierakowski, w jej elektoracie dość powszechna jest zgoda na cięcia 500 plus. W dodatku rosnący udział wśród zwolenników Lewicy ludzi młodych, wyraźnie mniej zainteresowanych kwestią usług publicznych, jeszcze bardziej skłania tę część opozycji do koncentrowania się raczej na podziałach kulturowych i tożsamościowych. Pójście tą drogą skazuje ją jednak na grę w polu wyznaczonym przez PiS, który może skutecznie odwracać uwagę od niedostatków swojego modelu socjalnego, zachowując monopol na politykę społeczną.

© PAWEŁ MARCZEWSKI

Autor jest szefem działu Obywatele w forumIdei, think tanku Fundacji Batorego.

ARCHIWUM PRYWATNE BEATY POTOCKIEJ

Beata Potocka z jedną ze swoich córek, lipiec 2020 r.

Dziwne, że się dziwicie

BEATA POTOCKA, MATKA ADOPCYJNA I ZASTĘPCZA:

To nieprawda, że porzucone dzieci z ciężkimi niepełnosprawnościami muszą być w placówkach. Są tam, bo się na to godzimy.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Nasza pierwsza rozmowa odbyła się kilka tygodni temu...

BEATA POTOCKA: Dotyczyła systemu, który przeszkadza ludziom pomagać. To ważny temat.

I aktualny: rząd zapowiada zmiany w funkcjonowaniu pieczy zastępczej. Ale pod koniec tamtej rozmowy powiedziała Pani: nie było ani słowa o najważniejszym.

O tym, dlaczego tak dobrze jest spełniać tę rolę. O tym, że tu jest też piękno – nie tylko problemy.

Wie pan, ja to robię przy każdej okazji. Namawiam.

Namawia Pani ludzi, by zakładali rodziny zastępcze.

A żeby to skutecznie robić, opowiadam o swoim zachwycie.

Zacznijmy od faktów.

Mam sześć córek: dwie adoptowane, czterema opiekuję się jako matka zastępcza w ramach rodzinnego domu dziecka.

Choć w przypadku Pani dzieci ten podział – na dzieci adoptowane i teoretycznie „tymczasowe" – nie ma sensu.

Bo i tak wszystkie będą ze mną „na zawsze". Przy czym trzy najmłodsze dziewczynki są obciążone ciężkimi niepełnosprawnościami. Jedna z nich, adoptowana, trafiła do mnie niedawno. Dwie są u mnie od lat w ramach rodziny zastępczej.

Odnalazła Pani niedawno fotografię.

Pochodzi z maja 2012 r. Przedstawia trójkę malutkich dzieci. Dwie dziewczynki leżą na brzuchach, zwrócone ku sobie twarzami. Jedna na plecach, trochę z boku. To zdjęcie zrobił ktoś z regionalnej placówki terapeutycznej, w której przez lata te dzieci przebywały. Są uchwycone razem, choć nic ich – poza przebywaniem w tej samej instytucji – w momencie wykonywania fotografii nie łączy.

Poza wspólną przyszłością: wszystkie trafią do Pani. Najpierw Agnieszka.

Dziewięcioletnia dziewczynka z zespołem Downa. W „pakiecie" dostała też zaburzenia hiperkinetyczne, wadę serca, zrośnięty przełyk. Do tego skomplikowaną przeszłość i będące jej efektem trudne – przynajmniej do niedawna – zachowania.

Trudne, czyli jakie?

Np. nagle zaczynała krzyczeć w miejscu publicznym. Albo siadała tam, gdzie akurat postanowiła, i odmawiała dalszego marszu. Aga jest – jak wiele dzieci z ZD – wolna od konwenansów, bardzo intensywnie manifestuje swoje „nie". Pamiętam wiele historii naszych wizyt w różnych gabinetach. Oj, trudne sceny. Namawianie, wnoszenie, ucieczki, gonitwy.

No a zachwyt?

Dziś o siódmej trzydzieści weszła do gabinetu, powiedziała „dzień dobry". Odwróciła się do mnie, pomachała, poszła. Opowiadam panu o czymś, czego raczej nie zrozumie rodzic pełnosprawnego, zdrowego dziecka. Dla mnie fakt, że wizyta u terapeuty albo w centrum handlowym przebiega normalnie, jest swego rodzaju cudem.

Później była Nikola.

Ma teraz dziesięć lat, karmię ją dojelitowo. Chodzić zaczęła dopiero w wieku 5 lat. Ma bardzo uszkodzony mózg. W zasadzie nie mówi. Do tego wada wzroku,

uszkodzonych wiele organów, niskorosłość, epilepsja. Ale Nikola funkcjonuje – jak na swój start – bardzo dobrze.

Jak na swój start?

Jak na 4,26 promila alkoholu we krwi przy narodzinach.

To niemożliwe: nawet dorosły umiera od takiego stężenia.

Nikola nie umarła, mimo że faktycznie nie słyszałam o większym stężeniu u dziecka. Gdy już u mnie była, natknęłam się na artykuł naukowy, w którym autor przytaczał to zdarzenie. Zadzwoniłam do niego, by mu opowiedzieć, jakie są dalsze losy Nikoli. Był zdumiony.

Co to za losy?

Spotkałam ją – początkowo niejako mimochodem – we wspomnianej placówce, do której przychodziłam ze względu na mającą do nas trafić Agnieszkę. Z Nikolą nie było kontaktu. Pamiętam małą dziewczynkę siedzącą prawie bez ruchu. Robiła tylko jedno: mechanicznie, niemal beznamiętnie wprawiała w ruch wiszącą przy niej materiałową huśtawkę.

W 2014 roku, gdy Aga trafiła już na stałe do naszego domu, przestałam widywać Nikolę.

Ale Pani po nią wróciła.

Wróciłam. Trudno mi było się pogodzić z tym, że zostanie tam sama, że będzie w przyszłości skazana na dom pomocy społecznej.

Ale pierwszy rok był trudny.

A najtrudniejszy sam początek. W pierwszych dniach pobytu u nas Nikola – jestem o tym przekonana – rozważała dwie opcje: żyć albo nie żyć. Jej ciało odmówiło nie tylko tradycyjnego pożywienia, ale nawet tego podawanego przez PEG, czyli dojelitowo. Ważyła 10 kilo przy niemal metrze wzrostu.

A potem zapadła decyzja?

Żeby żyć. Pamiętam szczególnie jedną noc – kolejną z płaczem i krzykiem. Zabrałam Nikolę do naszego łóżka. Przez pozostałą połowę nocy nie drgnęła i nie wydała z siebie dźwięku. Przylgnęła do nas swoim maleńkim ciałem, produkując niebywałą ilość ciepła – tak jakby dostała gorączki, choć na pewno nie była chora. Spała. Niemal fizycznie mogłam poczuć jej szczęście.

Wtedy sobie uzmysłowiłam, że ona w wieku pięciu lat po raz pierwszy w życiu trafiła do kogoś do łóżka. Do tej pory była w placówkach i szpitalach. Tam łóżka są pojedyncze...

A wracając do zachwytów. Nikola zaczęła mi patrzeć w oczy. Przytulać się. A przecież przez prawie pół życia nie miała okazji, by nawiązać z jakimś dorosłym bliską więź.

W książeczce „Ratujmy świat", którą stworzyła Pani wespół z Gabą Kucz i w której są historie osieroconych dzieci z niepełnosprawnościami, pisze Pani o swoich rozczuleniach.

Na przykład o tym, że Nikola z każdym dniem pięknieje i prostuje swoje zgarbione do niedawna plecy. Że pomimo tak ciężkich doświadczeń, bólu, jest cudowną dziewczynką z burzą brązowych loków. Albo o bezpośredniości i spontaniczności Agnieszki, dzięki którym ci, którzy nie odwrócą z jakiegoś powodu od niej wzroku, będą mogli poczuć się wyjątkowi.

Rozczulają mnie słowa. Specjaliści twierdzili, że Agnieszka nie będzie mówiła. Wczoraj był Dzień Matki, a ja usłyszałam: „Kocham cię". O tych zachwytach mogłabym bez końca...

Tylko że to nie jest cała prawda.

Bywa ciężko.

Szóstka dzieci, ich szkoła, niezliczone mnóstwo rehabilitacji, wizyt lekarskich, a do tego działania w ramach fundacji. Sypia Pani?

Dzisiaj wstałam o czwartej trzydzieści. Agnieszka się obudziła, zeszła na dół i włączyła na niemal cały regulator muzykę (*śmiech*). Musiałam iść i ściszyć, a potem już z nią zostałam.

Dzieci z ZD mają problem ze snem: nie wytwarza się w ich organizmie wystarczająca ilość melatoniny. Wczesne pobudki to u nas norma. Wczoraj np. pierwszą rehabilitację, na którą trzeba było dojechać, zaczęłyśmy z Agnieszką o siódmej trzydzieści.

Przepraszam, pomyłka: to było dzisiaj.

Symptomatyczna pomyłka: zdarza się zwykle ludziom, którzy mają długi i intensywny dzień. Za Panią [rozmawiamy przez wideokomunikator – red.] widzę mnóstwo fiszek na tablicy.

Rzeczywiście, muszę sobie różne rzeczy zapisywać, by niczego nie przegapić.

W książce pisze Pani też o lęku.

Intensywnym, zwłaszcza gdy się doświadczyło zagrożenia życia dziecka – a tak było z Nikolą. Miewam tak do dziś: moje dziecko śpi, a ja się przybliżam, by sprawdzić, czy oddycha. Albo szturcham je, by się upewnić, że wszystko w porządku.

Jest też drugi lęk.

O przyszłość. Nasila się z każdym rokiem. Zauważyłam, że od jakiegoś czasu, gdy widzę idącą parę: osoba niepełnosprawna z opiekunem, to kieruję wzrok najpierw w stronę opiekuna... Dam panu przykład związany z Agnieszką. Wchodzi powoli w okres dojrzewania. Wybrzmiewają w jej naturze nuty, które mnie zachwycają – delikatności, wrażliwości. Ale te nuty też niepokoją: gdy była mniejsza, była bardziej stanowcza, teraz tak łatwo ją dotknąć. Zastanawiam się, jak będzie wyglądał jej świat...

Ponad dwa tysiące dzieci z niepełnosprawnościami przebywa w placówkach pieczy zastępczej. Kolejnych kilka tysięcy tuła się po instytucjach pomocy społecznej, jak DPS-y, czy służby zdrowia. Muszą tam być?

Oczywiście, że nie! Są tam, bo jako społeczeństwo się na to godzimy. Do takiego przekonania dostosowane są zresztą przepisy. Zapisaliśmy w ustawie, że dziecka do 10. roku życia nie wolno umieszczać w placówce. Równocześnie jednak z jakiegoś powodu dopuszczamy pobyt w niej małego dziecka np. z zespołem Downa.

Pani się z tym nie zgadza.

Ani ja, ani inne osoby ze środowiska. Nie podziela też tego poglądu Konwencja ONZ poświęcona osobom niepełnosprawnym, gdzie jest napisane, że te osoby mają prawo wyboru miejsca zamieszkania i że „nie będą zobowiązywane do mieszkania w szczególnych warunkach".

Dzieci z książki „Ratujmy świat" dostają na końcu każdej z opisywanych przez Panią historii adnotację: uratowany/uratowana.

Bo to był ratunek. Moja Joanna, czyli trzecia dziewczynka z fotografii, nie miała żadnych szans na rodzinę. Wiem ↦

↦ to, bo sama uczestniczyłam w poszukiwaniach. To samo dotyczy tysięcy innych.

Co musi się w Polsce zmienić, by nie trzeba było ratować? By znalezienie rodziny było zwyczajową procedurą?

Musi tych rodzin – zastępczych zawodowych – być więcej. Także takich, które są gotowe przyjąć dzieci chore lub z niepełnosprawnościami. A żeby było ich więcej, potrzebne są zmiany.

Zacznijmy od końca, czyli od usamodzielnienia. Strasznie trudno jest przekonać kogoś, by zaopiekował się dzieckiem całkowicie zależnym od innych, gdy dalsza perspektywa życia tego dziecka – już po ukończeniu 18. roku życia – jest tak niepewna. Trzeba umożliwić przekształcanie rodziny zastępczej w rodzinny dom pomocy społecznej. Teraz to jest możliwe tylko teoretycznie: od pięciu mieszkańców wzwyż.

Co jeszcze?

Musi być realny, a nie tylko teoretyczny dostęp do specjalistów, lekarzy, rehabilitantów. I środków, które musimy na ten cel zdobywać. Wie pan, do nas podchodzi się na dwa skrajne sposoby.

Pierwszy: „robią to dla pieniędzy”.

I drugi – „święci ludzie”. Co by jednak o nas mówić, to musimy z czegoś płacić rachunki. Żeby dawać bezpieczeństwo, sami musimy się czuć bezpiecznie. A to jest trudne bez umowy o pracę.

Nie macie umów o pracę?

Nie mamy, bo ustawodawca takiej możliwości nie przewidział...

Rzecz kolejna: trzeba stworzyć pieczę zastępczą długoterminową. Piecza jest z definicji tymczasowa, ale są dzieci, takie jak np. Agnieszka i Nikola, które przebywają w niej długie lata.

Jest jeszcze adopcja.

Ale po pierwsze, dzieci niepełnosprawne i starsze mają na nią niewielką szansę. Po drugie, wcale jej nie rekomenduję osobom chcącym zaopiekować się dzieckiem z ciężką niepełnosprawnością.

> Moja córka byłaby do dzisiaj w placówce, gdyby nie trafiła do mnie. Ona tam już tkwiła w czymś, co niektórzy zwą **śmiercią psychiczną.**

Bo?

Bo po adopcji dziecko staje się nasze – tak jak to biologiczne. A wtedy pies z kulawą nogą nie interesuje się jego i naszymi potrzebami. Bycie rodziną zastępczą, przy wszystkich systemowych wadach, daje jednak jakiś pakiet wsparcia.

Z naciskiem na „jakiś”: pensje są zwykle głodowe, pieniądze otrzymywane na dziecko nie starczają na rehabilitację czy leczenie.

U mnie akurat nie jest tak źle, bo mam szczęście mieszkać w Gdyni – jednym z miejsc, gdzie naprawdę dba się o pieczę zastępczą. Ustawa określa próg minimalny zarobków, ale samorząd może więcej płacić.

Tylko że to jest jedna Gdynia. I jeszcze kilka miejsc, od lat podawanych jako wyjątki od smutnej reguły.

A są powiaty, które nie tyle płacą mało, co w ogóle nie tworzą rodzin zastępczych zawodowych. Umieszczają dzieci w rodzinie niezawodowej, np. spokrewnionej, dzięki czemu nie ponoszą kosztów.

Albo w placówce, która jest z kolei bardzo droga, ale dla urzędników wygodna: wszystko w jednym miejscu, nie trzeba „użerać się” z każdą rodziną z osobna.

Tymczasem państwo daje rodzicom zastępczym dodatek na dziecko z niepełnosprawnością – 200 zł! Koszt godziny pracy terapeuty, logopedy, rehabilitanta to 100 do 150 zł.

Skoro to wszystko jest takie trudne, pogmatwane...

...to dlaczego ktoś miałby dać się namówić do pełnienia tej funkcji? Wiele osób się takiemu wyborowi jak mój dziwi. A ja się dziwię, że się dziwią (*śmiech*).

Dlaczego?

Ich zdziwienie pokazuje, do jakiego punktu jako społeczeństwo zabrnęliśmy. Obejrzałam ostatnio fragment *reality show*: znane pary są poddawane ekstremalnym zadaniom, na granicy ryzyka. Robią abstrakcyjne rzeczy, np. idą na linie nad przepaścią albo próbują dźwigać ekstremalnie ciężkie torby, w efekcie czego jedna z tych pań niemal mdleje. Nie oceniam tego, tylko zastanawia mnie, że nikogo tego rodzaju rozrywki nie dziwią. Za to zdumienie budzi fakt, że ktoś zechciał zaopiekować się dziećmi skazanymi do końca życia na samotność. Wie pan, tu nie chodzi o wielką misję. Te dzieci dały mi więcej niż ja im.

Co?

Np. ustawienie priorytetów. Inną jakość relacji z ludźmi.

Myślałem, że ulegają pogorszeniu.

Rzeczywiście część osób zniknęła z mojego życia – nie mogli znieść odwołanych spotkań, przerwanych rozmów telefonicznych. Tylko że te opuszczone miejsca nie zostały puste. Dzięki córkom poznałam masę niezwykłych ludzi.

No i najważniejsze: Nikola byłaby dzisiaj w placówce, gdyby nie trafiła do mnie. Ona tam już tkwiła w czymś, co niektórzy zwą śmiercią psychiczną.

Mówi Pani o poczuciu sensu.

A więc o czymś, czego ludzie szukają całe życie.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

BEATA POTOCKA *jest matką sześciu córek, przewodniczącą zarządu Koalicji na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej. Autorka wydanej w 2020 r. przez Pomorską Fundację na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej książki „Ratujmy Świat”.*

OGŁOSZENIE

Postanowieniem z dnia 13 grudnia 2017 r. **Sąd Rejonowy w Jarocinie** Wydział I Cywilny zezwolił Gabrieli Antoniewicz na złożenie do depozytu sądowego kwoty 40 zł. Kwota powyższa jest zabezpieczona hipotecznie wpisem w księdze wieczystej na rzecz nieistniejącego Banku Spółdzielczego w Jaraczewie i została złożona do depozytu sądowego.

Sąd wzywa osoby uprawnione do odbioru depozytu, gdyż w przeciwnym razie stwierdzona zostanie likwidacja depozytu. Sygnatura I Ns 400/17.

Lewandowski na wagę

KRZYSZTOF STORY

Koszulki piłkarskie nie muszą służyć tylko do zarabiania pieniędzy przez producentów i kluby. Czasem mogą dostać drugie życie. I zmienić człowieka.

ARCHIWUM PRYWATNE MACIEJA NOWAKA

Maciej Nowak i jego kolekcja koszulek piłkarskich, kwiecień 2021 r.

Sześć lat temu pierwszy raz poszedł na lumpy. W zasadzie to bardziej towarzyszył koleżance. Oczywiście mógł poczekać na zewnątrz. Ona przebierałaby wśród bluzek i sukienek, on oparłby się o samochód, pograł na telefonie, sprawdził Facebooka. Stwierdził, że wejdzie do środka.

To był duży sklep z odzieżą używaną w jego rodzinnym Kędzierzynie-Koźlu, sieciówka. Czerwone wyklejki na oknach głoszą: „znane marki", „dobra jakość". Znalazł bluzę West Bromwich Albion – angielskiego średniaka. W oficjalnym sklepie klubowym kosztowałaby 180 zł. Tę z lumpeksu położył na wadze, zapłacił 2 zł z groszami.

Od tego czasu przez dom Macieja Nowaka przewinęło się kilka tysięcy koszulek piłkarskich, w większości z lumpeksów. Obecny stan swojej kolekcji ocenia na ponad tysiąc sztuk. Resztę przeznaczył na licytacje charytatywne i rozdał, np. w domach dziecka. W internecie działa jako Stadionowe Lumpy, licytacje organizuje głównie na Twitterze. Mówi, że to dla niego forma rehabilitacji za to, kim był w młodości. I dodaje, że taka zwykła koszulka z lumpeksu może zrobić dużo dobrego.

Na młyn

– Wszyscy myślą, że tysiąc koszulek musi zajmować cały dom. To nieprawda. Mam kilka kartonów na strychu i dużo więcej w garażu. To chyba nie tak źle? – mówi Maciej Nowak.

Dziś ma 29 lat. Zaczynał jak wszyscy: od biegania za piłką po podwórku. Od całych dni spędzonych na dworze i kłótni z mamą, że wcale nie trzeba wracać na obiad. Mógł mieć 12 lat, gdy pierwszy raz przekonał tatę, żeby poszli na mecz. Ekstraklasa, dwie drużyny ze Śląska. Więź z piłką zyskała nowy aspekt.

– Sam też grałem w amatorskich klubach, klasy A i B. Najczęściej na bramce, chyba że klub miał już bramkarza. Wtedy ze względu na wzrost przesuwano mnie na atak. Mam 172 cm. A kibicowanie? Na mecze jeździłem z tatą, później samemu. W wieku 15 lat pierwszy raz przeszedłem na „młyn".

Młyn, czyli najgorętsza trybuna na stadionie, każdy klub taką ma. Ta dla najbardziej zaangażowanych fanów i, nazywając rzeczy po imieniu, dla kiboli. Na jednej ze stron kibicowskich znajduję instruktaż zachowania się na młynie. Fragmenty: „Tutaj się dopinguje! W raju jest pięknie, ale w piekle jesteśmy my. Stwórzmy piekło drużynie zza miedzy. Niech już wychodząc na rozgrzewkę usłyszą potężną falę gwizdów i buczenia. Ma być ogień!".

– To etap życia, o którym chcę zapomnieć. Wstydzę się tego. Miałem 15, może 16 lat. Rodzice, mama pedagożka, tata prowadzący firmę, mieli na mnie coraz mniejszy wpływ. Wrzawa na stadionie, atmosfera, to robiło na mnie wrażenie. Starsi, silniejsi goście też. Wpadłem w zupełnie inne towarzystwo. Zacząłem jeździć na wyjazdy – wspomina Maciek. – To wszystko zaczęło się nie tak, jak powinno. Moje poglądy na świat ukształtowały się na młynie.

Nigdy nie miał kłopotów z prawem, choć czasem żałuje, że ktoś go wtedy za rękę nie złapał. Mówi, że zdarzały mu się bijatyki podczas wyjazdów czy na dworcu.

Ulubiona koszulka

– Długo do mnie nie docierało, co ja właściwie robię – Maciek mówi spokojnie, powoli. – Np. to, że hasła, które wznoszę, są rasistowskie. Że Żydzi albo Afroamerykanie niekoniecznie są źli, że homoseksualizm to nie jest najgorsza...

Głos się Maćkowi zacina, przeprasza, że nie może znaleźć słowa. Uważa, że zrobił w życiu zwrot o 180 stopni. Nie pamięta, kiedy ostatni raz był na młynie, na pewno minęło już pięć lat. W tym samym czasie zaczął zbierać koszulki, a cztery lata temu poznał Ewę, przyszłą żonę. Stadionowe Lumpy to rehabilitacja za to, co było wcześniej. Zaczęło się od tamtej bluzy, kolejnych wizyt w ciucholandach i prywatnej kolekcji koszulek.

– Są różni kolekcjonerzy. Oczywiście za odpowiednią sumę pieniędzy możesz kupić wszystko w klubowym sklepie. Idąc do second-handu nie masz pojęcia, co cię czeka. Raczej nie wieszaki pełne markowych koszulek Adidasa czy Nike'a. I nie wiesz, czy trafisz nazwisko piłkarza, którego bardzo lubisz, choć nie jest zbyt popularny. Mi się akurat trafiło. Wielu ludzi nie zrozumie tego, że mogą ci się ugiąć nogi na widok koszulki piłkarskiej.

Tak w kolekcji pojawiła się koszulka Rui Costy, reprezentanta Portugalii. W zbiorach jest też parę innych perełek, choćby trykot reprezentacji Włoch z 2006 r. z nazwiskiem Alessandro Del Piero. Niektóre koszulki mają po 40 lat. Maciek mówi, że to nic w porównaniu ze znaleziskami innych lumpiarzy. ↦

↦ – Lubię te reprezentacyjne z Bliskiego Wschodu, Ameryki Południowej czy Afryki. Mam piękne i rzadkie koszulki ze Sri Lanki czy Syrii, ale dla mnie ich obiektywna wartość nie ma tak dużego znaczenia. Oczywiście nie biorę podróbek beznadziejnej jakości, gdzie zamiast Barcelona jest napisane Banderola. Ale nawet nieoryginalna koszulka może komuś sprawić dużo radości.

Na co dzień pracuje w zakładach azotowych w Kędzierzynie. Wycieczki do second-handów stały się dla Maćka i Ewy drugim życiem. Od roku mieszkają w Zdzieszowicach, gdzie „lump" jest tylko jeden. Jeżdżą więc do sąsiednich: Kędzierzyna, Krapkowic i Strzelc Opolskich. Często wybierają się dalej. Byli już w ciucholandach każdego z 16 województw. Tak układają trasę wspólnych podróży.

– W tym roku jedziemy do Mołdawii i Rumunii, żeby polumpować w innych krajach. Oczywiście to nie jest główny cel, ale z tyłu głowy już mamy myśl, że fajnie byłoby wejść do second-handu w Klużu-Napoce czy Bukareszcie.

Lumpozeum

Pomysł na Stadionowe Lumpy przyszedł później. Profil na Twitterze Maciek założył w sierpniu 2018 r.

– To, co znalazłem na wieszaku, wrzucałem do sieci. Na początku ludzie proponowali mi o złotówkę więcej. Od razu pisałem, że nigdy nie sprzedam tych koszulek. Szybko przyszło do głowy pytanie: ile dobrego można tym zrobić?

Na licytację dość szybko poszła pierwsza koszulka. Od tego czasu Maćkowi i jego społeczności udało się zebrać kilkanaście tysięcy złotych na różne cele charytatywne i przekazać setki koszulek domom dziecka.

– Kluczem jest scalona społeczność – podkreśla Maciek. – Ja jestem bardziej redaktorem Lumpów niż twórcą. Choć oczywiście dla mnie i Ewy to prawie drugi etat. Sortowanie, prasowanie, notowanie wszystkiego. Komu przekazać koszulki, komu się przydadzą, obsługa licytacji, promocja. W internecie dostawaliśmy dużo komentarzy od obrońców oryginalności koszulek. Zarzucali nam, że promujemy fejki, więc zorganizowaliśmy akcję #oddajfejka. Prosiliśmy ludzi, żeby odesłali nam zalegające w szafach koszulki dobre, ale niekoniecznie oryginalne, a my przekażemy dzieciakom. Dostaliśmy ponad 600 koszulek z sześciu krajów. 40 procent i tak było oryginalnych. Jedna paczka już poszła do Tanzanii, druga do Gambii, jeszcze będziemy wysyłać. Dzieciaki, niezależnie od kraju, nie patrzą na metki. One się cieszą, że mają na plecach napisane „Messi" albo „Lewandowski". Dlatego cały czas rozwijamy Stadionowe Lumpy. Wśród ambasadorów mamy np. Mateusza Klicha, reprezentanta Polski, pracujemy nad stworzeniem fundacji.

Maciek i Ewa chcą założyć Muzeum Koszulki Piłkarskiej. Maciek w żartach nazywa je Lumpozeum. Docelowo będzie tam siedziba fundacji, ekspozycja koszulek i mały warsztat krawiecki, bo sporo koszulek przychodzi lekko uszkodzonych.

– Mówię to bez żadnych pretensji. O to chodzi w lumpingu, żeby ubraniom dawać drugie, trzecie, czasem czwarte życie.

Koszulki to najbardziej pożądany gadżet związany z piłką nożną. Kluby i producenci (głównie Nike i Adidas) zarabiają na nich ogromne pieniądze (według raportu z 2011 r. europejskie kluby sprzedawały prawie 14 mln koszulek rocznie). Oczywiście to drobiazg w olbrzymich budżetach firm takich jak Real Madryt czy Manchester United, ale nie w budżecie chłopców i dziewczyn na osiedlowych boiskach. Oryginalna koszulka reprezentacji Polski z dziewiątką i nazwiskiem Lewandowski kosztuje 560 zł.

– Dla mnie w dzieciństwie takie ceny były nieosiągalne. Ale chodzi nie tylko o pieniądze. Warto też zarażać ludzi tym, że używane nie musi być gorsze. Bardzo podoba mi się życie *less waste*. My robimy to na sportowo, piłkarsko, ale przesłanie jest uniwersalne. Współpracujemy z domami dziecka. Często spontanicznie piszę, że możemy przywieźć koszulki, bo akurat mamy po drodze. W pandemii czasem musieliśmy zostawiać torby pod bramą. Ale jeszcze nigdy nie usłyszeliśmy: „Nie, to się nam nie przyda".

Tamten człowiek

– Pamiętasz pierwszą, którą zlicytowaliście? – pytam.

– Oczywiście – odpowiada Maciek. – To była koszulka reprezentacji Syrii. Poszła za 600 zł, wszystko przekazaliśmy fundacji Światło dla Syrii.

– Wybacz, ale ostatnie, z czym kojarzą mi się kibice w Polsce, to wspieranie organizacji prouchodźczych.

– Wiem. Nie wiem tylko, kto i jak mógłby to zmienić. To dla mnie bardzo ciężkie, bo nie umiem być optymistą. Myślę, że tego się nie da odwrócić. Że ten mental na stadionach, rasistowskie hasła i przemoc, będą nam towarzyszyć przez następne kilkadziesiąt lat.

Maciek mówi, że przecież sam kiedyś taki był. Jeszcze dwa lata temu przymykał oko na rasistowskie odzywki dawnych kumpli ze stadionu. Nie wie, co powiedzieliby mu dzisiaj. Niektórzy też myślą inaczej niż wtedy. Inni nie podaliby mu ręki.

– Dla mnie to była trudna i stopniowa zmiana. Pomogło mi to, że przez większość życia miałem boję, której wtedy nie dostrzegałem.

Rolę boi spełnił w życiu Maćka jego kuzyn i ojciec chrzestny, Radosław Rzehak, który od ponad 10 lat pracuje w UNICEF. Prowadził programy pomocowe w Syrii, Libanie, Armenii, Kazachstanie i na Ukrainie. Obecnie stacjonuje w Malezji.

– To był partner do rozmowy, nawet kiedy miałem radykalne poglądy. Uświadamiał mi, że świat nie wygląda tak, jak go widzę z perspektywy trybuny stadionu.

Chrzestny podsuwał Maćkowi książki, polecał czytać np. Wojciecha Tochmana. Albo „Chłopca z Aleppo, który namalował wojnę" Sumi Sukkar.

– To nie mogło być aż tak proste. Nie wystarczy dać rasiście Tochmana, żeby przestał być rasistą – komentuję.

– Tę pracę musiałem wykonać sam. Zacząłem czytać, oglądać filmy, dowiadywać się. To był długi proces, a nie magiczne zaklęcie. Radek w pewnym momencie przestał się nawet do mnie odzywać. Dwa, może trzy lata milczenia – to był mocny bodziec. Teraz widzę, że cieszy się z mojej przemiany.

– A ty? Cieszysz się?

– Słuchaj, ja kiedyś na ulicy oplułem człowieka, bo miał spodnie typu rurki w kolorze innym niż czarny lub niebieski. Razem z kumplami wymierzaliśmy mu za to „karę". Temu człowiekowi współczuję i przepraszam, że trafił na mnie i moich kolegów. Ewa nigdy nie wyszłaby za tamtego typa z młyna. Cieszę się, że to wszystko potoczyło się inaczej. Dużo się nauczyłem. Np. tego, że jeśli tysiąc osób głośno coś krzyczy, to wcale nie musi być prawda.

© KRZYSZTOF STORY

JACEK

Podsiadło: *Kształcisz kalectwo interdziedzinowe*

Stają przed Wami na baczność i w patriotycznej bieliźnie, gdyż hymn państwowy mam na końcu języka. Wpierw jednak uspokajam, że zapowiedziana przez p. Czarnka kolejna konserwatywna kontrrewolucja (dalej: ko-ko-ko) nie powiedzie się. Sam się z tym zdradził, ogłaszając, że orężem ko-ko-ko będą m.in. „znakomite komiksy dla dzieci i młodzieży pięknie pokazujące w pozytywny sposób historię Polski również". Już ja widzę te komiksy! Już teraz, przed ko-ko-ko, jest nieźle, o czym wiem, odkąd pandemiczna zapaść szkolnictwa uczyniła mnie guwernerem własnej córki i zaglądam do aktualnych podręczników.

Pochylmy się choćby nad tym, czego w podręcznikach ko-ko-ko ma być więcej i więcej: nad liryką patriotyczną. Wiadomo: oświecenie, rozbiory, ojczyzna w potrzebie, pisarze do piór. „Hymn do miłości ojczyzny" Krasickiego równie głośny wyznaniem, że dla ojczyzny „Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać", co enigmatyczny we fragmencie „Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny". Autorzy „Sztuki wyrazu" Gdańskiego Wydawnictwa Oświatowego przytaczają legendę, wg której Krasicki napisał swój hymn po tym, jak pędził biskupią taradajką w terenie zabudowanym i potrącił żołnierza, który w ostatnich swych słowach, zamiast opierdzielić woźnicę, który go właśnie zabił, zaczął dłuższą nawijkę „o miłości i poświęceniu dla ojczyzny". I dodają: „Współcześnie pieśń jest śpiewana przez podchorążych szkół wojskowych podczas uroczystości inauguracji roku akademickiego". Powołują się na legendę, a przemilczają znany fakt, że pieśń jest fragmentem „Myszeidy", w związku z czym podchorążowie dzisiejsi wyśpiewują myśli Gryzomira, samca myszy wracającego z emigracji do ojczystej mysiej dziury. Przemilczają, że w artykułach w „Monitorze" Krasicki wyraźnie i dobitnie przedkładał życie dla ojczyzny nad umieranie dla niej, że z niegotowej jeszcze „Myszeidy" wyjął jedną oktawę i dla zabawy opublikował ją w numerze „Zabaw Przyjemnych i Pożytecznych" i że potem nawet sparodiowanie własnej parodii w „Monachomachii", gdzie ojczyznę zastąpił szklanicą, nic nie pomogło. Zanim autor zdołał cokolwiek wyjaśnić, przemyślenia Gryzomira stały się „odmawianą jak pacierz patriotyczną modlitwą i nieoficjalnym hymnem narodowym", jak podaje Małgorzata Strzałkowska w książce „Mazurek Dąbrowskiego".

Tę przezabawną monografijkę hymnu poprzedził złożoną w pięknej polszczyźnie („Kiedy zaczynało braknąć siły państwu...") przedmową prof. dr hab. Jan Żaryn. W poincie jej prof. dr hab. kładzie *imprimatur*: „Jest to rzetelne kompendium wiedzy. Dziadkowie i rodzice mogą z czystym sumieniem czytać do poduszki kolejne zwrotki hymnu i wspólnie z dziećmi, jak w przypadku modlitwy, analizować ich głęboką treść". Siusiu, Mazurek, spać! Napisaną na kolanie przez Józefa Wybickiego żołnierską piosenkę p. Strzałkowska przytacza zarówno w wersji oryginalnej, jak i w tej okrojonej i przerobionej na potrzeby państwowego hymnu. Analizując z córką głęboką treść, posiłkowaliśmy się podręcznikiem „Przeszłość i dziś" Krzysztofa Mrowcewicza (wydawnictwo Stentor i Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne), odpowiadając na zadawane przez niego pytania. Zabawa przyjemna i pożyteczna. „W jaki sposób tekst Pieśni Legionów nawiązuje do folkloru?" „Tekst utworu w ogóle do folkloru nie nawiązuje". Największą frajdę sprawił nam autor podwójnym pytaniem: „Jakie formy czasowników dominują w refrenie? W jakim celu poeta je zastosował?", na które odpowiedzieliśmy samowtór, że w refrenie dominuje forma czasownika „złączym się", gdyż innego czasownika w refrenie nie ma, i że poeta zastosował go w celu, żeby zdanie przez niego zbudowane posiadało orzeczenie. Tego ostatniego nie byliśmy pewni, bo koślawością swych zdań Wybicki wybitnie się nie przejmował. Za to p. Strzałkowska przejmuje się bardzo i wszelkimi sposobami próbuje jego nieudolność usprawiedliwić. Wyjaśnia, że Wybicki każe legionistom przejść najpierw Wisłę, a dopiero potem Wartę, bo „trasa marszu Legionów Dąbrowskiego miała prowadzić od południa, znad Adriatyku, na północ". Moja córuś wyraża opinię, że polskie oddziały nie stacjonowały nad Adriatykiem, ale w Lombardii, na północy Włoch, i że gen. Dąbrowski prosił Napoleona o pozwolenie przedzierania się na wschód przez Chorwację i Węgry, żeby zaatakować Galicję od strony Bukowiny, ale to i tak nieistotne, bo w tekście Wisła tylko dlatego wyprzedza Wartę, że nie rymuje się z Bonapartem. A Bonaparte był Wybickiemu niezbędny, bo podlizywanie mu się było jedyną nadzieją na wybicie się na niepodległość; nikt wtedy jeszcze nie wiedział, że wielki kurdupel zamiast ku Wiśle i Warcie rzuci Legiony Polskie na Haiti Czarnej Kitty na pożarcie.

W mojej ulubionej strofie „Pieśni Legionów", tej, w której „hasłem wszystkich zgoda będzie", ale dopiero po uprzednim jęciu się pałasza, p. Strzałkowska zauważa pewną nieskładność składni, ale usprawiedliwia ją, bo „i dziś mamy kłopoty z imiesłowami" (jak macie, to nie piszcie książek, zwłaszcza adresowanych do uczniów). Nie zauważa natomiast, że w ostatniej linijce ostatniej strofy Wybicki popełnił poetyckie samobójstwo tragicznie gubiąc metrum („Kościuszkę Bóg pozwoli"). Krótko mówiąc, p. Czarnek, który właśnie odkrył rodzinę jako nową gałąź nauki („Zastanawialiśmy się, gdzie ją umiejscowić, czy w dziedzinie nauk społecznych, czy nauk teologicznych, a może powinna to być nauka interdziedzinowa"), winien od razu odkryć hymnopedię, by móc wzmóc żądz moc i kolejne zwrotki czytać do poduszki interdziedzinowo również. ©

PRZESTĘPCZE ZWIĄZKI

VITTORIO ALBERTI, KOORDYNATOR WATYKAŃSKIEJ GRUPY ROBOCZEJ DS. EKSKOMUNIKI MAFII:

Biskupi powinni mieć doktrynalne wsparcie, gdy wskazują, że działalności mafijnej nie da się pogodzić z Ewangelią.

EDWARD AUGUSTYN: Czy mafiosi przestraszą się ekskomuniki?

VITTORIO ALBERTI: Jedni tak, inni nie. Ci, dla których mafia jest religią, którą sami sobie stworzyli, na pewno się tym nie przejmą. Ale inaczej do groźby ekskomuniki podejdą ci, którzy wykorzystują katolicką religię do własnych celów: sprawowania władzy, zapewnienia dla niej publicznej akceptacji. Ci, którym potrzebne są procesje, chrzty itp. Jeśli Kościół to utnie, i to na poziomie światowym, będzie to dla nich pewien problem.

Tak czy siak słowa papieża wprowadziły ten temat do dyskursu społecznego i samo to już ma znaczenie. Może np. powodować konflikty sumienia czy problemy w wychowaniu – oczywiście nie u mafijnych bossów, ale na niższym poziomie z pewnością. Choćby wśród tzw. taniej siły przestępczej.

Tylko dlaczego ekskomunikować akurat członków mafii, a nie po prostu morderców, gwałcicieli czy pedofilów? Może księża wykorzystujący dzieci przestraszyliby się groźby ekskomuniki bardziej niż mafiosi?

Może. Nie wiem. I na ten temat nie chciałbym się wypowiadać. Jestem członkiem grupy, która zajmuje się problemem mafii.

Pytam, bo staram się zrozumieć, dlaczego najwyższa kara kościelna ma być nakładana tylko za takie przestępstwa, a nie za inne, nie mniej okrutne.

Jedno nie wyklucza drugiego. Ale na temat wspomnianych przez pana przestępstw doktryna Kościoła i prawo kanoniczne wypowiada się jasno. To nie wymaga dziś żadnych deklaracji najwyższego urzędu nauczycielskiego Kościoła. Natomiast jeśli chodzi o mafię, mamy doktrynalną dziurę. Chodzi więc o zlikwidowanie doktrynalnego deficytu, jakiego Kościół doświadcza w tej sprawie. Franciszek w 2014 roku ekskomunikował mafiosów i otworzył dyskusję, co to oznacza z punktu widzenia nie tylko prawa kanonicznego, ale też doktryny społecznej Kościoła, teologii pastoralnej itd. Musimy iść drogą wytyczoną przez papieża. On otwiera przed nami nowe drzwi i kuria nie może stać w miejscu. Nie możemy nie słuchać i nie starać się zgłębiać tego, co mówi papież.

Przypomnijmy: w 2014 roku, podczas mszy w Cassano all'Ionio w Kalabrii, papież powiedział: „Wszyscy, którzy w swoim życiu podążają drogą zła, tak jak to robią mafiosi, nie są w łączności z Bogiem. Są ekskomunikowani". Czy to była ekskomunika? Czy tylko jej zapowiedź? A może po prostu taka retoryka?

Zasadniczo to była już ekskomunika. Bo skoro takie słowa wypowiada papież, to jego wypowiedź ma wszystkie atrybuty wypowiedzi najwyższego urzędu Kościoła, na najwyższym poziomie. I właśnie dlatego od momentu, w którym papież to zdanie wypowiedział, pojawiła się konieczność zgłębienia tematu, uczynienia papieskich słów skutecznymi na poziomie całego Kościoła powszechnego. A jednocześnie zwiększenia zasięgu papieskiego przesłania: powtórzenia go i zintensyfikowania.

Chyba powinniśmy zacząć od definicji. Ekskomunika to przecież jasno określony termin prawny: najwyższa kościelna kara za przestępstwo, która m.in. pozbawia katolika możliwości przyjmowania sakramentów.

Tyle że problem jest bardziej skomplikowany i dlatego wymaga głębszego zbadania. Ekskomunika dla mafiosów to zagadnienie wielopoziomowe. Dziś działalność Kościoła nie sprowadza się przecież tylko do wydawania wyroków, nie chodzi o nowe procesy inkwizycyjne. Oczywiście, wymiar prawny jest zasadniczy, ale musi mu towarzyszyć wymiar doktrynalny, duszpasterski, społeczny i kulturowy. Weźmy choćby sytuację więziennego kapelana. Gdy staje przed nim skazany, który czuje się ekskomunikowany, kapelan nie wie dziś, co ma robić, jak się zachować wobec sytuacji i potrzeb duchowych tego więźnia. To aspekt duszpasterski.

Innym problemem – społecznym i kulturowym – są mosty, które łączą katolicyzm z mafijnymi strukturami. Trzeba je definitywnie zburzyć, bez jakichkolwiek wątpliwości. A jak dotąd były one bardzo liczne, możemy wręcz mówić o przyleganiu tych światów do siebie.

Przepraszam, ale z punktu widzenia obcokrajowca, nie-Włocha, problem procesji z figurą, która kłania się przed domem bossa, wygląda nieco folklorystycznie.

Tak, wiem. Często się spotykam z taką opinią. Za granicą, w Niemczech czy w Polsce, mafia traktowana jest jak włoski folklor. I że problem dotyczy tylko Włoch, a w zasadzie nawet tylko południa Włoch: sycylijska Cosa Nostra, kalabryjska 'Ndrànghеta itd.

Nieraz słyszałem, choćby w Parlamencie Europejskim, takie zdanie: u nas nie ma żadnej mafii. A ja wam mówię, że jest. Choćby dlatego, że przeniosły się do was mafie włoskie, by robić legalne interesy. We Włoszech prawo karne jest bardzo surowe, jeśli chodzi o walkę z mafią. Za granicą nie ma prawa antymafijnego, więc nasi mafiosi są tam mniej narażeni na wykrycie. I nawet jeśli jakiś boss zostanie tam zatrzymany, ryzykuje dużo mniej niż we Włoszech.

Są mafie niewłoskiego pochodzenia?

Ależ oczywiście. Np. w Ameryce Łacińskiej, choćby w Kolumbii.

Czy nie mówimy po prostu o zorganizowanej przestępczości?

Mafia to coś więcej. Ma swoje rytuały, reguły. Przysięgę, potwierdzaną własną krwią, że do końca życia będzie się do niej należeć. Można powiedzieć: własne *sacrum*. To cała kultura, no, może lepiej powiedzieć: subkultura. To nie tylko przemoc zorganizowana, ale też systematyczna i taka, która szuka dla siebie społecznej aprobaty, zgody na swoją władzę nad danym terytorium. W ten sposób staje się alternatywą dla władzy państwowej i publicznej. Często zresztą jest z tą władzą spleciona. To całkowicie inny, wyższy poziom kryminalności.

Czy mafiosi są mocno wierzącymi katolikami?

Tak się powszechnie uważa. Ale powiedzmy jasno: przynależność do Kościoła kłóci się z przynależnością do mafii. Struktury mafijne są ze swej natury idolatryjne. Działalność mafijna jest sprzeczna z Ewangelią. I wychodząc od tej oczywistości, należy zacząć zmieniać ↦

Procesja z figurą Matki Bożej wokół sanktuarium Madonna di Polsi, San Luca, sierpień 2015 r. W toku śledztwa prowadzonego przez włoską prokuraturę w 2017 r. ustalono, że to górskie sanktuarium było miejscem spotkań najważniejszych bossów 'Ndranghety (mafii kalabryjskiej).

PACIFIC PRESS / ALAMY / FORUM

↦ mentalność i duszpasterstwo. I to właśnie robimy.

W 2017 roku odbyła się w Watykanie konferencja na temat korupcji i już wtedy mówiono o potrzebie wyjaśnienia problemu ekskomuniki dla mafii.

Tak. Sam tę konferencję organizowałem. Powstała wtedy międzynarodowa grupa robocza zajmująca się korupcją i pojawił się pomysł stworzenia grupy, która w podobny sposób będzie pracować nad zagadnieniem ekskomuniki dla mafii.

I ta grupa powstała w maju tego roku. Co się przez te cztery lata działo?

Niestety, mieliśmy nieco problemów. Muszę szczerze przyznać, że nawet tu, w Watykanie, nie było łatwo forsować ten temat. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale dopiero po pokonaniu tych trudności mogliśmy zorganizować nasz zespół. Stąd opóźnienie.

Papież podczas tamtej konferencji mówił, że ekskomunikowana powinna być nie tylko przynależność do mafii, ale też korupcja. To wciąż aktualne?

Tam gdzie jest mafia, jest też korupcja. Choć to nie to samo, bo nie za każdą korupcją stoi od razu mafia, to jednak korumpowanie jest dziś podstawowym narzędziem działalności mafijnej. Dziś włoskie mafie nie mają już takiej potrzeby używania broni, jak kiedyś. Dysponują tak ogromnymi pieniędzmi, które przez lata zgromadziły, że mogą używać ich do korumpowania i dalszego pomnażania zysków. Pandemia jeszcze zwiększyła możliwości mafii w tym względzie. Papież mówi, że korupcja to coś więcej niż grzech. I że jest dużo bardziej niebezpieczna.

To stan: mentalny, duchowy, polityczny, ekonomiczny. Walka z korupcją to główna oś pontyfikatu Franciszka. Nauka społeczna Kościoła nie mówi zbyt wiele o korupcji. Większość wypowiedzi na ten temat jest autorstwa papieża Franciszka. Ale trzeba je rozumieć bardzo szeroko.

Nie chodzi więc tylko o korupcję finansową?

Nie. To nie jest tylko kwestia łapówek i przekupstwa. Pamięta pan przemówienie Franciszka o piętnastu plagach w kurii rzymskiej? To też formy korupcji. Klerykalizm to też rodzaj korupcji. Słowo „korupcja" po włosku oznacza coś więcej niż przestępstwo ekonomiczne. Oznacza wspólne niszczenie, rozbijanie tego, co nas trzyma razem, co nas integruje. Nie tylko pod względem moralnym, ale też intelektualnym. Owocem tamtej konferencji była książka kard. Petera Turksona, prefekta Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka, pt. „Korozja. Walka z korupcją w Kościele i społeczeństwie". W syntetyczny sposób zbiera wszystkie te wątki.

W starym Kodeksie Prawa Kanonicznego była przewidziana ekskomunika za przynależność do masonerii, jak również za wyznawanie ideologii komunistycznej. Czy teraz – mówiąc o karach za członkostwo w mafii albo za korupcję – mamy do czynienia z podobnym pomysłem?

Nie. Dziś patrzymy na problem dużo szerzej. Jak mówiłem, nie mamy już do czynienia z Kościołem, który z wysokości swojej instytucjonalnej władzy wydaje wyroki. Musimy porzucić ten schemat instytucji kościelnej – można powiedzieć: klerykalny. Instytucji, która reprezentuje Absolut i z tej racji pełni najwyższą władzę. Decyzja Kościoła nie jest przecież wyrokiem ostatecznym. Głosząc Ewangelię, Kościół głosi przecież nawrócenie. Musi być otwarty na poprawę grzesznika i mieć w sobie nadzieję, że on się nawróci.

Można mówić jednocześnie o ekskomunice dla mafiosów oraz o przebaczeniu i miłosierdziu?

Ekskomunika ma być kuracją leczącą. Nie mylmy tych spraw. Żeby nie było żadnej dwuznaczności. Przecież wiemy, że byli i są księża, którzy ideę przebaczenia traktują w tak rozszerzający sposób, że tworzą, choćby nawet bez złych zamiarów, przestrzeń przylegania do siebie katolicyzmu i mafijnej przestępczości. Nie mówię tu już o tych, których zamiary od początku są złe i którzy świadomie stają się wspólnikami mafii. To wszystko musi się skończyć.

W jaki sposób będzie nakładana ekskomunika na mafiosów? Czy Kościół będzie prowadził własne procesy, czy będzie czekał na prawomocny wyrok sądu państwowego?

To dobre pytanie. Jest wiele trudności, które trzeba rozwiązać. Co innego grzech, co innego przestępstwo. Pojawia się problem uprawnień. Przestępstwami powinno zajmować się państwo, Kościół ma kształtować sumienie. Wyznaczać granice. Ale też ujawniać te siły, które są po przeciwnej stronie. Które niszczą dobro wspólne – bo przecież gdy mówimy o mafii, mówimy także o polityce, o rozwoju społecznym, ekonomii, szkolnictwie, wychowaniu, o tym wszystkim, co mafia i korupcja niszczą.

Nawet państwo, dysponując aparatem wymiaru sprawiedliwości, nie zawsze znajduje dowody na przynależność podejrzanego do mafii.

POŻEGNANIE

28 maja 2021 roku w Krakowie zmarł

Jan Książek

Aktor Teatru Cricot 2.
Pracował w Teatrze Starym i Bagateli, a także w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej oraz dla Grupy Krakowskiej.
W latach 1981–1990 był pracownikiem Cricoteki.
Uczestniczył w projektach teatralnych Lidii Wilk.
Corocznie, począwszy od 1991, w rocznicę śmierci Tadeusza Kantora tworzył jeden z „Żywych Pomników" jako Wieczny Wędrowiec.

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o Jego śmierci.
Rodzinie oraz bliskim składamy najszczersze wyrazy współczucia.

Dyrekcja oraz Zespół Cricoteki

Ale nie ma potrzeby, by Kościół prowadził jakieś dochodzenia i udowadniał komukolwiek winę! Jeśli Kościół mówi, że nie wolno zabijać albo kraść, to nie musi dodatkowo mówić, że Edward czy Vittorio coś ukradli albo kogoś zabili.

Czyli słów o ekskomunice mafiosów – konkretnej karze, przewidzianej przez Kodeks Prawa Kanonicznego – nie musimy brać dosłownie. Wygląda na to, że należy je rozumieć jako ostrzeżenie. Że chodzi o aspekt wychowawczy, poprawczy i zniechęcający do przestępstwa.

Chodzi zarówno o aspekt prawny, jak i wychowawczy. Biskup czy ksiądz spotykający się z problemem musi mieć normę prawną, której będzie się trzymał. Jeśli biskup staje w obliczu groźby, albo choćby wobec procesji religijnych kontrolowanych przez grupy kryminalne, albo gdy ktoś próbuje go przekupić, musi mieć mocne rusztowanie prawne i doktrynalne, którego będzie się trzymał. Jego problemy muszą być rozwiązane, a przeszkody zniwelowane. Wchodzimy na niebezpieczny teren. Bo jednak tam, gdzie mafia działa – czy to w Kolumbii, czy na Sycylii, czy w Mediolanie – biskup, a nawet każdy ksiądz powinien mieć prawo wypowiadać się w sposób jednoznaczny i mieć w tym wsparcie doktrynalne ze strony Kościoła. Księża są najbliżej. Dlatego tylu księży zostało zabitych przez mafię. I dlatego też tylu było z mafią w zmowie i dochowują omerty. Więc inaczej problem wygląda na poziomie lokalnym, konkretnej parafii i diecezji, a inaczej w szerszej perspektywie, gdzie na pewno istotniejszy jest jednak aspekt wychowawczy i ostrzegawczy.

Dzisiaj takiego wsparcia doktrynalnego nie ma?

Nie ma. Nie ma go nawet we Włoszech, na poziomie konferencji episkopatu Włoch. Są dokumenty z regionalnych spotkań biskupów, ale nie mają one siły doktrynalnej, jaką ma nauczanie uniwersalne, ważne dla całego Kościoła. A każdy biskup działający na terenie mafijnym, każdy pojedynczy ksiądz musi mieć narzędzia, które pomogą mu zmierzyć się z tym problemem osobiście. Wsparcie w doktrynie uniwersalnej posłuży także ochronie biskupów i księży pracujących na terenach podporządkowanych mafii.

CRISTIAN GENNARI / MATERIAŁY PRASOWE

VITTORIO ALBERTI (ur. 1978 r.) jest filozofem i pisarzem, urzędnikiem Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka, koordynatorem watykańskiej grupy roboczej ds. ekskomuniki mafii oraz komisji ds. sprawiedliwości i zwalczania korupcji.

GRUPA ROBOCZA DS. EKSKOMUNIKI MAFII powołana została w Watykanie 9 maja 2021 r. przez kard. Petera Turksona, prefekta Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka. W jej skład wchodzą: abp Michele Pennisi z archidiecezji Monreale, która jest częścią kościelnej prowincji Palermo na Sycylii, Giuseppe Pignatone, prezes watykańskiego Trybunału Stanu i były prokurator Rzymu, ks. Luigi Ciotti, założyciel fundacji Libera, walczącej z mafią i wspomagającej jej ofiary, Rosy Bindi, eksprzewodnicząca komisji antymafijnej włoskiego parlamentu, ks. Raffaele Grimaldi, inspektor generalny włoskich kapelanów więziennych, ks. Marcello Cozzi, ekspert prawa kanonicznego, o. Ioan Alexandru Pop, przedstawiciel Papieskiej Rady ds. Tekstów Prawnych i Vittorio Alberti – koordynator z Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka.
©℗ EA

Dlatego najpierw musimy się z nimi spotkać i wysłuchać ich uwag. By poznać ich problemy.

Kiedy będą pierwsze rezultaty waszej pracy?

Na razie opracowujemy plan. Cała grupa będzie spotykać się raz w miesiącu, w międzyczasie ja będę w kontakcie ze wszystkimi osobno, by koordynować ich pracę. Mamy zamiar spotykać się z ofiarami mafii, ze skazanymi, z policjantami, prokuratorami itd. To wszystko musi przebiegać w zaplanowany, przemyślany sposób.

A pierwsze zmiany w prawie?

Na pewno musimy wypracować normę prawną. Tym będą się zajmować nasi kanoniści. Propozycja zmiany przepisów zostanie przedstawiona papieżowi, który je albo zaakceptuje, albo poprawi, albo odrzuci. Może będzie to dodatkowa, specjalna ustawa, bez zmiany Kodeksu Prawa Kanonicznego. A może zostaną wprowadzone do niego nowe rozdziały czy paragrafy. Tego jeszcze nie wiemy. Może też zostanie wprowadzony nowy punkt do Katechizmu Kościoła Katolickiego. To pierwsza sprawa. Ale musimy też opracować taki tekst, który będzie mieścił nie tylko normę kanoniczną, ale stanie się kompendium doktryny społecznej Kościoła na ten temat, obejmując teologię, duszpasterstwo, kwestie społeczne, kulturowe, cywilizacyjne.

Dużo będzie zależało od wsparcia ze strony innych dykasterii Kurii Rzymskiej. W tej chwili przy projekcie współpracują trzy: Dykasteria ds. Rozwoj Integralnego Człowieka, Papieska Rada ds. Tekstów Prawnych i Kongregacja Nauki Wiary, której przedstawiciel ma wkrótce do nas dołączyć.

Co w tej chwili uważa Pan za największą trudność?

Cały aspekt duszpasterski, bardziej skomplikowany niż sama zmiana prawa. Musi on uwzględniać zarówno wyrok skazujący, jak dawać szansę na poprawę. I robić to tak, by nie powstawała żadna dwuznaczność, by nie przyczyniać się do powstawania lub poszerzenia tego, co nazywamy „szarą strefą". Żeby nie było cienia podejrzeń o zbliżenie, a tym bardziej współpracę kapłanów z mafią. Bo siła mafii nie leży w niej samej, ale na zewnątrz – mafia wykorzystuje sieć, którą nazywamy właśnie „szarą strefą" albo „mafijną burżuazją". To różne osoby, które wykonują różne przydatne dla mafii profesje, same nie będąc jej członkami: przedstawiciele świata finansów, polityki, prawa. To oni tworzą potęgę gospodarczą mafiosów i są ich siłą. Księża też się do tego przyczyniają. Na całym świecie.

©℗ Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN

DARRYL DYCK / THE CANADIAN PRESS / EAST NEWS

DARRYL DYCK / THE CANADIAN PRESS / EAST NEWS

Obok: Stephanie Gutierrez przed szkołą w Kamloops ze zdjęciem swoich dziadków. Babcia Stephanie była jedną z uczennic szkoły. 31 maja 2021 r.

Poniżej: Niedatowane zdjęcie z St. Paul's Residential School – katolickiej szkoły dla indiańskch dzieci w Vancouver, działającej w latach 1899–1959. Prawdopodobnie będzie to kolejne miejsce poszukiwań ciał uczniów.

Cisza w Watykanie

MARTA ZDZIEBORSKA

W Kanadzie po raz kolejny rozgorzała dyskusja na temat współodpowiedzialności Kościoła za krzywdy wyrządzone rdzennym mieszkańcom.

Piątek, 28 maja. Przed Galerią Sztuki w Vancouver zbierają się grupki Kanadyjczyków. Jedni mają ze sobą kwiaty, inni znicze i pluszowe misie. Zostawiają je wśród leżących na schodach par bucików, które przypominają o szczątkach 215 dzieci, właśnie znalezionych na terenie dawnej szkoły dla Indian w Kamloops. Takich „pomników" upamiętniających tragiczne znalezisko powstało w całej Kanadzie więcej: dziecięce buty stawiane są w parkach, na miejskich skwerach, przed kościołami, a nawet przy wejściach do centrów handlowych. Flagi, w hołdzie dla ofiar, na budynkach rządowych opuszczone będą do połowy masztu przez 215 godzin. Od tej liczby w najbliższych tygodniach w Kanadzie nie da się uciec.

Skradzione rodzicom

„Ta wiadomość łamie mi serce. To bolesne przypomnienie tego mrocznego i haniebnego rozdziału w historii naszego kraju" – w taki sposób kanadyjski premier Justin Trudeau skomentował na Twitterze doniesienia dotyczące działającej do 1978 r. szkoły w Kamloops. O odkryciu mogiły na terenie placówki poinformowała 27 maja Roseanne Casimir, wódz indiańskiego plemienia Secwepemc. Koordynująca akcje poszukiwawcze liderka zapowiedziała, że prace ekshumacyjne zakończą się w czerwcu. Wyjawiła również, że niektóre dzieci w chwili śmierci miały zaledwie trzy lata i nie wiadomo, co mogło być przyczyną ich zgonu. Jak twierdzi Roseanne Casimir, informacja o śmierci uczniów „nie została nawet nigdzie odnotowana".

Taki scenariusz może być dość prawdopodobny, biorąc pod uwagę, jak wyglądała polityka przymusowej asymilacji rdzennej ludności w Kanadzie. Szacuje się, że w latach 1883–1998 do szkół z internatem trafiło około 150 tys. dzieci. Zabierani siłą od rodziców Indianie, Inuici i Metysi uczeni byli języka angielskiego, wpajano im

wiarę chrześcijańską i przymuszano do zachodniego stylu życia. Nie wolno im było mówić w rodzimych językach ani praktykować plemiennej duchowości. Przebywające w internatach dzieci były bite, głodzone, stosowano wobec nich przemoc fizyczną i psychiczną, a nawet gwałcono.

Obyczaje białego człowieka

Jak wynika z raportu kanadyjskiej Komisji Prawdy i Pojednania z 2015 r., niektórzy uczniowie szkół z internatem nie wrócili nigdy do swoich domów. Oszacowano wówczas, że w wyniku przemocy, tragicznych wypadków lub chorób zakaźnych w placówkach zginęło co najmniej 4,1 tys. osób. To jak niedokładne są te dane, pokazuje chociażby przypadek szkoły w Kamloops. Jeszcze zanim znaleziono tam szczątki 215 dzieci, wspomniana Komisja szacowała, że w latach 1914-63 w placówce zginęło 51 osób.

To nie koniec historii. W tragicznej sytuacji znalazły się także dzieci, które siłą oddawano do adopcji w białych rodzinach. Część z nich trafiała nie tylko do odległych kanadyjskich prowincji, ale nawet do Stanów Zjednoczonych czy Nowej Zelandii. Szacuje się, że rdzennym rodzinom zabrano około 20 tys. dzieci.

O haniebnej polityce asymilacji przypominają słowa pierwszego premiera Kanady sir Johna A. Macdonalda. Podczas przemowy w parlamencie w 1883 r. polityk przekonywał, że Indianie w rezerwatach są „dzikusami", a jedyną szansą na zapewnienie im lepszych perspektyw jest odcięcie ich od negatywnych wzorców rodzinnych. Jak bowiem przekonywał Macdonald, tylko w placówkach z internatem indiańskie dzieci nauczą się „obyczajów i sposobu myślenia białego człowieka".

Za działalność szkół, określoną mianem „kulturowego ludobójstwa", rząd Kanady przeprosił dopiero w 2008 r. Rozpoczęto również wypłatę odszkodowań, które do tej pory wyniosły 3 mld dolarów kanadyjskich i trafiły do 28 tys. rdzennych ocaleńców. Osób, które padły ofiarą opresyjnego systemu, jest jeszcze sporo, gdyż ostatnią tego rodzaju szkołę zamknięto dopiero w 1998 r. Szkoły dla Indian prowadzone były na zlecenie kanadyjskiego rządu głównie przez Kościół katolicki (około 70 proc. placówek) i Kościoły protestanckie. To właśnie duchowni katoliccy, w latach 1890–1969, zarządzali szkołą w Kamloops, która była największą tego rodzaju placówką w Kanadzie. Szacuje się, że w szczytowym okresie w latach 50. XX w. uczyło się tam około 500 dzieci rocznie.

Nie przeproszę

Teraz, gdy w Kanadzie powrócił temat polityki przymusowej asymilacji, na nowo rozgorzała dyskusja dotycząca współodpowiedzialności Kościoła za ten proceder. Na fali doniesień o zbiorowej mogile w Kamloops członkowie Indian Residential School Survivors Society – organizacji zrzeszającej rdzennych ocaleńców– zaapelowali do Watykanu o przeprosiny za udział Kościoła w opresyjnym systemie. „Papież musi zabrać głos w tej sprawie. Tu nie ma miejsca na dalsze zaprzeczanie. Nie ma bardziej niezbitego dowodu [świadczącego o doznanych przez Indian krzywdach – red.] niż odnaleziony na terenie szkoły niezidentyfikowany grób" – powiedział członek organizacji Rick Alec.

Watykan był już wielokrotnie wywoływany w sprawie przeprosin do tablicy. Wspomniana kanadyjska Komisja Prawdy i Pojednania zawarła w raporcie rekomendację, by Franciszek „przeprosił ocaleńców za rolę, jaką Kościół odegrał w duchowym, kulturowym, emocjonalnym, fizycznym i seksualnym wykorzystywaniu Indian, Metysów i Inuitów uczących się w katolickich szkołach z internatem". Pomimo rekomendacji Komisji i późniejszych próśb ze strony premiera Justina Trudeau (odbył w tym celu wizytę w Watykanie), papież odmówił złożenia przeprosin.

O decyzji głowy Kościoła w marcu 2018 r. poinformował ówczesny przewodniczący kanadyjskiego episkopatu Lionel Gendron. W liście do rdzennych mieszkańców Kanady napisał, że papież „po długich rozważaniach i przedyskutowaniu tej kwestii z kanadyjskimi biskupami uznał, że nie może osobiście złożyć przeprosin". Stanowisko Watykanu zaskoczyło, bo Franciszek przepraszał już w innych, równie istotnych sprawach. Kajał się w Boliwii za rolę Kościoła w kolonizacji Ameryki Łacińskiej, prosił o wybaczenie za udział duchowieństwa w ludobójstwie w Rwandzie i przepraszał za prześladowania zielonoświątkowców, do jakich doszło we Włoszech w latach 20. i 30. XX wieku.

To nie nasza wina

Milczenie papieża w sprawie prowadzonych przez Kościół przymusowych szkół dla Indian spotkało się z falą krytyki, na którą szybko odpowiedział kanadyjski episkopat. W dokumencie wysłanym wiosną 2018 r. do parlamentarzystów duchowni sugerowali, że w ramach „zdecentralizowanej struktury kościelnej" to kanadyjscy biskupi, a nie papież, odpowiedzialni są za proces pojednania z rdzenną ludnością. Argumentowali również, że ani Watykan, ani episkopat nie byli zaangażowani w prowadzenie szkół z internatem, sugerując, że całą winę ponosi 50 „niezależnych" katolickich organizacji, które bezpośrednio zarządzały placówkami.

A tym zadośćuczynienie wyrządzonych krzywd też idzie opornie. Jak donosi dziennik „Washington Post", katolickie organizacje – powołując się na trudności z zebraniem funduszy – nie wywiązały się z wypłaty części zasądzonych w 2006 r. odszkodowań. Chodzi dokładnie o kwotę 25 mln dolarów kanadyjskich, która miała być przeznaczona na programy wsparcia dla byłych uczniów szkół z internatem. Ostatecznie sąd umorzył to zobowiązanie w 2015 r.

W tym kontekście niektórzy eksperci wskazują, że za niechęcią Watykanu do przeprosin w sprawie kanadyjskich szkół stoi strach przed kolejną falą milionowych odszkodowań. Nie brakuje również argumentów, że Watykan przeprosił już za wyrządzone przez Kościół krzywdy. Chodzi tutaj o słowa Benedykta XVI, który w 2009 r. „wyraził swój ból" podczas spotkania z Philem Fontaine'em, ówczesnym liderem największej w Kanadzie rdzennej organizacji Assembly of First Nations.

„Głęboki smutek"

Ilustracją stanowiska Watykanu jest fakt, że Franciszek nie wydał oświadczenia w sprawie odnalezionej mogiły w Kamloops. Do tej pory komunikaty wydał jedynie kanadyjski episkopat i co najmniej trzech hierarchów kościelnych: biskup diecezji Kamloops Joseph Nguyen, biskup diecezji Whitehorse Héctor Vila oraz arcybiskup Vancouver J. Michael Miller. Ten ostatni, podobnie jak niegdyś Benedykt XVI, wyraził swój „głęboki smutek" i napisał o „potrzebie wyjawienia wszelkich tragedii, do jakich doszło w prowadzonych przez Kościół szkołach".

Na bardziej zdecydowane słowa zdobył się o. Ken Thorson ze zgromadzenia ↦

↦ Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej, które przez dekady odpowiadało za nauczanie w szkole w Kamloops. „Mamy świadomość skali wyrządzonych wobec rdzennej ludności krzywd (...) i tego, jaką rolę odegraliśmy w tym systemie" – napisał wikariusz, którego zgromadzenie po raz pierwszy przeprosiło w tej sprawie już w 1991 r.

Misjonarze oblaci przyznali wówczas, że „byli czołowymi wykonawcami" zadania mającego na celu realizację „kulturowej, etnicznej, językowej i religijnej polityki imperialnej" wobec rdzennej ludności. Słowa te mocno kontrastowały z wydanym w tym samym roku oświadczeniem kanadyjskiego episkopatu. Duchowni napisali jedynie, że „jest im przykro z powodu bólu, cierpienia i odosobnienia, jakiego tak wielu doświadczyło w szkołach z internatem".

Teraz, gdy Kanadą wstrząsnęła wiadomość o odkryciu zbiorowej mogiły w Kamloops, misjonarze oblaci deklarują pomoc w pracach przy identyfikacji odnalezionych szczątków. Takie same deklaracje złożyły siostry ze zgromadzenia zakonnego św. Anny. Podobnie jak misjonarze oblaci uczyły w szkole w Kamloops i zobowiązały się do przekazania posiadanych przez nie archiwów. Siostry zakonne znalazły się ostatnio pod presją – uczniowie i absolwenci założonego przez zgromadzenie liceum w Vancouver wezwali je do przeprosin za udział w systemie przymusowej asymilacji Indian.

Po odkryciu zbiorowej mogiły w Kamloops organizacje zrzeszające rdzennych ocaleńców apelują do Kościoła o wzięcie odpowiedzialności **za udział w opresyjnym systemie.**

Szkoła-więzienie

Gniew wywołany odkryciem zbiorowej mogiły w Kamloops trudno będzie zatrzymać. Rdzenne organizacje już teraz apelują do kanadyjskiego rządu, by sfinansował ogólnokrajowe poszukiwania kolejnych niezidentyfikowanych do tej pory grobów. W Kanadzie narasta również presja, by zdemontować pomniki pierwszego premiera sir Johna Macdonalda. Jednocześnie, jak donosi dziennik „Guardian", kanadyjski rząd po raz kolejny wezwał papieża Franciszka do złożenia oficjalnych przeprosin.

O mrocznym rozdziale w historii Kościoła przypominają słowa Emmy Baker, 84-letniej byłej uczennicy szkoły w Kamloops. W wywiadzie dla kanadyjskiej stacji CTV News kobieta zarzuciła księżom i siostrom zakonnym, że przez lata milczeli w sprawie warunków panujących w tej placówce. „Czułam się tam jak w więzieniu. Przyszła pora, by cały świat usłyszał o tym, co przeszliśmy".

© MARTA ZDZIEBORSKA

weź, czytaj!
w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MONTAŻ: TP-ONLINE // JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS // ROBERT WOŹNIAK / FORUM

Szczerze o Kościele

MACIEJ MÜLLER

Czy z niespodziewanej rozmowy między o. Adamem Szustakiem a abp. Stanisławem Gądeckim może coś wyniknąć?

To nie był dywanik. Zwykła rozmowa, nie żadne stawianie do pionu – zapewnił dominikanin w filmiku nagranym po spotkaniu z abp. Gądeckim. Przewodniczący polskiego episkopatu zaprosił go wkrótce po wizycie zakonnika w popularnym programie internetowym „Imponderabilia" autorstwa Karola Paciorka.

„Gdy pojawiają się wątpliwości odnośnie do roli Kościoła instytucjonalnego, warto wsłuchiwać się w różne opinie" – tłumaczył decyzję arcybiskupa rzecznik Konferencji Episkopatu Polski ks. Leszek Gęsiak.

Marzenie o biskupie

O. Adam Szustak wątpliwości miał i wyraził je dosadnie. Pod koniec drugiej godziny wywiadu z Paciorkiem powiedział: „Było jakieś spotkanie episkopatu i wydano oświadczenie [o tym], co jest teraz najważniejszą potrzebą Kościoła. Pierwszy punkt, który podano, Gądecki go podał: najważniejsze, żeby zrobić wszystko, co się da, żeby ludzie zaczęli [na nowo] chodzić do kościoła. Noż do k... nędzy. W takim momencie ci ręce opadają. Ci goście mają w głowie tylko jedno. (...) Ja już nie mam żadnych nadziei w tych gościach".

Zakonnik brzmiał przekonująco, co więcej – nie wyglądało na to, żeby te opinie nagle mu przyszły do głowy. Paciorek nie dopytywał, Szustak wrócił do zasadniczego wątku – pracy komisji badającej przestępstwa o. Pawła M. – i nic więcej nie powiedział o swoim podejściu do polskiego episkopatu.

W rozmowie z abp. Gądeckim o. Szustak przeprosił za swoje słowa. Jak tłumaczy w filmie, z wywiadu „wyrwano jeden wzburzony tekst, który nie powinien mieć miejsca", był on „grzeszny", a wziął się „z bezradności, gniewu, wkurzenia".

Podczas spotkania zakonnik i biskup dyskutowali o podejściu Kościoła do skandali pedofilskich, o właściwym traktowaniu ofiar, o coraz częstszych aktach apostazji i sposobie sprawowania władzy. Okazało się, że – relacjonuje dominikanin – „mamy dwa bardzo różne obrazy tego, w jaki sposób Kościół w aktualnej sytuacji powinien się zachować i co jest możliwe, a co nie".

W związku z tym o. Szustak złożył szefowi episkopatu propozycję: „Skoro mamy taki rozdźwięk, byłoby super, gdyby KEP wyszedł z propozycją zebrania bardzo szerokiego grona ludzi Kościoła i nie tylko". Chodzi o „różnego ↦

↦ rodzaju opcje, teologów, mądrych ludzi, dziennikarzy jak Tomasz Terlikowski, Zbigniew Nosowski, zaangażowanych w miłość do Kościoła, chęć naprawy i zmiany, duszpasterzy, kobiet, sióstr zakonnych, a także ludzi spoza Kościoła". Grono to miałoby „wypracować konkretne postulaty – czego katolik w Polsce oczekuje od biskupów, o jakim biskupie marzy, (...) jak powinna być sprawowana władza, jak powinno wyglądać nauczanie biskupie".

Arcybiskup ocenił, że „to byłby vox populi", i zapewnił, że o sprawie pomyśli.

Powrót wiernych

Słowa, które tak zdenerwowały dominikanina, padły z ust abp. Gądeckiego po posiedzeniu Rady Stałej Episkopatu 3 maja. Rada obradowała na temat beatyfikacji prymasa Wyszyńskiego, języka debaty publicznej, medialnych wystąpień duchowieństwa i konieczności powrotu do zwyczajnego uczestnictwa w mszach. Trudno się nie zgodzić, że taka agenda pomija realne problemy katolicyzmu w Polsce. „Musimy zrobić wszystko, by wierni z powrotem mogli realnie uczestniczyć w liturgii i sakramentach, bo od tego zależy zbawienie, a nie od oglądania telewizji. (...) Powrót wiernych do kościoła to najpilniejsze zadanie. Pierwszą i podstawową rzeczą jest to, by ludzie znaleźli z powrotem dojście do Zbawiciela" – powiedział po obradach szef episkopatu.

Oficjalny komunikat z posiedzenia był bardziej wyważony. Podpisani pod nim hierarchowie zdają sobie sprawę, że „czas po pandemii nie będzie polegał tylko na uruchomieniu starych działań, (...) potrzebna jest dokładna analiza aktualnej sytuacji i dostrzeżenie już dzisiaj możliwych konsekwencji pandemii w polskich diecezjach". Szczegółowo mają się tym zająć biskupi podczas posiedzenia plenarnego w czerwcu.

Z komunikatu można więc wyczytać, że hierarchowie zdają sobie sprawę, iż prosty powrót do sytuacji z 2019 r. nie jest możliwy. Za dużo się wydarzyło, podczas pandemii postępowała kompromitacja Kościoła na wielu polach – i chodzi nie tylko o skandal molestowania małoletnich i tuszowania tych przestępstw przez biskupów oraz o kolejne wyroki płynące z Watykanu, ale też o otwarte wspieranie władzy PiS czy przypadki kontestowania przepisów sanitarnych.

> Po pandemii tradycyjny model duszpasterstwa opartego na parafiach **jest do zmiany, a na pewno do uzupełnienia.**

Opisywaliśmy na tych łamach („TP" nr 7/2021) dokument Komisji Duszpasterstwa KEP z lutego, który wypełniały głównie utyskiwania na polskich wiernych, wciąż wzbraniających się przed przychodzeniem do kościołów. Sam abp Gądecki w wywiadzie z 18 stycznia ubolewał, że wierni chodzą na zakupy i korzystają z komunikacji zbiorowej, ale zamiast uczestniczyć w mszach, korzystają z dyspensy.

Ostatnie oficjalne wypowiedzi Kościoła wskazują jednak, że od tamtego czasu trwa krytyczna refleksja. Jej owoce będzie można ocenić po obradach plenarnych KEP, a tymczasem drogę pokazała Konferencja Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich. W liście do zakonników z 12 maja dostrzegła, że po pandemii „nie wystarczy powrót do sprawdzonych przez lata praktyk duszpasterskich". Zadaniem zakonników jest nie tyle czekanie na wiernych w kościołach, co raczej wychodzenie im naprzeciw.

Wspólnie o przyszłości

Dla o. Szustaka zrozumiałe jest, że nie pomogą zaklęcia typu „zatęsknią i wrócą". Dlatego przekonywał szefa episkopatu, że priorytety trzeba ustawić inaczej. Według niego właściwych odpowiedzi dostarczyłoby grono osób o różnej proweniencji, obradujące na temat najważniejszych wyzwań stojących przed Kościołem. Być może nie trzeba jednak daleko szukać: od lutego prężnie działa Kongres Katoliczek i Katolików. Świeccy, księża i zakonnice „różnej proweniencji" w kilku grupach dyskusyjnych zastanawiają się nad władzą w Kościele, dialogiem ekumenicznym, pozycją kobiet czy relacją Kościoła z państwem.

Organizatorzy od początku zachęcają do udziału biskupów. Bp Adrian Galbas zaprosił ich na posiedzenie Rady ds. Apostolstwa Świeckich KEP. Przyznał, że część biskupów ma obiekcje do sposobu rozmawiania o Kościele, jaki proponuje Kongres, ale dodał, że „nie możemy z ambon w kółko cytować zdania papieża Franciszka o wychodzeniu na peryferie i iść tylko do tych, którzy mówią to, co chcielibyśmy usłyszeć, albo powtarzają nasze własne słowa". Zastrzegł jednocześnie, że już św. Ignacy Antiocheński pisał, iż „niczego w Kościele nie należy robić bez biskupa". Podobnie, z mieszaniną sympatii i ostrożności, podchodzi do prac Kongresu bp Piotr Jarecki. Zastrzegł, że gdyby miał się w nie włączyć, chciałby „mieć udział w kształtowaniu tej inicjatywy i wpływ na całość". Bp Jarecki uważa jednocześnie – i rozmawiał o tym z kard. Kazimierzem Nyczem – że Kongres, poszerzony o inne środowiska, mógłby stanowić wstęp dla polskiego Synodu Plenarnego. Pomysł takiego synodu pojawia się od jakiegoś czasu w rozmowach między hierarchami. Abp Grzegorz Ryś z Łodzi uważa, że stanowiłby on dobry punkt wyjścia do włączenia się polskiego Kościoła w prace zapowiedzianego na 2023 r. przez papieża Synodu Biskupów, mającego obradować właśnie na temat synodalności Kościoła. Podobne opinie wyraża prof. Fryderyk Zoll, jeden z organizatorów Kongresu Katoliczek i Katolików.

Włączenie czy nawet tylko przysłuchiwanie się przez przedstawicieli episkopatu obradom grup kongresowych byłoby może szansą na pogodzenie wizji Kościoła, o których rozmawiali o. Szustak z abp. Gądeckim. Warto wspólnie zastanowić się nie tylko nad sposobem sprawowania władzy biskupiej, ale także nad rolą kapłana we wspólnocie Kościoła. Jak pisał na naszych łamach ks. Andrzej Draguła, tu też można bowiem mówić o dwóch odmiennych wizjach: kapłaństwa pośredniczącego, zorientowanego na ryt i ofiarę, oraz kapłaństwa przewodniczenia, skupionego bardziej na wspólnocie. Wspólny namysł biskupów i wiernych pomógłby szukać odpowiedzi na pytanie, o jakie elementy uzupełnić tradycyjny model duszpasterstwa – związanego z parafią, podkreślającego istotę wypełniania kościelnych przykazań. Byłby też wyrazem odpowiedzialności wszystkich zaangażowanych członków Kościoła, nie tylko biskupów, za odrodzenie życia kościelnego po pandemii.

©℗ MACIEJ MÜLLER

WOJCIECH

Bonowicz: *Przemytnik*

No i umarł też Jurek Červenka. Marzył, żeby zostać pilotem – poszedł na filozofię, a potem filologię, został robotnikiem leśnym, przemytnikiem, w końcu kasztelanem. Ale przede wszystkim był poetą. Poetą i tłumaczem poetów.

Kiedy siadywaliśmy przy stole, chętnie dopytywał o to czy o tamto, ale sam mówił niewiele. Przyjechał do Krakowa, bo chciał tłumaczyć moje wiersze. Uważał, że nie można tego robić, jeśli nie zobaczy się miejsc, w których poeta mieszka, pracuje i spędza wolny czas. Spotkaliśmy się „u Księdza", na rogu Stolarskiej i Małego Rynku; to jest nieformalna nazwa, ale tej długiej nie używaliśmy. Miejsce mu się spodobało, umawialiśmy się tu potem jeszcze kilka razy. Najbardziej lubiłem, kiedy opowiadał mi o swoich snach. Wszystkie skwapliwie zapisywał. Prawdę mówiąc, więcej wiem o jego życiu od strony snów niż jawy.

Bawiło go, że w snach wszystko jest ze sobą przemieszane: wielka polityka, gwiazdy znane z telewizji i jego życie prywatne. Pamiętam, jak się śmialiśmy, kiedy opowiadał, że przyśniło mu się, jak tańczy z marszałkiem Tito, a potem z jego czarnoskórą narzeczoną, podobną do Sereny Williams. W pewnym momencie narzeczona wskoczyła na niego, a on musiał ją nieść. Innym razem miał jeszcze bardziej surrealistyczny sen, w którym na jeden z praskich stadionów wjechała ekipa filmowa oraz olbrzymia ciężarówka wypełniona fortepianami. Przy fortepianach stały kobiety w strojach z międzywojnia i waliły w nie młotkami i kijami. Potem te same kobiety usiadły przy maszynach do szycia i zaczęły zszywać oskubane i wypatroszone kurczaki.

Na klepsydrze napisano: „Jiří Červenka, poeta i wieloletni kasztelan zamku Pecka". Rzeczywiście, przeszło ćwierć wieku opiekował się zamkiem w Karkonoszach, skąd zresztą niejeden raz wyprawiał się do Polski, przenosząc przez góry różne rzeczy. Opowiadał, że kiedyś złapali go pogranicznicy, a w plecaku miał akurat tylko trochę książek i notatek. „Przyznajcie się, co przemycacie?", zapytali. „Ja? Ja tylko przenoszę słowa z jednej strony granicy na drugą", miał odpowiedzieć Jurek. Co było prawdą, bo dużo tłumaczył i nie tylko ja jestem mu wdzięczny za ten przemyt.

Jego wiersze przenosił z kolei do polszczyzny Karol Maliszewski. W jednym z nich, zatytułowanym „W Hradišti", Jurek wspominał pierwsze spotkanie ze śmiercią:

Jabłonie w dole, przy potoku, zdziczały
i żelazne słupki, z drutami od pompy,
przerdzewiały i teraz w rowie zarastają
pokrzywami. Śmierć na mnie czyhała w budzie
przy pompie – bez głowy biegłem
przez ogród i krzyczałem, ile sił
w podciętym gardle. Przez lata przywykłem
do niej, i ona zadomowiła się u nas.
Jabłonie w dole, przy potoku, zdziczały
i zardzewiałe słupki leżą w pokrzywach
jakby podcięte kosą.

Kiedy byłem na stypendium w Wiedniu, przyjechał do mnie ze Znojma razem z żoną Verą. Poszliśmy na obiad do restauracji niedaleko uniwersytetu, bo Jurek lubił serwowany tam gulasz, a potem mieliśmy oglądać groby Habsburgów. Ale przed wejściem do krypty nagle się zbuntował i zaproponował, żeby zamiast na groby pójść na kawę i ciastko. I tak zrobiliśmy. Przez to ostatni obrazek, jaki mam przed oczami, to nie Jurek pochylony nad kuflem piwa, tylko Jurek jedzący ciastko w wiedeńskiej restauracji.

Był najskromniejszym człowiekiem, jakiego znałem. Wysyłał mi swoje utwory, a kiedy prosiłem o więcej, milkł, jakby zawstydzony moim zainteresowaniem. Niczego nie załatwiał przez telefon, zawsze wolał się spotkać osobiście, a maile traktował jako smutną konieczność.

Nie ma takiego nieba, na które by nie zasługiwał. Zasługuje na wszystkie. ©

TP JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU CONRAD FESTIVAL

MAGAZYN CONRAD 02

w którym zaprezentujemy program główny tegorocznej edycji Festiwalu Conrada, czyli kilkadziesiąt wydarzeń z udziałem wybitnych pisarek i pisarzy z całego świata. W numerze znajdą się również teksty przybliżające twórczość wybranych gości.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

GDY UMILKŁY DŹWIĘKI

Kiedy pod naporem epidemii w Indiach załamał się system opieki zdrowotnej, mieszkańcy największych miast i lekarze zaczęli organizować się oddolnie.

TOMASZ AUGUSTYNIAK Z BANGKOKU

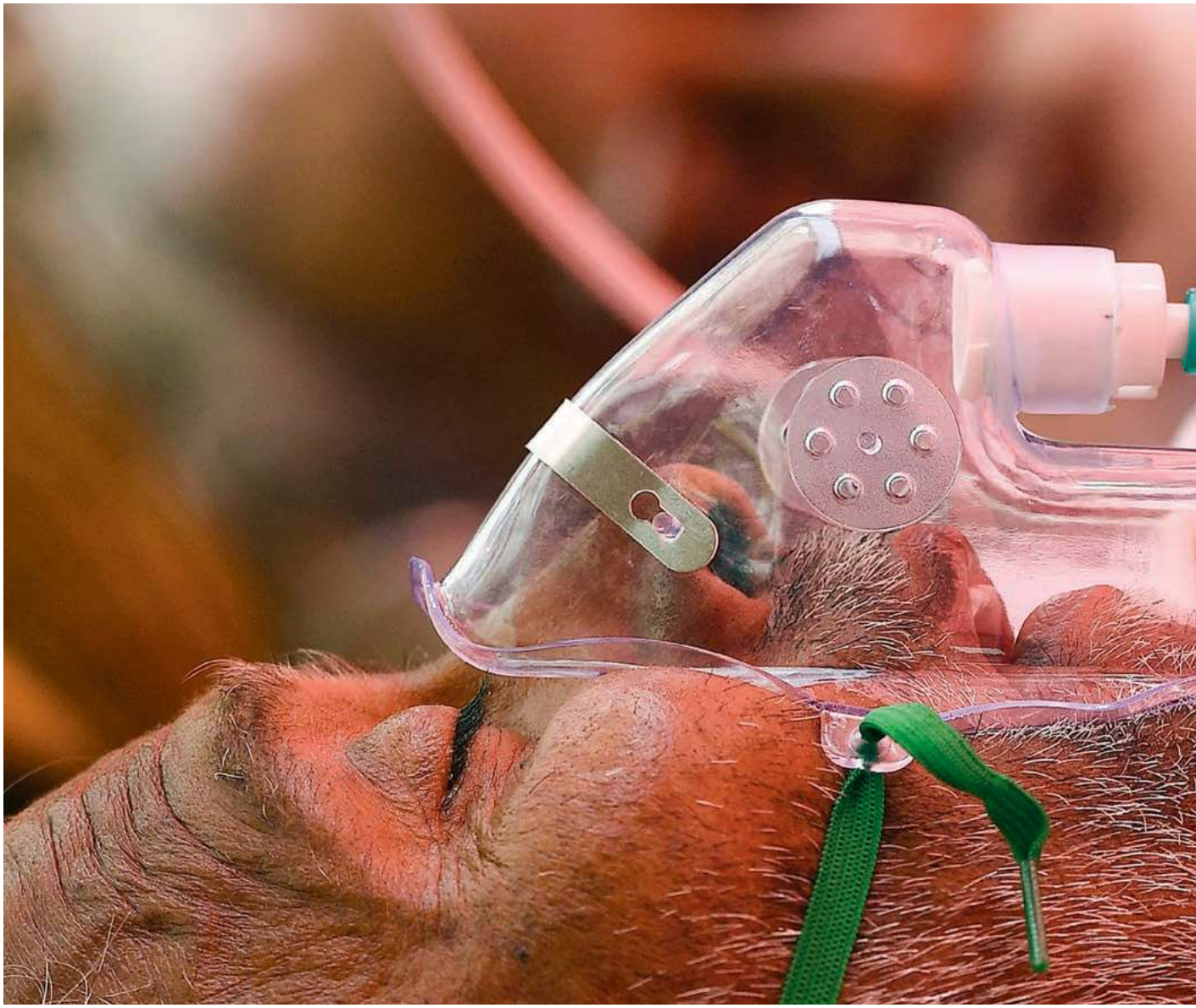

Shreya Varma dobrze pamięta dni, w których wszyscy uwierzyli, że koronawirus został w Indiach pokonany.

Na początku roku ludzie, którzy jesienią 2020 r. wrócili do kin i centrów handlowych, zaczęli jeszcze tłumniej wychodzić na ulice i targowiska. Zapełniły się świątynie, meczety i kościoły, a maseczki poszły w odstawkę. W każdym razie Shreya – menadżerka w banku, żyjąca w rozjazdach między Delhi a Bengaluru – od jesieni aż do kwietnia tego roku nie widziała ich na twarzach przechodniów, ani gdy patrzyła na ulicę z niskiego balkonu, ani podczas rzadkich wizyt w sklepie spożywczym.

– Słyszało się żarty, że Indusi mają wrodzoną odporność na koronę, że dla nas jednych wirus nie jest groźny, a to dzięki zdrowej diecie, tradycyjnej medycynie i częstym wizytom w świątyniach – opowiada dzisiaj w rozmowie przez komunikator.

Jeśli w ogóle dyskutowało się o środkach ostrożności, to chodziło głównie o odporność. Popularnym tematem rozmów stała się ajurweda (tradycyjna medycyna indyjska, swoimi korzeniami sięgająca starożytności), a jako niezawodne zabezpieczenie przed chorobą wymieniano liście neem, sproszkowane korzenie aświagandy, ekstrakt z bazylii, imbir, kurkumę i czosnek.

Byli tacy, którzy zachwalali olejki sprzedawane przez znanych guru, a najbardziej uduchowieni twierdzili, że najlepszym sposobem na wirusa jest picie krowiego moczu, ewentualnie herbaty z kurkumą rano oraz z cynamonem wieczorem.

Należało się też, rzecz jasna, zaszczepić, ale tutaj zdania bywały podzielone. Zresztą: *„Jo hona hai, woh hoke rahega!”* – mówiono. Co ma być, to będzie!

Kiedy pod koniec stycznia premier Narendra Modi ogłosił, że kraj poradził sobie z pandemią, i zaprosił do kraju zagranicznych inwestorów, temat zszedł na dalszy plan. Największe media już wcześniej zrezygnowały z codziennego aktualizowania sytuacji epidemicznej, skupiając się na ogólnokrajowych protestach rolników i bieżącej polityce.

Do połowy stycznia Indie zanotowały – według oficjalnych szacunków – dopiero 10,5 mln zachorowań na COVID-19. Niewiele, jak na kraj liczący prawie półtora miliarda mieszkańców.

Tłumy jak okiem sięgnąć

W Indiach – największym demokratycznym państwie świata, mającym charakter federacji (składającej się z 36 stanów i terytoriów) – kampania wyborcza trwa niemal permanentnie. W tym roku dotyczyła głosowań w czterech stanach i jednym terytorium związkowym, a do tego wyborów uzupełniających w blisko 60 okręgach rozsianych po całym kraju.

– O poparcie wyborców jak zwykle trzeba było zabiegać w dużej mierze na wiecach, bo politykę nadal robi się tutaj na ulicy – mówi mi Jayanta Bhattacharya, niezależny dziennikarz z Ghaziabadu, satelickiego miasta Delhi.

– Co prawda w styczniu lekarze zaczęli ostrzegać, że grozi nam druga fala pandemii, a rząd zalecił władzom stanowym przygotowania – wspomina Bhattacharya. – Ale kiedy zaczęło się współzawodnictwo o głosy, o wszystkim zapomniano. W wiecach brały udział setki tysięcy ludzi, którzy niewiele sobie robili z protokołów sanitarnych. Na jednym z nich, w Bengalu Zachodnim, sam premier zachwycał się falującym przed nim tłumem, mówiąc, że widzi ludzi tak daleko, jak tylko może sięgnąć wzrokiem.

Dziewięć milionów pielgrzymów

W połowie stycznia w Haridwarze u podnóży Himalajów, ponad 200 km na północ od indyjskiej stolicy, rozpoczęło się jedno z największych religijnych zgromadzeń świata.

Kumbh Mela to odbywająca się zwykle co dwanaście lat masowa pielgrzymka nad Ganges, w czasie której wierni odbywają rytualną kąpiel. Jej data powinna przypaść za rok, ale z sobie tylko znanych powodów astrolodzy orzekli, że uroczystości pomyślniej będzie przyspieszyć.

Aman Srivastava, pracownik naukowy w prestiżowym Indyjskim Instytucie Technologii – położonym w mieście Roorkee (Rurki), niedaleko od Haridwaru – obserwował ze swojego okna drogę prowadzącą do centrum pielgrzymkowego i dalej do Riszikeszu, innego ważnego celu podróży religijnych hinduistów.

Wspomina, że w dni poprzedzające rytualne kąpiele drogą ciągnął sznur autokarów i samochodów, udekorowanych okolicznościowymi banerami. Nad Ganges jechali głównie ludzie z prowincji. Kiedy przyjeżdżało się po sprawunki do sąsiedniego miasta, można to było poznać po ubraniu albo po tym, jak pielgrzymi niepewnie, grupkami, poruszali się po okolicy i po swoich obozowiskach, rozbitych w pobliżu świątyń.

Chociaż pielgrzymka była tym razem dużo mniejsza niż dawniej, a władze zdecydowały o jej skróceniu, to i tak – według organizatorów – wzięło w niej udział ok. 9 mln hinduistów. Na fotografiach dokumentujących uroczystości widać, jak ludzie tłoczą się w czasie procesji na ulicach miasta i nad świętą rzeką, razem ↦

TAUSEEF MUSTAFA / AFP / EAST NEWS

Ten chory otrzymał tlen, dostarczony przez sikhijską świątynię. Ghaziabad koło Delhi, Indie, 4 maja 2021 r.

↦ z wędrownymi ascetami *sadhu*. Maseczki na twarzach pojawiają się sporadycznie.

Później, kiedy naukowcy i publicyści będą szukać źródeł katastrofalnej fali zachorowań, Kumbh Mela będzie wskazywana jako jedno z najważniejszych ognisk zakażeń.

Mutacja

Nad Gangesem i na wyborczych wiecach zaczął rozprzestrzeniać się nowy, bardziej zaraźliwy szczep koronawirusa: wariant, który indyjscy wirusolodzy jeszcze jesienią oznaczyli jako B.1.617.

Najpierw z plotek, a później z mediów można było dowiedzieć się o zakażeniach, których liczba zaczęła niepokojąco szybko wzrastać. Wraz z nią rosła też liczba miast, w których na szpitalnych oddziałach intensywnej terapii kończyły się wolne miejsca.

W ciągu kilku tygodni marca zaczęły się kłopoty z pogrzebami, których większość odbywa się w Indiach poprzez kremację. Nowoczesne elektryczne krematoria w Delhi i Mumbaju przestały nadążać. Wkrótce także przed tradycyjnymi miejcami ciałopaleń, gdzie rozpala się pogrzebowe stosy, zaczęły się ustawiać kolejki żałobników.

Po przerwie semestralnej studenci zaczęli wracać do kampusu uczelni, na której pracuje Aman Srivastava. Niemal od razu gruchnęła wiadomość, że u kilkudziesięciu z nich stwierdzono koronawirusa. W tym czasie w całym kraju codziennie przybywało już po kilkadziesiąt tysięcy chorych. Aman wspomina, że w ciągu kolejnych dni zaczęły zamykać się poszczególne wydziały uczelni, później kampus, z którego studenci wyjechali z powrotem do domów, a w końcu obowiązek pracy zdalnej wprowadzono w całym stanie.

On sam został na miejscu, ale nadchodzące wieści wydawały się coraz poważniejsze. W jego rodzinnym Laknau – stolicy Uttar Pradeś, największego stanu Indii – miejsca w szpitalach skończyły się niemal z dnia na dzień.

Koronawirus znów stał się najważniejszym tematem, a krematoria pracowały już przez całą dobę – wbrew zwyczajowi, który zakazuje tego po zachodzie słońca.

– W Roorkee nie było nawet jednego porządnego szpitala, a ja nie miałem w okolicy żadnej rodziny, która mogłaby mi pomóc, gdybym nagle zachorował – mówi mi Aman.

ARCHIWUM PRYWATNE

AMIT JAIN *zaangażował w akcję ok. 30 innych lekarzy i lekarek. Organizują żywność, tlen i osocze, edukują. Tych, którym nie mogą pomóc, starają się przynajmniej wysłuchać.*

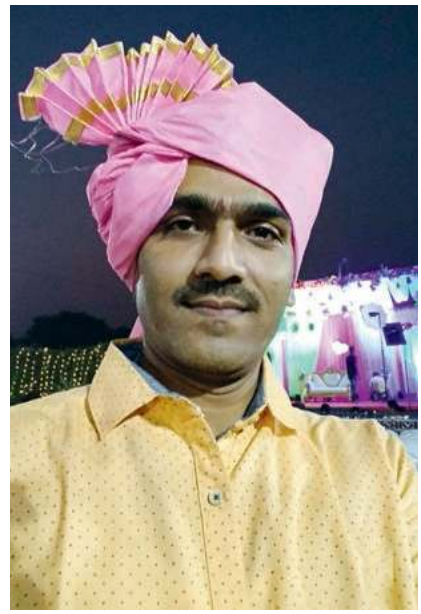

ARCHIWUM PRYWATNE

PRITAM KOTHADIYA. *Wolontariusz z Ghaziabadu organizuje sieć samopomocy, sypia po trzy godziny dziennie. Jego córka czuje się, jakby żyli w szpitalu, a tata był lekarzem.*

O okolicach Haridwaru mówiło się już wtedy jako o jednym z nowych ognisk zakażeń.

Decyzję o wyjeździe Aman podjął wkrótce po wizycie w osiedlowym sklepie spożywczym. – Właściciel, mężczyzna przed pięćdziesiątką, powiedział mi: „Bracie, nie wychodź z domu, tutaj przychodzą chorzy ludzie". Sklepikarz wyraźnie się bał, ale nie mógł zamknąć interesu, który był jego jedynym źródłem dochodu.

W pierwszym tygodniu kwietnia, na dzień przed zapowiedzianą przez władze blokadą całego stanu, Aman wsiadł na motocykl, zrobił rundkę po opuszczonym kampusie i pojechał do Delhi.

Każdy został jakoś dotknięty

Sytuacja w indyjskiej stolicy wymknęła się spod kontroli tak gwałtownie, że mało kto mógł zabezpieczyć się w inny sposób, niż robiąc zapasy jedzenia.

Ogólnokrajowe statystyki nowych zachorowań rosły niemal z dnia na dzień: 100 tysięcy dziennie, 200, 300, wreszcie 400 tysięcy. W dodatku wszyscy byli pewni, że w rzeczywistości jest ich znacznie więcej. Potwierdził to pośrednio sam premier Modi, gdy w połowie marca wezwał władze stanowe do bardziej transparentnego informowania o liczbie chorych.

Krematoria rozrastały się: niektóre zagarniały okoliczne parkingi, czasami nawet miejskie parki i boiska. Zaczęło brakować drewna na stosy i po skończonych obrzędach często pozostawały fragmenty niedopalonych ciał. Ludzie zaczęli sobie opowiadać o wypełnionych nimi śmieciarkach i ambulansach, a dziennikarze wyśledzili setki zwłok spływające nurtem Gangesu i wykopane na brzegach płytkie groby.

Aman, który w Delhi zamieszkał ze starszym bratem i jego żoną, kolejne trzy tygodnie wspomina jako koszmar. – Gdy tylko dzwonił telefon, oznaczało to złe wiadomości. Umierali przyjaciele i znajomi, gospodarz mojego domu zachorował i zaraz później stracił matkę, dzień po dniu dowiadywałem się o śmierci rodziców kilkorga kolegów z uczelni. Pierwsza fala pandemii nas na to nie przygotowała, a teraz choroba przyszła do każdej rodziny, każdy został przez nią jakoś dotknięty.

Wybraliśmy prostsze rozwiązanie

Zaraza nie oszczędzała także ludzi mających pozycję, pieniądze i kontakty. Ci uprzywilejowani, dla których wszystko było kiedyś kwestią kilku telefonów do rodziny i wpływowych przyjaciół, teraz nie potrafili zdobyć dla swoich bliskich ratujących życie leków, tlenu ani łóżek w szpitalach.

– W moim rodzinnym mieście w oczekiwaniu na przewiezienie do szpitala zmarł szanowany historyk Yogesh Pra-

veen. Umierali też lokalni politycy – opowiada Aman. – Pandemia wywróciła do góry nogami życie wszystkich.

Dziennikarz Jayanta Bhattacharya stracił ojca. Ale śmierć 79-latka nie została oficjalnie zakwalifikowana jako zgon z powodu COVID-19. Podobnie jak wiele innych.

– Jego stan pogorszył się tak szybko i niespodziewanie, że nie zdążyliśmy nawet zrobić testu – wspomina dziś dziennikarz. – Lekarz, który podpisywał akt zgonu, dał nam do wyboru: możemy zająć się ciałem od razu i zorganizować w miarę normalny pogrzeb albo wysłać je do kostnicy i przez wiele dni czekać na wyniki badań krwi. Wybraliśmy prostsze rozwiązanie. Dzięki temu mogliśmy przeprowadzić rytuały pogrzebowe i zachować resztki godności.

Przepisy mówią, że rodzinom ofiar koronawirusa nie wolno dotknąć ciał ani zebrać prochów, żeby móc je później wrzucić do jednej ze świętych rzek. Na udział w ceremonii pozwala się w tym wypadku tylko jednej, czasem dwóm osobom. I to tylko pod warunkiem, że ludzie sami zorganizują sobie kombinezony ochronne.

Bhattacharya tłumaczy, że dla wielu jest to bardzo trudne do przyjęcia, bo wierzą, że bez dokonania obrzędów we właściwy sposób dusza bliskiej osoby nie zazna spokoju.

W połowie kwietnia na ulicach w Ghaziabadzie zaczęto ustawiać zaimprowizowane ceglane platformy, na których układano ciała. Owinięte w muślinowe całuny, zwłoki pojawiły się też w parkach.

Jayanta Bhattacharya: – Widziałem ciała palone na chodnikach w pobliżu krematoriów. Ale za dnia temperatura dochodzi już do 43 stopni, więc to chyba lepsze, niż pozwolić im się zepsuć i powiększyć traumę, która nas wszystkich dotyka.

Wołanie o tlen

Kilka dni po tym, jak Aman przyjechał do Delhi, zachorował jego brat, 36-letni Amitush.

Wtedy, na początku kwietnia, nie było jeszcze kłopotów z dostaniem w aptece leków antywirusowych i sterydów przepisanych przez lekarza. Wyzwaniem było za to znalezienie pielęgniarza, który zgodziłby się robić zastrzyki. A także znalezienie tlenu, kiedy zaczynały szwankować płuca.

Gdy poziom tlenu we krwi Amitusha spadł poniżej 70 proc. (norma dla zdrowego człowieka to 95 proc.), opiekujący się nim zdalnie lekarz powiedział, że trzeba znaleźć źródło tlenu.

– Brat cały czas zachowywał kamienną twarz, chociaż z trudem łapał oddech. Mówił tylko szeptem i przez kilka nocy nie spał, bo dusił się z powodu kaszlu. Dopiero później powiedział nam, że bał się wtedy śmierci – wspomina Aman.

ARCHIWUM PRYWATNE

AMAN SRIVASTAVA *miał szczęście: gdy zachorował jego brat, 36-letni Amitush, a nie było miejsc w szpitalach, udało mu się zorganizować butlę z tlenem po zmarłym krewnym.*

ARCHIWUM PRYWATNE

SHREYA VARMA. *Gdy zachorowała jej mama, szukała rozpaczliwie tlenu. Jeden z pośredników zażądał za kilkudziesięciolitrową butlę równowartości dobrej miesięcznej pensji.*

Wolnych miejsc nie było w żadnym szpitalu, a centralny serwis internetowy, który miał umożliwiać rejestrację tam, gdzie one były, nie działał. Jakaś *gurdwara* (świątynia sikhijska) oferowała darmowe butle z tlenem, ale napełniano je pod zbyt niskim ciśnieniem, więc nie wystarczały nawet na piętnaście minut oddechu. Były co prawda fundacje oferujące tlen za darmo, ale na pełny pojemnik czekało się i po dwie noce.

Wielu rodzinom zostawały butle po zmarłych krewnych, nie do końca opróżnione, i to właśnie w ten sposób udało się zorganizować tlen dla Amitusha. Pierwsza butla i koncentrator tlenu pochodziły od wuja szwagierki, który zmarł kilka dni wcześniej. Dzięki temu stan Amitusha poprawił się i po trzech dniach do oddychania wystarczał mu już sam koncentrator.

Łóżka w szpitalu ciągle nie było, choć w poszukiwania krewni zaangażowali spowinowaconych z rodziną polityków.

Pośrednicy

Tlenu szukała też rozpaczliwie Shreya Varma – ciężko zachorowała jej mama, cierpiąca na cukrzycę i mająca problem z nadwagą.

Aby ulżyć mamie, która miała już duże problemy z oddychaniem, Shreya szukała pomocy u pośredników, których numery dostała od znajomych albo odnalazła w sieci.

Jeden z nich zażądał za dostarczenie kilkudziesięciolitrowej butli z tlenem 50 tys. rupii (to równowartość miesięcznej, dobrej pensji nauczyciela). Inni chcieli „tylko" po 10 tys. rupii.

– Oczywiście byliśmy gotowi zapłacić. Ale uśmiechnęło się do nas szczęście i dostaliśmy tlen za darmo poprzez organizację pozarządową – mówi Shreya.

Zanim przez jednego z kuzynów udało się załatwić miejsce w szpitalu i znaleźć karetkę, której kierowca zgodził się – za kilkanaście tysięcy rupii – zawieźć tam jej mamę, Shreya, jej mąż i ojciec musieli nauczyć się podawania tlenu za pomocą butli i koncentratora. W tym samym czasie te umiejętności i podstawową wiedzę medyczną zdobywały w mieście tysiące innych rodzin.

Samopomoc

Shreya nie ma wątpliwości, że w Indiach państwo i system opieki zdrowotnej ↦

↦ zawiodły. Ale jedno i drugie szybko udało się zastąpić tym, co Indusi pielęgnują na co dzień: rodzinnymi, sąsiedzkimi i zawodowymi więziami, ludzką ofiarnością i solidarnością.

Siłę tych relacji wzmocniły media społecznościowe i komunikatory internetowe. W kraju, w którym z internetu korzysta ponad 700 mln ludzi, to one stanowią najpewniejszy sposób dotarcia do prawie każdego.

Na WhatsAppie, najpopularniejszym z komunikatorów (blisko 400 mln indyjskich użytkowników), każdego dnia powstawały kolejne grupy samopomocowe. Ludzie błagali w nich o zorganizowanie szpitalnych łóżek z respiratorami i o dostarczenie ratujących życie leków: „Pomóżcie! Pilne! Wyślijcie znajomym! Potrzebne łóżko, ambulans, butla z tlenem, remdesivir, niezwłocznie potrzebne osocze!".

Od prywatnych profilów, których właściciele oferują potrzebną pomoc, zaroiło się też na Instagramie i Twitterze.

– Żeby pomóc mamie, a później przyjaciołom, każdego dnia pisałam i dzwoniłam do trzydziestu, może czterdziestu kompletnie nieznajomych ludzi z mediów społecznościowych. Prawdę mówiąc nie miałam czasu zastanawiać się, kim są i kogo znają – przyznaje Shreya.

Sypiam po trzy godziny

Dla Pritama Kothadiyi, aktywisty z Ghaziabadu, sprawa jest prosta: w pomaganiu chodzi o to, żeby maksymalne wykorzystać swoją sieć kontaktów i nigdy nikomu nie odmawiać. Sukces zależy od tego, jak dobrze dbało się wcześniej o relacje z innymi i jak głęboko ludzie sobie ufają. Pritamowi, który prowadzi praktykę adwokacką, najbardziej pomogli przyjaciele, znajomi prawnicy i działacze partii politycznej, dla której pracuje jako wolontariusz.

W pomoc angażują się też emerytowani wojskowi lekarze, politycy czy aktorzy. – Jeśli odbierają telefon od kogoś zaufanego, poruszą niebo i ziemię, żeby pomóc, doprowadzić do przyjęcia chorego na oddział albo dostarczyć to, co może uratować życie – przekonuje Pritam.

Oczywiście nie dzieje się to bez ponoszenia kosztów. – Sypiam po trzy godziny dziennie. Przez resztę doby wydzwaniam, dopytuję się, kto i jak może pomóc. Moja 9-letnia córka mówi, że z tymi ciągłymi telefonami czuje się tak, jakbyśmy mieszkali w szpitalu, i jakbym ja był lekarzem. Mój numer ludzie zaczęli sobie przesyłać. Miałem telefony już nie tylko z Uttar Pradeś. Ludzie dzwonili nawet z miejsc, w których nigdy w życiu nie byłem.

Amana najbardziej zaskoczyło, że w całym tym chaosie ucichły spory polityczne. Przestało być ważne, kto jest hinduistą, a kto muzułmaninem, kto zwolennikiem państwa świeckiego, a kto wyznaniowego, albo kto jaką partię popiera. Ludzie zaczęli robić wszystko, co w ich mocy, by pomóc innym. – Polityczne dyskusje zaczęły się znów dopiero, gdy wybuchła nowa odsłona konfliktu izraelsko-palestyńskiego, a liczba zachorowań w Indiach zaczęła spadać – opowiada.

Również na platformach crowdfundingowych zaczęły się zbiórki funduszy na pomoc szpitalom i ludziom najbiedniejszym. A na wielu osiedlach znalazły się osoby gotujące dla starszych i chorujących sąsiadów. Zwykle proste domowe jedzenie: ryż, wegetariańskie curry z ziemniaków albo sera, daal i placki roti.

Ponieważ z domów nie wolno wychodzić bez ważnej przyczyny, do rozwożenia paczek z żywnością zatrudnia się dostarczycieli wynajmowanych przez aplikacje mobilne. Bardziej zasobni i przedsiębiorczy dobroczyńcy organizują podobną pomoc na większą skalę, rozwożąc jedzenie do ubogich dzielnic, których wielu mieszkańców z dnia na dzień straciło utrzymanie.

Filmowy gwiazdor Amitabh Bachchan w maju kupił w Polsce 50 koncentratorów tlenu i także inny sprzęt, który podarował szpitalom w Mumbaju. Lekarze po najlepszych uczelniach zaczęli uruchamiać centra diagnostyczne i tymczasowe ośrodki otwarte dla wszystkich chorych, niezależnie od stanu portfela.

System się rozsypał

Doktor Amit Jain wydaje się pogodny mimo późnej pory i tego, że rozmawiamy po jego wielogodzinnym dyżurze. Jain, anestezjolog i specjalista od intensywnej terapii w jednym z prywatnych szpitali w Delhi, uśmiecha się i potrząsa długimi, dawno niestrzyżonymi włosami.

Kilka miesięcy przed wybuchem pandemii, z myślą o pomocy chorym na raka, założył fundację Hands that Heal, ale teraz, pod koniec marca, organizacja niespodziewanie zyskała nowe zadania. – Myśleliśmy, że to potrwa tydzień, maksymalnie dwa. Nie sądziliśmy, że cały system rozsypie się na kawałki – wspomina.

Publiczne szpitale błyskawicznie się zapełniły – i zarazem przestały otrzymywać zaopatrzenie. Zabrakło najpotrzebniejszych artykułów. Zdarzało się, że bezradny i przemęczony personel przerzucał odpowiedzialność za zdobycie tlenu na rodziny chorych. Albo że lekarze nie zawsze byli wystarczająco zabezpieczeni przed zakażeniem. Do końca maja wirus zabił ich ponad pięciuset.

Jain wspomina, że przez kilka tygodni, na przełomie kwietnia i maja, pod bramą szpitala codziennie rano wyczekiwało po kilka, czasami kilkanaście rodzin. Chcieli, żeby przyjąć ich chorych, prosili, czasami grozili. Każdego dnia lekarze musieli odmawiać dwudziestu albo trzydziestu osobom. Odmawiać trzeba było nawet krewnym i znajomym, wydzwaniającym w czasie dyżurów.

– Od kilkunastu lat pracuję na oddziałach onkologicznych i intensywnej terapii. Wszyscy mieliśmy tam do czynienia z umierającymi, ale teraz musieliśmy się mierzyć z zupełnie innym poziomem frustracji. Nie mogliśmy pomóc nie z powodu braku umiejętności ani dlatego, że to już niemożliwe. Pacjenci umierali nam z braku tlenu, byliśmy bezradni – wspomina doktor Jain.

Obywatele, czyli ekosystem

Wraz ze współpracownikami Amit Jain zaangażował w akcję około trzydziestu innych lekarzy i lekarek, pracujących w dziesięciu szpitalach. Każda z osób z własnej kieszeni wpłaciła 15 tys. rupii. Wolontariusze kupili za to jedzenie, które za darmo wysyłają do potrzebujących.

– Zdobywamy też koncentratory i butle z tlenem, dla tych, którzy nie mają dostępu do szpitali. Wypożyczamy je, maksymalnie na trzy doby. Dostarczamy też potrzebnego do terapii osocza krwi ozdrowieńców. Tych, którym nie możemy pomóc, staramy się przynajmniej wysłuchać.

Po godzinach członkowie grupy doktora Jaina prowadzą transmisje wideo na Facebooku. – Próbujemy edukować i tłumaczymy, kiedy zgłosić się do szpitala, jak poprawnie podawać tlen w domu, dlaczego lepiej nie gromadzić go na zapas i jak chronić się przed komplikacjami – mówi lekarz.

Wszyscy medycy podali do publicznej wiadomości swoje numery telefo-

ANUSHREE FADNAVIS / REUTERS / FORUM

Modlitwa nad brzegiem Gangesu podczas hinduistycznego święta Kumbh Mela. Później okaże się, że święto to, z udziałem 9 mln pielgrzymów, było jednym z ognisk zakażeń. Haridwar, Indie, 13 kwietnia 2021 r.

nów i założyli grupę dyskusyjną, w której każdy może poprosić o wsparcie.

W ten sposób fundacja Amita Jaina stała się częścią szybko rosnącego ekosystemu, działającego głównie dzięki mediom społecznościowym.

Na prowincji

Choć media społecznościowe mają użytkowników również na odległej prowincji, gdzie żyje ponad 65 proc. mieszkańców Indii, to o dostępie do podobnej co w metropoliach infrastruktury i o takiej liczbie lekarzy można tam tylko pomarzyć.

Pierwsza fala zarazy szczęśliwie ominęła tereny wiejskie, lecz teraz dochodzi tam do większości nowych zachorowań. Problemy różnią się w zależności od regionu, ale wspólne mianowniki są podobne: niewiele szpitali, przychodni i centrów ochrony zdrowia, dostęp do testów graniczący z niemożliwością. A ponieważ o testy trudno, to choruje się często po cichu i w nieświadomości – i nie można z całą pewnością powiedzieć, czy tajemnicze śmierci są skutkiem zakażenia koronawirusem. Czasem lepiej o tym nie wiedzieć, bo dla wielu osób dopiero nazwana dolegliwość budzi strach.

Podobnie jak w miastach, i tutaj ludzie oddolnie się organizują i często rozdają potrzebującym to, co mogą – głównie prowiant i środki czystości. Ale możliwości są dużo mniejsze. W opublikowanym 31 maja reportażu tygodnik „India Today" pokazał opuszczone lokalne ośrodki zdrowia. Z kolei w tych działających nie ma czasem prądu, a w niektórych dystryktach jeden szpital albo przychodnia przypadają na setki tysięcy mieszkańców.

Jeśli chorym uda się już dostać do szpitala, trafiają na zatłoczone od tygodni oddziały, gdzie z braku personelu rodziny muszą same opiekować się chorymi. W tej sytuacji medykami pierwszego kontaktu są pielęgniarki, położne i pracownice sanitarne, określane skrótem ASHA (w hindi słowo to oznacza „nadzieję"). Te ostatnie zarabiają – w zależności od stanu – od 2 tys. do 4,5 tys. rupii (ok. 100-230 zł) miesięcznie, a odzież ochronną muszą sobie zapewnić same.

Ale i taka ograniczona pomoc bywa luksusem. Ze stanu Uttarakhand płyną medialne doniesienia o mieszkańcach górskich wsi, którzy masowo przenoszą się na niziny – w okolice miasteczek, w których są przychodnie, i do których prowadzą jakieś drogi.

Tymczasem w wyludnionych i ucichłych ze strachu wsiach Radżastanu można usłyszeć przejeżdżające patrole złożone z aktywistów. Przez megafony przypominają mieszkańcom, że choroba – nawet jeśli nie można jej z całą pewnością stwierdzić – nadal jest śmiertelnym zagrożeniem.

Drogi w labiryncie

Pritam: – Przez całe życie żyliśmy w zatłoczonym, tętniącym życiem mieście. Zaraz po przekroczeniu progu słyszało się nawoływania handlarzy, klaksony samochodów i autoriksz, dzwonki riksz rowerowych, szum tłumów na targowiskach, muzykę. W ostatnich kilku tygodniach to wszystko zamarło. Ludzie ze strachu wychodzą z domów tylko na szybkie zakupy. Wiedzą, że jeśli zachorują, prawdopodobnie nikt nie będzie im mógł pomóc.

Pomoc jednak coraz częściej przychodzi, a liczba zachorowań wydaje się spadać mimo niewydolności państwa. Pod koniec maja w Indiach notowano ok. 175 tys. nowych zakażeń dziennie. W tym czasie każdego dnia umierało ok. 3,5 tys. Łącznie do 28 maja na COVID-19 zmarło 323 tys. Indusów. To wszystko statystyki oficjalne – faktyczne liczby są bez wątpienia wyższe.

Od końca kwietnia na indyjskich lotniskach lądują zagraniczne samoloty z respiratorami, sprzętem do produkcji tlenu i lekami. Początkowo z powodu braku procedur i trudności logistycznych cenne zasoby przez wiele dni zalegały w magazynach, ale teraz wydają się wreszcie docierać do potrzebujących. W mediach trwają dyskusje, do kogo w pierwszej kolejności powinny trafiać odbudowywane zapasy szczepionek, których chwilowo brakuje – choć wcześniej Indie wyeksportowały i podarowały innym krajom dziesiątki milionów dawek.

Tymczasem ludzie nauczyli się znajdować drogę w epidemicznym labiryncie.

Shreya: – Zaczęliśmy sobie bardziej ufać, choć to wymuszone zaufanie. Są tacy, którzy próbują się na tym nieuczciwie wzbogacić. Ale jako społeczność chyba zdaliśmy egzamin.

– Nie wiem, czy jesteśmy gotowi na kolejną falę pandemii – mówi doktor Amit Jain. – Ale tej, która się właśnie kończy, nie oddaliśmy całkiem pola. Nasz szpital jest w dużo lepszej sytuacji niż jeszcze kilka tygodni temu, mamy nowy sprzęt i własną instalację do produkcji tlenu.

– Teraz musimy się przygotować na powrót pacjentów z pocovidowymi komplikacjami – dodaje. – No i spróbować pomóc kolegom na prowincji. To tam jak najszybciej musi teraz dotrzeć pomoc rządowa i zagraniczna.

© TOMASZ AUGUSTYNIAK

Autor jest niezależnym korespondentem w Azji Południowej i Południowo-Wschodniej, obecnie pracującym z Tajlandii. W latach 2013-15 mieszkał w Indiach; od tego czasu regularnie tam bywa.

KAY NIETFELD / AFP / EAST NEWS

Przedmiotem rozmów niemiecko-namibijskich w ostatnich latach był też zwrot szkieletów i czaszek członków plemion Herero i Nama, które w czasach kolonialnych trafiły z Afryki do Niemiec, do celów badawczych albo zbiorów antropologicznych. Na zdjęciu: delegacja kobiet z Namibii, które przybyły po szczątki przodków, przed berlińskim ministerstwem sprawiedliwości. Sierpień 2018 r.

Słowa nie wystarczą

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Rząd niemiecki chce przeprosić namibijskie plemiona za ludobójstwo sprzed ponad wieku. Ich członkowie wolą reparacje. Podobnie jak rządzący w Atenach i Warszawie.

Konsultacje trwały ponad sześć lat. Wreszcie, pod koniec maja, szef niemieckiej dyplomacji Heiko Maas ogłosił osiągnięcie porozumienia z rządem Namibii. Scenariusz naszkicowany przez ministra wydawał się prosty. Po pierwsze, Niemcy uznają zbrodnie popełnione ponad sto lat temu na terytorium obecnej Namibii za ludobójstwo. Po drugie, przeproszą. A po trzecie, zaoferują konkretną sumę jako zadośćuczynienie.

Sprawa miała zostać szybko zamknięta. Przeprosiny miał wziąć na siebie prezydent Frank-Walter Steinmeier. Przygotowywano już jego podróż do Windhuk, stolicy kraju na południowym zachodzie Afryki. Jednak plany stanęły pod znakiem zapytania. Potomkowie prześladowanych odrzucają bowiem rządową ugodę i domagają się wypłacenia reparacji.

Pierwsze ludobójstwo XX wieku

Niemcy skolonizowali obecne terytorium Namibii i władali nim w latach 1884–1915. Rdzenne plemiona wielokrotnie chwytały za broń, aby walczyć z kolonizatorem, który przejmował coraz to większe części ich ziem. Do największego powstania dwóch plemion – Herero i Nama – doszło w 1904 r.

Pomimo początkowych sukcesów, siły plemienne uległy oddziałom sprowadzonym z Europy. Członków Herero wypchnięto na tereny pustynne, gdzie masowo umierali z głodu i pragnienia. Kilka miesięcy później zbuntowało się też plemię Nama. I ten zryw stłumiły niemieckie oddziały. Afrykanów z obu plemion więziono potem w obozach koncentracyjnych, gdzie byli wykorzystywani, zmuszani do katorżniczej pracy i gwałceni. W konsekwencji niemieckich zbrodni zmarło ok. 65 tys. Herero i 10 tys. Nama.

W 1944 r. polski prawnik żydowskiego pochodzenia Rafał Lemkin ukuł pojęcie „ludobójstwo", a cztery lata później ONZ wprowadziła je, odpowiednią konwencją, do kanonu prawa międzynarodowego. Jeszcze w tym samym roku ONZ uznała zbrodnie popełnione przez Niemców na namibijskich plemionach właśnie za ludobójstwo.

Eksterminacyjny charakter działań można wyczytać m.in. z rozkazów dowodzącego siłami niemieckiego generała Lothara von Trothy. „Każdy Herero, który pozostanie na terytorium kolonii, zostanie zabity – bez względu na wiek czy płeć" – brzmiały jego wytyczne.

Mijały kolejne dekady, a Niemcy omijali temat zbrodni z czasów kolonialnych. Pierwszą próbę – na poziomie rządu – przyznania się do winy podjęła minister ds. pomocy rozwojowej Heidemarie Wieczorek-Zeul: w 2004 r. pojechała do Waterbergu, gdzie Niemcy rozbili siły wojowników Herero. „Okrucieństwa tamtych czasów były tym, co dziś nazwaliby-

śmy ludobójstwem, i za co dziś generał von Trotha zostałby osądzony i skazany" – mówiła.

Wieczorek-Zeul poprosiła o przebaczenie w duchu modlitwy „Ojcze nasz", ale nie w imieniu rządu lub państwa, lecz własnym. Niemniej sprawy nie dało się dłużej wypierać. W 2015 r. niemieckie MSZ samo zaczęło mówić o „ludobójstwie" w odniesieniu do wydarzeń sprzed ponad wieku. Kropkę nad „i" postawił dwa tygodnie temu minister Maas, ogłaszając osiągnięcie porozumienia niemiecko-namibijskiego.

Potomkowie mówią „nie"

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Po słowach Maasa na ulice Windhuk wyszli demonstranci. Przedstawiciele plemion Herero i Nama nazwali rządowe uzgodnienia „skandalem" i „obrazą".

W dużym stopniu chodzi o pieniądze. Berlin zaproponował 1,1 mld euro na projekty rozwojowe, a wypłata tej kwoty ma zostać rozciągnięta na okres 30 lat. Krytycy twierdzą, że roczne sumy nie będą różniły się od i tak już przekazywanych przez Niemcy środków pomocowych. Tymczasem Herero i Nama wielokrotnie podkreślali, że chcą od Niemiec godziwych reparacji.

Przedstawiciele plemion czują się oszukani nie tylko przez Berlin, ale także przez własny rząd. Członkowie sprawującej w kraju władzę partii pod nazwą Organizacja Ludu Afryki Południowo-Zachodniej (SWAPO) wywodzą się z plemienia Owambo, najliczniejszego w Namibii. Stanowiący mniejszość Herero i Nama wątpią, że pieniądze, dzielone pod kontrolą SWAPO, trafią do ich rodzin. „Ten rząd nie jest upoważniony do negocjowania na temat naszej historii. Trzeba rozmawiać z ludźmi, którzy zostali dotknięci przez ludobójstwo" – mówił w wywiadzie dla dziennika „Berliner Zeitung" Israel Kaunatjike, aktywista plemienia Herero, który mieszka w stolicy Niemiec. Kaunatjike uważa, że rząd Niemiec unika rozmów o reparacjach z obawy o stworzenie precedensu, który byłby zachętą dla innych.

Jürgen Zimmerer, historyk z Uniwersytetu Hamburskiego specjalizujący się w tematyce kolonializmu i ludobójstwa na terenie Afryki, przestrzega władze niemieckie, że obstając przy ustaleniach międzyrządowych mogą doprowadzić do skandalu i utraty reputacji. „Ważni przedstawiciele potomków ofiar już zapowiedzieli, że ich posłowie opuszczą salę, gdy prezydent Frank-Walter Steinmeier będzie wygłaszać przeprosiny w namibijskim parlamencie" – stwierdził w rozmowie z „Passauer Neue Presse". Do zamknięcia tego numeru „Tygodnika" nie doszło do rozstrzygnięcia, czy parlament Namibii przyjmie treść porozumienia, i czy Maas wyleci w piątek 11 czerwca do Windhuk, aby podpisać dokument i utorować drogę dla wizyty Steinmeiera.

Namibia pod lupą Aten i Warszawy

Rozwój sytuacji będzie z pewnością śledzony z uwagą przynajmniej w dwóch europejskich stolicach. Przypomnijmy, że o wypłacenie przez Niemcy reparacji wojennych dopominają się rządy Grecji i Polski. Niedawno, w kwietniu, Ateny przypomniały w komunikacie swojego MSZ, że sprawa reparacji „pozostaje otwarta, dopóki nasze żądania nie zostaną spełnione". Żądania te – to 289 mld euro. Na taką kwotę szkody spowodowane przez Niemców w trakcie II wojny światowej oszacowała grecka komisja parlamentarna. W Grecji to żądanie należy do ponadpartyjnego konsensusu: zadośćuczynienia finansowego od Berlina domaga się obecny rząd centroprawicy, a wcześniej to samo czynił gabinet lewicowy.

W przypadku Polski sprawa jest bardziej złożona, bo oficjalnie Warszawa nie wnosi o reparacje. Temat jest jednak regularnie podnoszony przez prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego. „Niemcy powinni nam zapłacić setki miliardów dolarów za wszystkie zniszczenia z okresu II wojny światowej" – mówił w majowym wywiadzie dla tygodnika „Sieci". Prace zespołu posła Arkadiusza Mularczyka nad raportem dotyczącym polskich strat wojennych zakończyły się już w 2019 r. Raport mógłby być podstawą wniosku o reparacje, ale od czasu ukończenia jego publikacja jest regularnie przekładana. Większość Polaków uważa, że Polska ma moralne prawo, by domagać się reparacji za straty i zniszczenia, które były jeszcze większe niż w Grecji.

W kwestii wszelkich żądań reparacyjnych rząd Angeli Merkel zajmuje konsekwentną pozycję: uważa, że nie ma ku temu podstaw prawnych, i że możliwy jest tylko dialog i rozwiązania polityczne. Dlatego namibijskie plemiona oraz rządy w Atenach i Warszawie łączy dziś jeszcze jedno: wszyscy zainteresowani, jeśli liczą na pojawienie się nowych tonów w Berlinie, muszą poczekać do wrześniowych wyborów do Bundestagu. Szansę na współtworzenie nowej koalicji rządzącej – a być może także na wygranie tych wyborów – mają Zieloni. Członkowie tej partii należą do zwolenników głębszego rozliczenia się ze schedą kolonializmu i zbrodni popełnionych w czasie II wojny światowej. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Lekcje czytania

9 czerwca o „Szczeniaku"

Zapraszamy na warsztat online wokół opowiadania „Szczeniak" z tomu „10 grudnia" George'a Saundersa, który poprowadzi Grzegorz Jankowicz.

Spotkanie odbędzie się o **godz. 12.00** w środę **9 czerwca** na naszym profilu **/LekcjeCzytania;** tu znajdziecie Państwo także więcej informacji na temat tekstu Saundersa.

George Saunders będzie gościem tegorocznej edycji Festiwalu Conrada. Rozmowa z pisarzem zostanie zaprezentowana online 23 października. Już teraz zapraszamy wszystkich na to wydarzenie, podczas którego autor „Lincolna w Bardo" opowie o literackiej empatii, która jest warunkiem pożądanej zmiany społecznej.

O programie Festiwalu będzie można przeczytać już w przyszłym wydaniu „Tygodnika".

TYGODNIK POWSZECHNY FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO CONRAD FESTIVAL

EYEPRESS / AFP / EAST NEWS

Obywateli państw Unii, którzy przylatują dziś do Wielkiej Brytanii, podczas odprawy granicznej może czekać przykra niespodzianka. Lotnisko Heathrow w Londynie, maj 2021 r.

Niechciana miłość Elisy

PATRYCJA BUKALSKA

Do końca czerwca Europejczycy żyjący w Wielkiej Brytanii muszą zalegalizować swój pobyt. Niektórzy nawet nie wiedzą, że trzeba to zrobić. To niejedyny ich problem.

Giuseppe jest lekarzem, w Anglii mieszka od kilkunastu lat. Założył tu rodzinę, pracuje dla publicznej służby zdrowia. W tamtą sobotę, 17 kwietnia, wraz z paroletnią córką i powitalnymi balonikami czekał w hali przylotów londyńskiego lotniska Heathrow na Martę, 24-letnią krewną z Włoch. Nie zjawiła się. Później dowiedział się, że została zabrana do ośrodka deportacyjnego, bo uznano, że przyjechała do pracy.

Z powodu restrykcji wjazdowych związanych z epidemią każdy podróżny musi mieć powód, dla którego odwiedza Wyspy. Marta miała list od Giuseppego, w którym pisał, że będzie u nich mieszkać i pomoże w opiece nad dziećmi. Nieszczęśliwie użył zwrotu *au pair* oznaczającego zwykle płatną opiekunkę. Straż graniczna uznała, że praca dla rodziny, płatna czy nie, to praca, a żeby pracować, trzeba mieć wizę.

Marta jej nie miała. W środku nocy przewieziono ją do ośrodka deportacyjnego. Opowiadała potem włoskiemu dziennikowi „La Repubblica", że strażnik powiedział jej, iż to „więzienie". Faktycznie: był drut kolczasty na zewnątrz i kraty w oknach. Zabrano jej telefon, pobrano odciski palców. Była przerażona. Następnego dnia odesłano ją do Włoch. Paszport odzyskała dopiero, gdy samolot wylądował w Mediolanie.

Trzy tysiące zawróconych

Historia Marty nie jest wyjątkowa. Dziennik „Guardian" publikował ich wiele: dotyczą podróżnych z Niemiec, Hiszpanii, Francji, Grecji, Rumunii, Bułgarii, Czech. Statystyki pokazują, na jaką skalę nastąpiła zmiana: w pierwszym kwartale tego roku wstępu na Wyspy odmówiono prawie 3,3 tys. obywatelom Unii, podczas gdy w pierwszym kwartale 2020 r. było ich niespełna pięciuset. A przecież przed pandemią podróżowało znacznie więcej ludzi.

Dodajmy, że zgodnie z porozumieniem brexitowym Europejczycy przyjeżdżający do Wielkiej Brytanii na okres nie dłuższy niż sześć miesięcy, w celach turystycznych lub odwiedzając rodzinę, nie potrzebują wizy. W czasie pandemii wprowadzono dodatkowe ograniczenia, ale jedynie część obecnych problemów na granicy można nimi tłumaczyć. Chodzi głównie o nowe przepisy imigracyjne i – jak pokazuje przykład Marty – ich interpretację przez straż graniczną.

Po serii publikacji w mediach Home Office (brytyjskie MSW) wydało oświadczenie, że nie wszystkie wydalone osoby były turystami. Przypomniało też, że „swobodny przepływ osób z Unii Europejskiej już się skończył". Zmieniono jedynie tyle, że osoby, które mają zostać wydalone, a mają w Wielkiej Brytanii rodzinę, mogą czekać na deportację w domu bliskich, a nie w ośrodku detencyjnym.

Czy mam prawa do Jane Austin?

Elisa Martellini przyjechała do Wielkiej Brytanii w 2017 r. – Odtąd minęły cztery lata i jeden dzień – podlicza, gdy rozmawiamy. – Najpierw miały to być tylko dwa miesiące letniego stażu. Miałam za sobą pobyt we Francji w ramach programu Erasmus, pomyślałam więc, że warto wykorzystać szansę i skoczyć do Anglii. Przyjechałam wtedy do Cambridge. Potem wróciłam do Włoch, by dokończyć studia, a po kilku miesiącach tu wróciłam. Na stałe.

Elisa opowiada, że początki były trudne, że Wielka Brytania wydawała się inna niż reszta Europy. I że dopiero niedawno ją naprawdę pokochała i uznała, że to jej miejsce, jej dom. – Przyjechałam już po referendum brexitowym, to nie pomagało w aklimatyzacji – wspomina. – Nie czułam się mile widziana, a przecież mieszkam w Cambridge, które jest bardzo otwartym miastem. Z czasem narastał niepokój: spotkało mnie kilka nieprzyjemności, czytałam gazety, słyszałam polityków w telewizji, gdy o Europejczykach mówili ostro.

– A teraz to, co się dzieje na granicach... – Elisa zawiesza głos. – Zaczynam się zastanawiać, czy jestem cudzoziemką, która ma czelność myśleć, że ma miejsce w tym kraju? Czy nadal mam prawo cieszyć się angielską literaturą, za sprawą której zakochałam się w Anglii? Czy mam jakieś prawa do Jane Austin, Agathy Christie i Roalda Dahla?

Elisa mówi o uczuciach, o zranieniu i rozczarowaniu. Takie emocje podziela wielu Europejczyków żyjących w Wielkiej Brytanii. Konieczność udowadniania swoich praw, nieodzowna podczas przechodzenia procedury w ramach nowego programu osiedleńczego, to dla niektórych upokorzenie. Zwłaszcza dla tych, którzy spędzili tu 15-20 lat lub więcej, pła-

cąc na miejscu podatki. A teraz jest tak, jakby nic do swojego brytyjskiego domu nie wnieśli.

Poza systemem

Termin złożenia wniosku o status osoby osiedlonej lub tymczasowo osiedlonej upływa 30 czerwca. Potem obywatele Unii żyjący na Wyspach, którzy nie uzyskali takiego statusu, tracą wszystkie prawa.

Do końca kwietnia (to ostatnie dostępne dane) wpłynęło 5 mln wniosków. Nie jest to równoznaczne z liczbą aplikujących, bo niektóre wnioski składano ponownie, ale i tak pokazuje skalę zjawiska. Wiadomo, że ok. 300 tys. z nich jeszcze nie rozpatrzono. Te osoby nie mogą być więc pewne, jak będą traktowane od 1 lipca, gdyby nadal czekały na decyzję.

Jeszcze bardziej niepokojące jest, że nie wszyscy Europejczycy złożyli wniosek. Dlaczego? – Powodów jest kilka, ale przede wszystkim dotyka to najsłabszych grup, ludzi najbardziej bezradnych – mówi „Tygodnikowi" Elena Remigi z projektu In Limbo, w ramach którego zbierane są relacje dotkniętych przez brexit obywateli Unii na Wyspach i Brytyjczyków w Europie.

Poprzednio rozmawiałyśmy w styczniu, odtąd sytuacja się nie poprawiła. – Nadal wiele osób nie wie, że powinno aplikować. Zwłaszcza jeśli mieszkali tu większość życia, pracują, mają ubezpieczenie itd. – mówi Elena. – Skomplikowana jest sytuacja ludzi starszych w domach opieki, którzy nie są w stanie załatwiać takich spraw lub są nieświadomi swojej sytuacji. Podobnie jest z dziećmi w rodzinach zastępczych. To olbrzymi problem. Grozi im, że w przyszłości będą całkowicie poza systemem.

Według danych z końca marca tylko 39 proc. dzieci z rodzin zastępczych miało złożone wnioski o status.

Wiele osób ma też problemy techniczne: wniosek składa się online i trzeba mieć nowoczesny model telefonu – taki, którym można odczytać czip w paszporcie. No i trzeba mieć taki paszport. Jeśli ktoś ma paszport starego typu, musi wyrobić nowy, co w czasie pandemii nie jest proste. Z kolei opcja złożenia wniosku osobiście jest znacznie ograniczona z powodu epidemii.

– Stawka jest olbrzymia. Tu naprawdę chodzi o ludzkie życie. Osoby, które nie złożą wniosku lub zostanie on odrzucony, mogą stracić wszystko: mieszkanie, pracę, dostęp do opieki zdrowotnej – martwi się Elena.

Osoby, które z powodzeniem aplikowały o status, tylko pozornie mogą odetchnąć z ulgą. Nie dostają żadnego fizycznego dokumentu potwierdzającego ich prawa. Ten element systemu od początku wskazywano jako słabe ogniwo. Aby dowieść swojego statusu, np. pracodawcy czy właścicielowi wynajmowanego mieszkania, trzeba więc zalogować się do systemu Home Office, uzyskać odpowiedni kod i dopiero potem uzyskuje się dostęp do swoich danych. To wieloetapowy proces: trzeba mieć dostęp do internetu, odpowiedni telefon, umiejętności techniczne i sporo cierpliwości.

Niepokój budzą przywoływane skojarzenia z tzw. pokoleniem Windrush – imigrantów, którzy przybyli z Karaibów po II wojnie światowej i mieli prawo pobytu, jednak dokumenty, które mogły to potwierdzić, zniszczono w archiwach ministerstwa. Istnieje obawa, że Europejczycy mogliby kiedyś znaleźć się w podobnej sytuacji.

Tym bardziej że już dochodzi do przykrych pomyłek. Np. listy z Home Office, przypominające o konieczności wystąpienia o status, dostała grupa osób, która ma już brytyjskie obywatelstwo (obok obywatelstwa kraju pochodzenia). W znacznej części to ludzie starsi, którzy spędzili tu większość życia, wychowali dzieci, mają wnuki. Listy okazały się błędem systemu, który nadal „widział" ich jako cudzoziemców. Dla adresatów jednak, nieraz w podeszłym wieku, były szokiem.

Szkocja to wasz dom

Swój pobyt muszą zalegalizować też Brytyjczycy żyjący w krajach Unii. Tu jednak wiele państw zdecydowało się na przesunięcie końcowego terminu składania wniosków o kilka miesięcy. Zaś 14 krajów (np. Niemcy, Hiszpania, Portugalia i Włochy) wprowadziło system automatycznej rejestracji. Brytyjczycy mieszkający tam legalnie przed brexitem otrzymują prawo pobytu bez konieczności składania w tej sprawie wniosku.

Kilka dni temu autonomiczne władze Szkocji zaapelowały do rządu w Londynie o przedłużenie terminu składania aplikacji. „Wiemy, że tysiące osób, które mają do tego prawo, nie złożyły jeszcze wniosku" – mówiła szkocka minister ds. europejskich Jenny Gilruth. Dodała, że uważa przesunięcie terminu za najprostszy sposób, by uniknąć kolejnego skandalu jak Windrush. Zwróciła się też do obywateli Unii: „Szkocja jest waszym domem, jesteście naszą rodziną, chcemy, żebyście zostali z nami".

– Program osiedleńczy ma dwa aspekty. Jeden prawny: to te problemy biurokratyczne. Drugi ludzki: stres i niepewność, które odbijają się na ludziach – mówi mi Elena Remigi. – Obecna sytuacja nie ma nic wspólnego z obietnicą, którą podczas kampanii brexitowej składali orędownicy wyjścia z Unii, że nie będzie żadnej zmiany dla unijnych obywateli.

Elena ma nadzieję, że z czasem wszystko się ułoży. Na razie powie swojej rodzinie z Włoch, aby wstrzymała się z odwiedzinami: – Nie chciałabym, żeby byli przesłuchiwani na granicy.

■■■

Elisa Martellini dostała status osoby tymczasowo osiedlonej. Myśli o napisaniu książki o Chawton Cottage, domu Jane Austin. Choć zastanawia się, czy w obecnej atmosferze nie powinien jej pisać ktoś, kto ma większe prawo do tego dziedzictwa literackiego niż ona, cudzoziemka. – Zostanę tu przynajmniej przez kolejny rok, aby uzyskać możliwość otrzymania statusu osoby osiedlonej. Na razie nie jestem gotowa na pożegnanie z Wielką Brytanią. Trzy lata temu wyjazd nie byłby dla mnie trudny, teraz już tak – wyznaje. – Potem mogę wyjechać. Ale chcę zostawić za sobą otwarte drzwi, żebym zawsze mogła wrócić. ©℗

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu toczy się postępowanie z wniosku Anny Ślusarczyk o stwierdzenie nabycia spadku po Jarosławie Adamie Siegieda, s. Mikołaja i Jadwigi, zmarłym w dniu 17 czerwca 2018 r. w Tarnobrzegu, jego ostatnim miejscu zwykłego pobytu. Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sygn akt I NS 50/21.

Okop z widokiem na dom

TEKST I ZDJĘCIA MONIKA ANDRUSZEWSKA
Z LINII FRONTU POD DONIECKIEM (UKRAINA)

Gdy siedem lat temu Rosja zaatakowała Ukrainę, swoją ziemię rodzinną opuściło półtora miliona ludzi. Wrócić nie mogą. Niektórzy jadą na front, aby choć popatrzeć.

Rozklekotany wojskowy dżip pędzi drogą H20. Niegdyś, siedem lat temu, zanim wiosną 2014 r. zaczęła się wojna, H20 łączyła donbaskie miejscowości z Donieckiem, stolicą regionu. – Tyle lat jeździłam nią do domu, a teraz prowadzi donikąd – Oksana spogląda przez zakurzone szyby dżipa. Dziś drogą H20 jeżdżą właściwie tylko żołnierze. Tu i tam w asfalcie zioną leje po pociskach. Droga prowadzi na pierwszą linię frontu, na pozycje zajmowane przez ukraińskie wojsko.

Dżip skręca z asfaltu na wyboistą polną drogę. Zatrzymuje się po kilkuset metrach. Dalej jechać nie można. – Tak wszystko zarosło, że z trudem poznaję. Jeździłam tędy na rowerze. A teraz te koleiny... Pewnie czołgi zniszczyły? To tu już mogą strzelać? – upewnia się, zakładając kamizelkę kuloodporną i hełm. Dziwnie wyglądają w połączeniu z dżinsami i podkoszulkiem. Żołnierze z zaciekawieniem obserwują 40-letnią blondynkę, jak wspina się po drewnianych schodkach, by dotrzeć na stanowisko obserwacyjne.

– Przyjechałam popatrzeć na mój dom – Oksana pokazuje na wprost. Jej rodzinne miasto, Jasynuwata, znajduje się w odległości niecałych trzech kilometrów. Niby niedaleko, ale w innym świecie: kilkaset metrów od ukraińskich okopów zaczynają się stanowiska wroga, a za nimi tzw. Doniecka Republika Ludowa: kontrolowane przez Rosję parapaństwo, tereny okupowane przez prorosyjskich separatystów.

Żołnierz podaje Oksanie lunetę. Wygląda jak peryskop: dzięki temu obserwujący jest w miarę bezpieczny. Kobieta zaczyna się w nią wpatrywać. I opowiada.

– KAŻDY COŚ STRACIŁ. Ktoś zdrowie, przyjaciół. Ja straciłam moje miejsce na ziemi. Przed wojną miałam cukiernię i sklep z dziecięcymi towarami. I sklep rybny, można było u mnie kupić nawet czarny kawior. W 2014 r., akurat był Majdan, otworzyłam jeszcze tartak. Jak wyjeżdżałam z Donbasu, separatyści pozabierali wszystko. Sklepy rozkradli od razu. Tartak, jak powiedzieli, upaństwowili i przekazali na rzecz młodej republiki.

Moja mama wciąż jest wielką fanką Janukowycza. Uważała, że to najwspanialszy ukraiński prezydent. Teraz ze sobą nie rozmawiamy. Myślę, że tacy jak ona są odpowiedzialni za to, co nas spotkało.

Na własne oczy widziałam, jak to wszystko zaczynało się w moim mieście. Tamtej wiosny, siedem lat temu, podeszła do mnie znajoma zbierająca datki. Mówi mi: daj choć hrywnę na szczytny cel. Pytam, na co. Ona: żeby wydrukować arkusze na referendum. Ja: jak wyjaśnisz mi, po co nam to referendum, dam ci choćby sto hrywien.

Nie odpowiedziała. Ale odtąd zaczęli mnie nazywać w mieście banderówką. I to był początek końca.

Gdy przeprowadzili to swoje referendum, żeby odłączyć Donbas, zrozumiałam, że źle się dzieje. Jaka znowu Rosja, jaka doniecka republika? Bierzesz dokument i tam masz napisane: Ukraina. Nie wiem, co więcej mogę powiedzieć, gdy mnie pytają, czemu jestem za Ukrainą. Mój dziadziuś od strony taty uczył języka ukraińskiego. Pewnie po nim odziedziczyłam patriotyzm. Dziadkowie rozmawiali po ukraińsku, ja po rosyjsku, ale nie musiałam się nad tym zastanawiać, nie miałam żadnych problemów z samoidentyfikacją. Ukraina była zawsze we mnie.

– TRZYMAM STARE RZECZY, wciąż je przechowuję. Ale niewiele. Niektórzy uchodźcy zatrzymują wszystko. Trzymają te okruchy życia sprzed wojny. Ja nie chcę otwierać muzeum. Zachowałam sobie tylko kilka, na pamiątkę. Sukienki, których już nie noszę, bo się w nich nie mieszczę. Białe buty na wysokim obcasie, takie ze złotą klamrą.

Na początku tego wszystkiego starałam się wspierać ukraińskich żołnierzy, którzy stali pod moim miastem. Pamiętam, jeździłam do nich w różowej sukience. Trzymam ją w szafie do dziś. Teraz wydaje mi się to głupie, jechać do wojskowych w takim stroju. Ale wtedy nie rozumiałam, że zaczyna się wojna. To było dla mnie naturalne: jestem Ukrainką, a pod miastem stoi ukraińska armia. Młode chłopaczki. Nasza armia wtedy była w strasznym stanie, nawet nie mieli co jeść. Woziłam do nich jedzenie. Nie miałam świadomości, że to ryzyko.

Potem separatyści szukali mnie po mieście, chcieli aresztować. Uratowało mnie to, że funkcjonariusze tego, jak oni mówią, donieckiego ministerstwa bezpieczeństwa, zapytali o to, gdzie mieszkam, mojego sąsiada, który lubił przychodzić do mnie na barszcz. Nie powiedział im. Jakoś cudem zdążyłam wyjechać.

– JAK KONKRETNIE UCIEKŁAM? To było tak. Pewnego dnia na ulicy zaczepiła mnie dziewczyna z niemowlęciem. Płakała, że przyjechała z mężem spod Zaporoża na grób ojca, a tu akurat zaczęły się walki i ona ze stresu straciła mleko. Wtedy w Doniecku wszystkie sklepy były zamknięte. Strzelali tak, że zbieraliśmy odłamki łopatami. Mówię jej: ptaszku, mam sklep z produktami dla dzieci. Pobiegłyśmy do sklepu. Skokami, od budynku do budynku, taki był ostrzał.

Potem ona zaczęła mnie prosić, żebym pomogła im stąd uciec. Był problem z jej mężem, bo mężczyźni w wieku od 16. do 65. roku życia mieli zakaz opuszczania miasta, tak zarządzili separatyści. Wsiadłyśmy we dwie do mojego auta, męża do bagażnika, przykryłyśmy paczkami. Rozrzuciłyśmy na górze rzeczy dla dzieci i nasze staniki. Powiedziałam jej, żeby nie karmiła kilka godzin, żeby dziecko płakało. Jak przyjechałyśmy na posterunek, same otworzyłyśmy wszystkie drzwi i bagażnik, że niby nie boimy się przeszukania. Zobaczyli bieliznę i wrzeszczące niemowlę, nawet nas nie sprawdzali. I tak wyjechałyśmy. Bóg mi zesłał tę dziewczynę i jej dziecko.

Już na wolnej Ukrainie było mi ciężko. Miałam straszne problemy ze snem. Wszyscy mówili, żebym poszła do psychologa. Ale psycholodzy zaczynali mnie wypytywać o dzieciństwo, rozwo-

Oksana na froncie pod Donieckiem, koniec maja 2021 r.

Obok: polna droga, którą Oksana jeździła kiedyś na rowerze. Koniec maja 2021 r.

dzić nad kompleksami. A przecież na moich oczach pocisk rozerwał na ulicy człowieka na kawałki. Musiałam go zbierać, było gorąco, a nikt nie chciał tego robić. Jaki psycholog mi z tym pomoże?

Teraz mieszkam pod Kijowem. Budynek, w którym żyję, to miejsce, gdzie nocuję, ale to nie mój dom. Pokochałam tę ziemię pod Kijowem, ale domu już nie. W domu mieszkam cudzym. Tamten mój budowałam od zera. W Kijowie jestem tylko gościem. Pewnego dnia usiadłam przed tym moim-nie moim domem i zaczęłam czytać, jak sadzić pomidory. Okazało się, że sam proces obserwowania, jak one rosną, jak robią się czerwone, jest kojący. Najlepszym psychologiem jest ziemia.

– SIEDEM LAT ODWLEKAŁAM przyjazd na Donbas. Bałam się, że zapragnę wrócić do domu. A teraz patrzę na moje miasto i nic nie czuję. Widzę puste budynki, bez dusz. O, ten tam, to musi być dom cioci mojego męża. Ona została, a ja jestem tu, po drugiej stronie. O, widzę cerkiew z boku, trochę na lewo. Duchowny z tej cerkwi też pomagał armii ukraińskiej na początku. Ale potem został. Przystosował się.

Nigdy tam nie wrócę. Nie mogłabym żyć obok ludzi, którzy idą na taki kompromis. Nawet, gdy Donbas wróci do Ukrainy, nie wrócę. Nie mogłabym koło nich żyć.

Zobacz, to niecałe trzy kilometry. Można dojść pieszo. Mój dom? O, tam był, zaraz za linią frontu. Wiem, że zajęła go rodzina jednego z ważnych separów. Ktoś śpi w moim łóżku, ktoś je śniadanie w mojej kuchni.

Wiem, że jeśli Ukraina miałaby odzyskać tę ziemię, to pewnie tylko siłą. Ja jestem na to psychicznie gotowa. Niech z naszego miasta wyjadą i Rosjanie, i separatyści, to my się już odbudujemy. Wtedy trzeba będzie oczyścić tę ziemię. Wtedy może będę mogła przejechać znowu tą drogą na rowerze. ©

WOJCIECH KONOŃCZUK

Zamek w Podhorcach koło Lwowa. Wrzesień 2015 r.

Wielka restauracja

WOJCIECH KONOŃCZUK

Największy w historii niepodległej Ukrainy program odnowy zabytków niesie duże szanse, ale też zagrożenia.

PODHORCE TO NIEWIELKA MIEJSCOWOŚĆ na zachodniej Ukrainie, kilkadziesiąt kilometrów od Lwowa. W jej centrum wznosi się jedna z najsłynniejszych rezydencji magnackich dawnej Rzeczypospolitej: potężny zamek, zbudowany w wieku XVII na zamówienie hetmana Stanisława Koniecpolskiego, jednego z najbardziej utalentowanych dowódców wojskowych w polskiej historii. Związany potem ze znanymi rodami – Sobieskimi, Rzewuskimi i Sanguszkami – zamek mieścił niegdyś wspaniałą kolekcję sztuki.

Budowla szczęśliwie przetrwała obie wojny światowe, a po 1945 r. działał tu szpital gruźliczy – co nie przeszkodziło w wykorzystaniu jej w latach 70. jako scenografii do filmu „Potop" Jerzego Hoffmana. Szpital wyprowadził się w latach 90. i od tego czasu ten – wciąż robiący ogromne wrażenie – barokowy kompleks stoi pusty. Ponad 20 lat temu, dzięki środkom polskiego Ministerstwa Kultury, udało się wymienić dach, co przynajmniej zabezpiecza zabytek przed dalszą degradacją.

Wspólne dziedzictwo

Przypadek zamku w Podhorcach, który jako budowla najwyższej klasy artystycznej już dawno powinien zostać odnowiony i wpisany na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, dobrze oddaje stan zabytków na Ukrainie. Według oficjalnych danych aż 80 proc. z nich wymaga konserwacji, a 30 proc. jest w stanie ruiny. Chyba w żadnym innym państwie Europy obiekty zabytkowe nie są w równie złej sytuacji. To efekt kilkudziesięciu lat zaniedbań ze strony państwa, które corocznie przeznaczało symboliczne środki na ich konserwację (równowartość kilkunastu milionów złotych).

Przyjęty właśnie państwowy program „Wielka restauracja" ma jednak szansę poprawić stan ukraińskiego dziedzictwa kulturowego. Zakłada on bowiem przeznaczanie corocznie, do roku 2023, kwoty 2 mld hrywien (ok. 270 mln zł) na odnowę zabytków. Pierwszy konkurs rozstrzygnięto w końcu maja – i wśród 22 zabytków wybranych do konserwacji znalazł się zamek w Podhorcach, wraz z położonym nieopodal wyjątkowej urody kościołem zamkowym. Obok niego wybrano też siedem innych obiektów leżących na ziemiach wchodzących kiedyś w skład Rzeczypospolitej, m.in. zamki w Żółkwi, Olesku i Zbarażu. Na razie wiadomo, na co w tym roku zostanie wydanych 399 mln hrywien (53 mln zł); kwestia sposobu wydania kolejnych 1,6 mld hrywien ma zostać jeszcze rozstrzygnięta.

A to tylko początek, gdyż docelowo w ramach programu miałoby zostać odnowionych 150 obiektów, w tym wiele w zachodniej części kraju, najbogatszym w zabytki regionie Ukrainy. Są one także częścią polskiego dziedzictwa i ich stan nie jest nam obojętny. Polska w ostatnich latach przeznaczała na odnowienie wybranych obiektów na Ukrainie, związanych z polską historią, sumę ok. 8-9 mln zł rocznie.

Ryzyko i nadzieja

„Wielka restauracja" to program oczekiwany od wielu lat, na jaki nie zdecydował się żaden z poprzednich ukraińskich rządów. Należy jednak realistycznie uznać, że choć ambitny, nie jest w stanie w trzy lata odmienić całościowego stanu ukraińskiego dziedzictwa – skala wieloletnich zaniedbań jest zbyt duża. Ponadto program nie obejmuje zabytkowych zespołów miejskich, które wymagają kompleksowej odnowy – zwłaszcza te najcenniejsze, jak Lwów i Odessa. Problemem może być też brak wystarczającej liczby wykwalifikowanych konserwatorów i firm zajmujących się restauracją. Niesie to ryzyko, że część prac może zostać wykonana niezgodnie z regułami sztuki, co groziłoby zniszczeniem substancji zabytkowej. Część ukraińskich obserwatorów wyraża też wątpliwości, czy w okresie (post)pandemicznym budżet będzie w stanie wygospodarować takie środki.

Mimo tych zastrzeżeń warto docenić, że władze w Kijowie dostrzegły alarmujący stan swojego dziedzictwa kulturowego i potrzebę pilnych działań, często wręcz o charakterze ratunkowym. W połączeniu z trwającym właśnie tworzeniem Państwowej Służby Ochrony Dziedzictwa Kulturowego (czyli służby konserwatorskiej, dotąd nieistniejącej) daje to nadzieję, że wiele ukraińskich zabytków uda się ocalić. ©

WOJCIECH KONOŃCZUK *jest współautorem (razem z Piotrem Kosiewskim) raportu „Zagrożone dziedzictwo. Polskie dobra kultury na Ukrainie i Białorusi" (raport jest dostępny na stronie osw.waw.pl).*

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 366/20 postępowanie z wniosku wierzyciela Agaty Rybarczyk o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Antonim Pajdowskim, zmarłym 02.05.2019 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie. Skład spadku po zmarłym jest nieznany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 28/19 postępowanie z wniosku Barbary Wolsztyniak i Kryspina Wolsztyniak o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości, położonej w Potarzycy, oznaczonej geodezyjnie jako działka 229/2, o powierzchni 0,09,00 ha, dla której V Wydział Ksiąg Wieczystych Sądu Rejonowego w Jarocinie prowadzi księgę wieczystą KZ1 J/00023934/0, oraz oznaczonej geodezyjnie jako działka 229/1, o powierzchni 0,09,00 ha, dla której była prowadzona księga wieczysta Potarzyca k.81.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Sąd Rejonowy w Lubaczowie I Wydział Cywilny w sprawie I Ns 77/21 z wniosku Józefa Broś o stwierdzenie nabycia spadku po Adamie Józefie Suszko s. Ludwika i Katarzyny, kawalerze, zmarłym 1 listopada 2018 r. w Lubaczowie, ostatnio stale zamieszkałym pod adresem: Futory 1, 37-630 Oleszyce, po którym pozostał majątek spadkowy w postaci nieruchomości położonych w Lubaczowie, Futorach i Maślankach, o łącznej powierzchni 9,4696 ha – wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku, pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 481/19 postępowanie z wniosku Naczelnika Urzędu Skarbowego w Jarocinie o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Cieślak, zmarłej 14.03.2015 r., ostatnio zamieszkałej w Wojciechowie, gmina Jaraczewo. W skład spadku po zmarłej wchodzi jej udział w prawie własności nieruchomości położonej w Wojciechowie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śl. I Wydział Cywilny pod sygnaturą I Ns 52/21 toczy się postępowanie z wniosku Gminy Bardo o stwierdzenie nabycia spadku po Teresie Szeraszewicz zmarłej dnia 15 kwietnia 2019 r., ostatnio zamieszkałej w Bardo, oraz po Henryce Gądek zmarłej dnia 31 października 2019 r., ostatnio zamieszkałej w Bardo.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Sanoku Wydział I Cywilny ogłasza, że wszczął postępowanie z wnioksu Bogumiły Stanik, zamieszkałej pod adresem: 37-700 Przemyśl, ulica Kosynierów 11/22, o uznanie za zmarłego Józefa Giec, syna Piotra Giec i Rozalii Giec zd. Kleban, urodzonego 10 marca 1899 r. w Wujskiem, powiat sanocki, województwo podkarpackie. Przed wybuchem II wojny światowej Józef Giec wyjechał do Stanów Zjednoczonych w celach zarobkowych i dalsze jego losy nie są znane.

Sąd wzywa zaginionego Józefa Giec, aby w terminie 6 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosił się do Sądu Rejonowgo w Sanoku, w którym toczy się postępowanie, gdyż w przeciwnym razie może być uznany za zmarłego.

Wzywa się również wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionym, aby w powyższym terminie przekazały je Sądowi. Sygnatura I Ns 386/20.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 297/20 postępowanie z wniosku Krystyny Andersz o stwierdzenie nabycia prawa własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy własności zabudowanej nieruchomości, położonej w Łobzowcu, gmina Jaraczewo, o powierzchni 0,54,99 ha, dla której jest prowadzona księga wieczysta KZ1J/00005787/2.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny, na skutek wniosku Magdy Renaty Malechy, pod sygnaturą I Ns 567/19, toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości położonej w miejscowości Radoszyna, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 152, o powierzchni 0,2784 ha.

Sąd wzywa spadkobierców Julianny Zbrzeźniak i Władysława Zbrzeźniaka (Zbrzeźnego), aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

ŚMIECH SZALONY, GORZKIE ŁZY

Festiwal w Opolu, jedna z masowych imprez muzycznych w PRL, stale był na celowniku cenzury i bezpieki.

KRZYSZTOF TARKA

Jerzy Waldorff miał wyczucie do bonmotów. Wprawdzie jego słowa, że Opole to „stolica polskiej piosenki", początkowo były na wyrost – krytyk muzyczny użył ich podczas pierwszej edycji imprezy – ale szybko okazały się trafne.

Organizowany od 1963 r. – i odbywający się zwykle w czerwcu (z paroma wyjątkami, np. w tym roku znów został przesunięty z powodu epidemii) – Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki stał się jedną z większych imprez muzycznych w PRL. Jego ranga sprawiła, że interesowały się nim nie tylko lokalne władze partyjne i państwowe, ale też władze centralne.

„Za te polskie dwa tysiące"

Pomysłodawcami festiwalu byli dziennikarze radiowej Trójki, Jerzy Grygolunas i Mateusz Święcicki.

W Opolu, gdzie od kilku lat ślimaczyła się budowa amfiteatru, do ich pomysłu zapalił się przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej Karol

JERZY MICHALSKI / RSW / FORUM

Mira Kubasińska i Tadeusz Nalepa z zespołu Breakout w garderobie artystów na VII Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. Czerwiec 1969 r.

Musioł, popularny wśród opolan „Papa Musioł".

Nadzór nad imprezą sprawował Komitet Wojewódzki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, wspierany na szczeblu centralnym przez Wydział Kultury KC PZPR. Za porządek odpowiadały Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej i miejscowa Służba Bezpieczeństwa. Z kolei nad prawomyślnością repertuaru czuwali cenzorzy z Głównego i Wojewódzkiego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Kontrola odbywała się w dwóch etapach: najpierw wszystkie teksty piosenek i scenariusze programów kabaretowych przedstawiano do akceptacji GUKPPiW w Warszawie, a potem występy nadzorowali lokalni cenzorzy, obecni i na próbach, i podczas koncertów. Ci opolscy narzekali, że artyści nieraz próbowali ponownie zgłaszać teksty odrzucone wcześniej w Warszawie.

W pierwszych latach Opole nie nastręczało nadzorcom większych problemów, choć od początku nie obyło się bez ingerencji. W 1963 r. triumfy święciła „Piosenka o okularnikach" autorstwa Agnieszki Osieckiej. Ucho cenzora wychwyciło informację o zarobkach inteligentów. W rezultacie zamiast frazy „i w dalekim jakimś mieście / zarabiają tysiąc dwieście", publiczność usłyszała: „potem wiążą koniec z końcem / za te polskie dwa tysiące".

W sprawozdaniu rocznym dla centrali za rok 1965 r. naczelnik opolskiej cenzury Stanisław Dąbrowski zaznaczał: „Festiwal Piosenki Polskiej był w tym roku od strony organizacyjnej starannie przygotowany. Przedłożone do kontroli teksty nowych piosenek nie zawierały szkodliwych akcentów". Do SB dotarły jednak donosy na Jarosława Abramowa-Newerlego, autora tekstów i kompozytora, związanego ze Studenckim Teatrem Satyryków, który za kulisami krytykował działania cenzury wobec Wiesława Dymnego z krakowskiego kabaretu Piwnica pod Baranami. W podobnym tonie wypowiadał się też Jerzy Grygolunas.

„Zaczesywaliśmy włosy"

Więcej kłopotów sprawili uczestnicy siódmej edycji. Cenzorzy z centrali odrzucili w całości kilka propozycji, wśród nich piosenki Jana Pietrzaka. W rocznym sprawozdaniu opolski cenzor informował zaś zwierzchników, że kilku wykonawców zignorowało niektóre ingerencje. Najwięcej jednak problemów zrobił władzom zespół bluesrockowy Breakout.

Najpierw festiwalowa komisja artystyczna zarzuciła muzykom niechlujny wygląd – skrytykowano ich stroje i długie włosy. Lider zespołu Tadeusz Nalepa wspominał po latach: „W Opolu mieliśmy problemy. Musieliśmy zaczesywać włosy za uszy i właściwie tylko dzięki mojej aparaturze doszło do występu. Wszyscy jej potrzebowali (...) Użyłem tutaj szantażu". Wśród „negatywnych zjawisk" SB notowała, że Franciszek Walicki, nieoficjalny impresario Breakoutu, rzucił na konferencji prasowej, iż stroje zespołu projektowała córka szefa Rady Państwa Mariana Spychalskiego, co wywołało salwę śmiechu wśród dziennikarzy.

Jakby tego było mało, muzycy Breakoutu, którzy właśnie wrócili z koncertów w krajach Beneluksu, podczas spotkania z młodzieżą w opolskim Domu Kultury zachwalali zachodni styl życia i przekonywali, że „młodzież na Zachodzie ma więcej niż u nas muzyki, tańca i zabawy". Nalepa krytykował też działania milicji wobec przybyłych do Opola hipisów.

„Widok był zaiste szokujący"

W 1969 r. festiwal miał być bowiem okazją do zjazdu hipisów z całej Polski. Milicja przeszkodziła jednak w jego zorganizowaniu. Szef MO w Opolu ppłk Czesław Długosz twierdził, że hipisi chcieli zorganizować demonstrację, zakończoną wręczeniem petycji do władz, w której mieli domagać się wydzielenia im specjalnego terenu w Bieszczadach. Aby temu zapobiec, przed festiwalem milicjanci zatrzymywali grupki „dziwnie poprzebieranych" młodych ludzi z długimi włosami, którzy pociągami próbowali dotrzeć do Opola.

Setka hipisów, którym mimo milicyjnej obławy udało się dotrzeć do Opola, została zatrzymana już na miejscu. Ich przybycie do miasta tak opisał ppłk Długosz: „Widok był zaiste szokujący. Nawet przyzwyczajeni do festiwalowych ekstrawagancji opolanie przecierali ze zdumienia oczy. Takiego cyrku dawno już w tym mieście nie widziano. Tymczasem *hippies* włóczyli się ulicami miasta, przesiadywali godzinami w lokalach, ku rozpaczy liczących na duże obroty kelnerów. Wystąpili nawet do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej z prośbą o zezwolenie na rozbicie namiotów" (oczywiście jej nie dostali).

Zatrzymanym młodym ludziom, jeśli ich zdjęcie w dowodzie osobistym lub legitymacji szkolnej nie zgadzało się z aktualnym wyglądem, dawano wybór: obcięcie włosów albo przesłanie dokumentów do komendy MO w miejscu zameldowania oraz poinformowanie szkoły i rodziców o rzekomym nagannym zachowaniu. ↦

↦ Także debiutujący w 1972 r. Andrzej Sikorowski został zapędzony do fryzjera. W tym czasie w kabaretonie reżyserowanym przez Olgę Lipińską wystąpiła grupa Osjan. „Nie dość, że mieli długie włosy, to jeszcze występowali boso! To był jeden wielki skandal!" – wspominała po latach Lipińska.

„Przestał koncert za kulisami"

Przed festiwalem w 1970 r. zmobilizowano dodatkowe siły. Ewentualnym „wrogim ekscesom" miało zapobiec 90 zomowców (Zmotoryzowane Odwody MO), a lokalna SB założyła tzw. sprawę obiektową „Amfiteatr", która objęła organizatorów, artystów i dziennikarzy. Esbecy mieli zbierać dane zwłaszcza o osobach znanych z „tendencyjnych wypowiedzi" (dokumenty tej sprawy niestety się nie zachowały). W ocenie SB działania prewencyjne prowadzone w następnych latach w związku z festiwalem przyniosły „korzystne efekty", a w trakcie imprezy „nie było żadnych wrogich wystąpień ze strony wykonawców".

W 1970 r. niespodziewanie główną nagrodę ministra kultury zdobył Pietrzak, za piosenkę „Marsjanie nie zagrażają Ziemi". Laureat miał chwalić się w kuluarach, że „ma w zanadrzu wiele takich piosenek, ale nie może ich publicznie wykonywać, gdyż nie chce się narazić władzom", o czym major Edward Kasperski z niepokojem informował władze PZPR.

Na dziesiątym festiwalu, w 1972 r., nagrodę dziennikarzy otrzymał Jan Tadeusz Stanisławski za piosenkę pod dwuznacznym tytułem „Z jednej strony śmiech szalony, z drugiej strony gorzkie łzy". Została wykonana podczas kabaretonu, ale cenzura nie dopuściła do występu Stanisławskiego w koncercie laureatów. Artysta „wbity we frak z gitarą w ręku przestał cały ten koncert za kulisami, ponieważ nie było decyzji, czy można go wpuścić na estradę z taką piosenką".

„Pani wie, co się dzieje!"

W 1976 r. festiwal odbywał się w cieniu protestów w Radomiu i Ursusie. Decydenci bali się, że występy artystów kabaretowych podgrzeją nastroje społeczne. Olga Lipińska, która reżyserowała wtedy cały festiwal, wspominała: „Do mnie co chwila przylatywał jakiś pan w rozwianym szaliku, strasznie zdenerwowany, z wąsikiem, i wołał: »Towarzyszko!« – więc ja na to, że nie jestem żadną towarzyszką. Na to on, że to nie szkodzi i że mam zaraz jechać do Komitetu Wojewódzkiego [PZPR]. Wozili mnie tam samochodem przestraszeni, zdenerwowani, i chcieli koniecznie wszystko wiedzieć".

ALEKSANDER JAŁOSIŃSKI / FORUM

Publiczność na VI Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. Czerwiec 1968 r.

Przerażony sekretarz ds. propagandy KW PZPR w Opolu Józef Gruszka tłumaczył Lipińskiej: „Pani ma na widowni ponad 5 tysięcy ludzi, tam w Ursusie – wie pani – co się dzieje!!!". Lipińska wspominała, jak pobladły mówił: „Tutaj za chwilę będzie rewolucja!".

Wiesław Gołas musiał w KW PZPR opowiedzieć wszystkie dowcipy, które miał wygłosić z estrady. Do KW wzywany był też Pietrzak, gdzie tłumaczono mu, czym grozi podburzanie do buntu przeciw władzy.

W sprawozdaniu z narad z artystami opolski cenzor pisał: „W rozmowach, które toczyły się w atmosferze swobodnej wymiany opinii, główny nacisk kładliśmy na wyeliminowanie ewentualnych przejawów aktualizacji treści zawartych w programach do bieżącej sytuacji. Wykonawcy z całkowitym zrozumieniem przyjęli nasze sugestie". Aby wyeliminować niepożądane sytuacje, transmisja telewizyjna (podobnie jak w poprzednich latach) odbywała się z opóźnieniem. Dopiero rok później koncerty po raz pierwszy nadawano na żywo, co wykluczało ich wtórne cenzurowanie.

„Pan zmieni trochę tekst..."

W 1978 r. nagrodę dziennikarzy zdobyła prześmiewcza piosenka zespołu Wały Jagiellońskie „Wars wita was". Zespół śpiewał: „a konduktor pijany / obija się o ściany". Decydentom nie spodobała się krytyka nieporządków na kolei. Opór środowiska dziennikarskiego sprawił, że Wały wystąpiły jednak w koncercie laureatów i w telewizji.

Dwa lata później w konkursie „Premiery" przyznano dwie równorzędne pierwsze nagrody. Jedną zdobył Andrzej Rosiewicz za piosenkę „Najwięcej witaminy". Przed konkursem laureatów dyrektor festiwalu Zbigniew Napierała sugerował mu, aby trochę zmienił tekst. „W którym miejscu?" – spytał Rosiewicz. „No, tam gdzie jest: »Gdyby w kuchni ktoś przy dziecku mówił po niemiecku«. A ja mu mówię: Panie Zbyszku, ale ja gloryfikuję Polki, więc te inne narodowości jakieś wady muszą mieć! A tu nagle zbliża się Jonasz Kofta, trochę wstawiony (bo zdarzenie miało miejsce w hotelu Opole), i ja mówię do niego: »Jonasz, pan dyrektor Napierała mówi, żeby zmienić ten fragment (...)«. A Kofta na to: »Można to zmienić, ale wtedy nie można mówić o sztuce«".

„Zabrakło afirmacji"

Niepowtarzalna atmosfera towarzyszyła festiwalowi w 1981 r. Nigdy wcześniej artyści nie mogli tak otwarcie zwracać się do kilkutysięcznej publiczności. „Złotą Karolinką" nagrodzono piosenkę Pietrzaka „Żeby Polska". Przed występem jej autor powiedział, że po raz pierwszy na festiwalu piosenki polskiej można było zaśpiewać: „Żeby Polska była Polską". Podczas koncertu laureatów publiczność odśpiewała ją na stojąco.

Do legendy przeszedł maraton z udziałem m.in. kabaretów Tey, Piwnica pod

Baranami, Pod Egidą i zespołu radiowego „60 minut na godzinę". Jury nie zdobyło się na przyznanie pierwszej nagrody, zarzucając występującym „jednostronność ideową i artystyczną". Program miał się zacząć o godzinie 23.30, ale żeby zniechęcić oczekującą publiczność, przesunięto go na drugą w nocy. Kabarety były też zbyt „niebezpieczne", aby transmitowała je telewizja.

Artyści kabaretowi tradycyjnie dostarczali najwięcej pracy cenzorom. Szef cenzury w Opolu Eugeniusz Kaniok (w przeszłości członek studenckiego kabaretu) w notatce dla władz partyjnych pisał: „Kwitując sprawę jednym zdaniem, był to rzadko dotąd spotykany program o tak jednoznacznej totalnej wręcz wymowie antyradzieckiej".

Jubileuszowy, XX festiwal, miał się odbyć w czerwcu 1982 r. Ponieważ pół roku wcześniej władze PRL wprowadziły stan wojenny, imprezy nie było. Kolejna odbyła się w 1983 r. i znów największym powodzeniem cieszyły się występy kabaretów. Z kolei w 1984 r. Bohdan Smoleń otrzymał nagrodę dziennikarzy i nagrodę specjalną w konkursie piosenki kabaretowej za monolog „A tam, cicho być", aby po zakończeniu festiwalu otrzymać też... wniosek do kolegium ds. wykroczeń (ówczesny rodzaj sądu, zlikwidowany po 1989 r.).

Dyrektor opolskiej cenzury skierował osiem wniosków o ukaranie przez kolegium: artystom zarzucił zignorowanie ingerencji cenzury i wykonywanie utworów nieujętych w zgłoszonym scenariuszu. Ich występy miały zawierać też „wyjątkowo szkodliwe politycznie treści". Dzięki zarządzonej w lipcu 1984 r. amnestii artystów jednak nie ukarano.

Ten festiwal został skrytykowany również przez Wydział Kultury KC PZPR: partyjni prominenci wytknęli organizatorom, że w programie „zabrakło afirmacji dorobku czterdziestolecia PRL", a „cechą charakterystyczną znacznej części utworów było wyrażanie nastrojów apatii, zwątpienia w sens działania, buntu przeciwko sytuacji człowieka w systemie społecznym. Niektóre z nich zawierały niedwuznaczne aluzje natury politycznej".

■■■

Z powodu „nieodpowiedzialnych" występów organizatorzy kolejnego festiwalu musieli zrezygnować z kabaretonu. Wrócił w 1987 r., a cenzor znów ocenił występy negatywnie. Informując zwierzchników, podkreślał, że „znaczna część widowiska opolskiego zawierała jątrzące treści wymierzone przeciw organom porządku publicznego i władzy ludowej, a także aluzje dyskredytujące niektóre rozwiązania ustrojowe". Domagał się też większych kar dla wykonawców, włącznie z czasowym zakazem występów. Zalecenia cenzorów jednak były coraz bardziej lekceważone przez twórców; nikłe rezultaty przynosiły też nakładane kary.

Cenzura odcisnęła jeszcze swoje piętno na festiwalu w 1988 r. Kolejny odbył się już po przełomowych wyborach z 4 czerwca 1989 r. A przed następnym cenzura została zniesiona.

© KRZYSZTOF TARKA

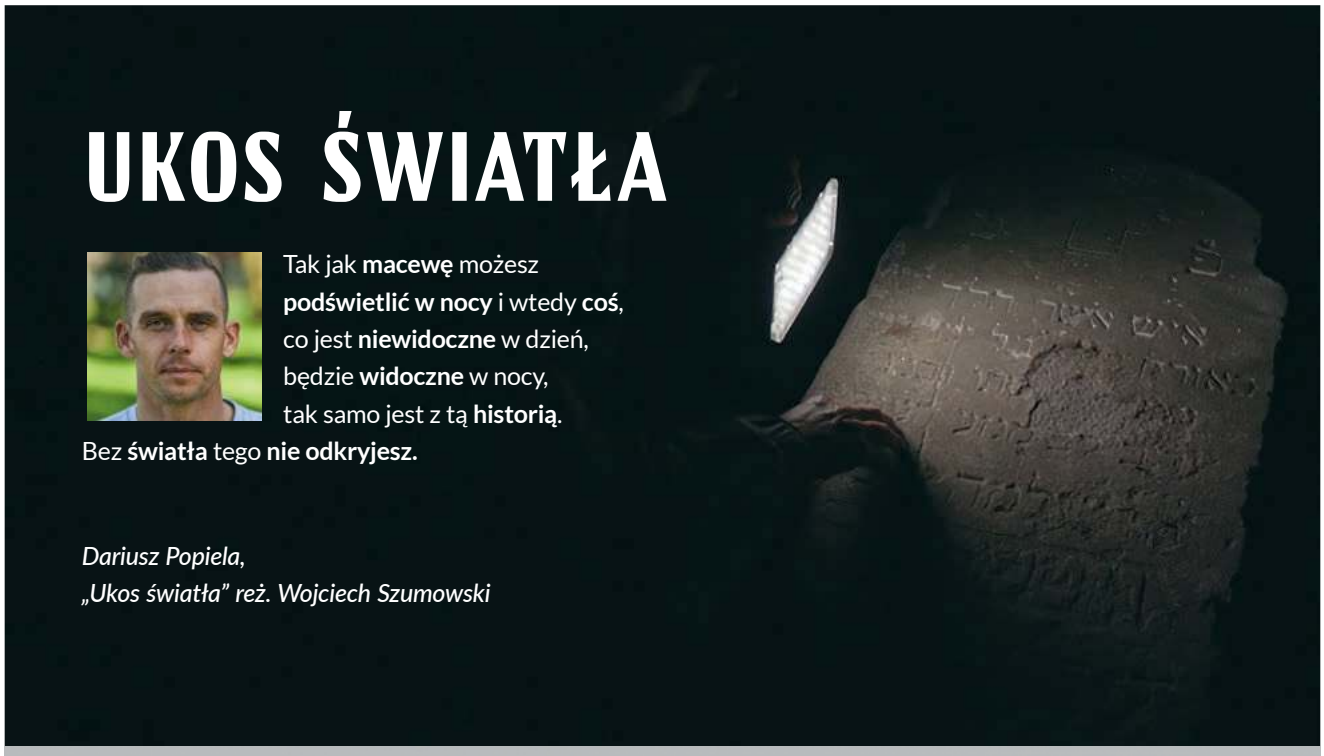

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WESPRZYJ POWSTANIE FILMU „UKOS ŚWIATŁA" o działalności mistrza sportu Dariusza Popieli, odpominającej żydowskich sąsiadów. Weź udział w zbiórce na **powszech.net/ukos** lub wpłać bezpośrednio na konto Fundacji Tygodnika Powszechnego, w tytule przelewu pisząc „Ukos światła". Santander Bank Polska S.A. nr: **31 1910 1048 2006 1845 1121 0001**. Dziękujemy!

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

NAUKA

CO MÓWIĄ SŁOJE

Analizy rocznych przyrostów drzew na pozór wydają się mało wyrafinowaną techniką badawczą. Dają one jednak bogaty wgląd w życie w minionych epokach oraz w warunki, jakie w nich panowały.

KAMIL KOPIJ

W 1940 r. oksfordzkie Ashmolean Museum otrzymało niezwykły dar: Mesjasza. „Pomazańcem" były skrzypce wykonane przez Antonia Stradivariego z Cremony (1644–1737), bodaj najsłynniejszego lutnika w historii. Dziś wycenia się je na 20 mln dolarów. Długo jednak ciągnęły się za nimi wątpliwości dotyczące pochodzenia. Jean-Baptiste Vuillaume (1798–1875), w którego rękach przez jakiś czas się znajdowały, sam będąc utalentowanym lutnikiem, znany był bowiem również z tego, że wykonywał znakomite kopie powstałych w innych warsztatach instrumentów. Czy Mesjasz mógłby być jedną z nich?

W rozwiązaniu tych wątpliwości pomogła dendrochronologia – metoda datowania polegająca na analizie rocznych przyrostów (słojów) drzew. Ostatecznie w 2016 r. Peter Ratcliff, wykorzystując dużą dendrochronologiczną bazę danych instrumentów wykonanych we Włoszech, wykazał, że autentyczność Mesjasza nie podlega dyskusji. Słoje układają się w nim na tyle podobnie do innych skrzypiec Stradivariego, że najpewniej powstały z tego samego drzewa.

Taki mamy klimat

„Jej kora składa się też z wielu warstw, jak u cebuli ogrodowej: zawsze bowiem ma jakąś warstwę pod tą, która jest widoczna, i z nich składa się cała kora" – pisał o jodle jeden z uczniów Arystotelesa, Teofrast. Te pochodzące z przełomu IV i III w. p.n.e. słowa (z dzieła „Badania nad roślinami", tłum. Jerzy Schnayder) są najstarszym znanym nam świadectwem wiedzy o istnieniu słojów drzew. Nic nie wskazuje jednak na to, że grecki filozof zdawał sobie sprawę, skąd się słoje biorą. Nie wiemy dokładnie, ile musieliśmy czekać na to odkrycie. Możemy jedynie wskazać, że pierwszą osobą, która wyraźnie pisze o tym, że słoje przyrastały rocznie, a ich grubość stanowiła wypadkową opadów deszczu, był niemal 2 tysiące lat później Leonardo da Vinci.

Naukowe badania tego zjawiska zaczęły się w XVIII w., a już na początku XIX w. uświadomiono sobie, że analiza słojów drzew może nam pomóc w rekonstrukcji dawnego klimatu. W zależności bowiem od warunków środowiskowych, w których z roku na rok rosło drzewo, jego słoje tworzą sekwencje o zróżnicowanej grubości i gęstości. Kiedy pogoda jest sprzyjająca, roczne przyrosty są szersze, gdy jest dla danego gatunku gorsza – węższe. Oczywiście na pojedyncze drzewo mogą wpływać również inne czynniki, choćby szkodniki czy choroby, ale połączenie pomiarów próbek wielu drzew daje świetny obraz sezonowej pogody, a więc i wahań klimatu w danym regionie.

Wielki przełom w historii dendrochronologii nastąpił w latach 20. XX w., a dokonał go niespodziewanie amerykański astronom A.E. Douglass (zresztą twórca terminu „dendrochronologia" i pierwszy profesor w tej dziedzinie). Douglass interesował się aktywnością Słońca i plamami na jego powierzchni. Wykoncypował sobie, że skoro aktywność naszej gwiazdy wpływa na wahania klimatu, te zaś zaobserwować można w drewnie, to na podstawie badań rocznych przyrostów będzie można coś powiedzieć o zmianach zachowania Słońca. Ten projekt badawczy się wprawdzie nie udał, ale prace Douglassa doprowadziły m.in. do narodzin dendroarcheologii.

Douglass i jego współpracownicy uświadomili sobie bowiem, że można badać nie tylko drzewa żyjące lub ścięte niedawno, ale również te pochodzące z budowli historycznych, a w dalszej ko-

BERNARD BIAŁORUCKI / BEW

Plaster pnia Sekwoi Gigantycznej. Na przekroju zaznaczono narodziny Chrystusa, Mahometa oraz daty innych wydarzeń historycznych. Muzeum Historii Naturalnej w Londynie, 2006 r.

lejności z archeologicznych wykopalisk. W ten sposób, zestawiając ze sobą próbki z różnych źródeł, zaczęto tworzyć dendrochronologiczne sekwencje przyrostu słojów w danym regionie. Dziś najdłuższe z nich ciągną się nieprzerwanie kilkanaście tysięcy lat wstecz – umożliwiły one badania, które znacznie wzbogaciły naszą wiedzę o życiu w minionych epokach i panujących wówczas warunkach.

Jak zbudować wieżę

Zakrojone na szeroką skalę w Europie Środkowej projekty budowy dróg i autostrad w pierwszej dekadzie XXI w. przyniosły wymierne korzyści również archeologii. Zalewanie asfaltem nowych szlaków komunikacyjnych poprzedzały bowiem badania, które skutkowały wieloma ciekawymi odkryciami, a studentom dały możliwość szlifowania fachu. W 2018 r. w czasie jednego z takich projektów badawczych w Czechach, w Ostrovie nieopodal Pardubic, archeolodzy trafili na pozostałości wzniesionej z dębowych belek studni.

Fragmenty naczyń znalezionych w pobliżu wskazały na obecność ludności kultury ceramiki wstęgowej rytej, czyli pionierów, którzy m.in. na tereny Czech i Polski przynieśli neolityczną rewolucję – uprawę roślin i hodowlę zwierząt. Studnia musiała więc być jedną z najstarszych tutejszych konstrukcji. Jak starą? Precyzyjną odpowiedź przyniosły analizy dendrochronologiczne. Okazało się, że ostatnie drzewa przeznaczone na budowę cembrowiny studni zostały ścięte na przełomie 5256/55 r. p.n.e. Znane są oczywiście starsze drewniane przedmioty, ale studnia ta pozostaje najstarszą datowaną dendrochronologicznie konstrukcją.

Dendrochronologia pozwala jednak nie tylko na przesuwanie granic naszego poznania coraz dalej w przeszłość. Dzieje rozbicia dzielnicowego w Polsce to okres ciągłego dzielenia (rzadziej łączenia) coraz mniejszych, w dużej mierze niezależnych od siebie księstw. Jeden z takich epizodów miał miejsce na początku XIV w. na Śląsku, po śmierci księcia jaworsko-świdnickiego, Bolka I Surowego. W 1312 r. dzielnicę jaworską przejmuje jeden z jego synów – Henryk. Wkrótce rozpoczyna w Siedlęcinie budowę otoczonej murem i fosą kamiennej wieży mieszkalnej – jednej z największych w Europie.

Toruńscy i krakowscy naukowcy (m.in. Aleksander Konieczny i Przemysław ↦

↦ Nocuń) zbadali dendrochronologicznie elementy konstrukcyjne stropów kolejnych kondygnacji budowli. Dzięki dużej liczbie pobranych próbek bardzo szczegółowo udało im się odtworzyć poszczególne etapy budowy, a potem różnych remontów i przebudowy wieży. Z ich analiz wynika, że tempo prac było imponujące – ludzie księcia Henryka najprawdopodobniej uwinęli się z budową całej wieży w trzy lata, w co trudno było uwierzyć niektórym historykom i archeologom.

Import-eksport-spedycja

W połowie I w. n.e. pewien nieznany z nazwiska bogacz, właściciel posiadłości położonej na przedmieściach Rzymu w pobliżu dzisiejszej bazyliki św. Jana na Lateranie, postanowił wznieść na jej terenie portyk. Do zaszalowania wkopów fundamentowych potrzeba było desek i słupków. W celu ich zakupu któryś z pracowników udał się zapewne na targ położony nad Tybrem na południe od Wzgórza Awentyńskiego, gdzie – jak wiemy z przekazu m.in. Tytusa Liwiusza – przynajmniej od końca III w. p.n.e. znajdowały się siedziby i magazyny rzymskich handlarzy drewnem.

Najczęściej w przeszłości ścięte drzewa nie przemierzały zbyt dużych dystansów. Ale zapotrzebowanie na drewno – zarówno budowlane, jak i na opał – w Rzymie i całej Italii było tak duże, że prawdopodobnie jeszcze przed końcem I w. p.n.e. znaczne połacie Półwyspu Apenińskiego były już wylesione. Rzymianie zaczęli więc na potęgę importować drewno z innych zakątków Imperium – najpierw z Sardynii, a potem z północnej Afryki. Z zapisków Pliniusza Starszego wiemy, że bogate w cenione przez Rzymian drzewa sandałowe lasy dzisiejszej Algierii przetrzebiono już w I w. n.e., więc kupcy musieli zwrócić się w stronę położonych dalej na zachód lasów Maroka. Równie rozchwytywane – nie tylko zresztą przez Rzymian – było drewno cedrowe.

Analiza słojów drzew pomaga w rekonstrukcji dawnego klimatu. Jeśli warunki środowiskowe były dla danego gatunku drzewa korzystne, to przyrosty są szersze.

Aby zapobiec zupełnej wycince cedrów w dzisiejszym Libanie, cesarz Hadrian objął część tamtejszych lasów cesarską ochroną, odgradzając je pokrytymi inskrypcjami kamieniami.

Czy możemy jednak powiedzieć, skąd konkretnie pochodziło drewno wykorzystane przy budowie wspomnianego wyżej portyku? Odpowiedź przyniosły analizy dendrochronologiczne. Zespół Mauro Bernabeiego z włoskiego Instytutu Bioekonomii ustalił, że przetransportowano je z gór Jury na pograniczu dzisiejszych Francji i Szwajcarii lub z terenów położonych nawet bardziej na północ, z pogranicza Francji i Niemiec. Stamtąd najpewniej zostały spławione rzekami do portów morskich i dalej przez Ostię dotarły do Rzymu.

Do stolicy Imperium sprowadzano towary i surowce z najdalszych zakątków znanego świata – historyków nie zdziwiło zatem, że mogło tam trafić drewno dębowe z terenów położonych nawet 1000 km w linii prostej od Rzymu. Posiadamy także dowody na dalekobieżny transport drewna do innych regionów Imperium. Badania Ronalda M. Vissera w holenderskim Deventer pokazują np., że do konstrukcji drogi wybudowanej (lub jedynie remontowanej) z okazji wizyty wspomnianego już cesarza Hadriana nad Dolnym Renem wykorzystano drewno z drzew ściętych w pobliżu miast Xanten i Venlo, oddalonych o ok. 100 km. Warto dodać, że w późnym średniowieczu i nowożytności cennym źródłem drewna budowlanego były tereny I Rzeczypospolitej, skąd materiał ten trafiał m.in. do Szkocji.

Blizny w drzewach

W 2018 r. w samej tylko Kalifornii zarejestrowano ponad 8,5 tys. pożarów lasów, które strawiły niemal 8 tys. km kwadratowych terenów zielonych. Statystyki z ostatnich 40 lat wyraźnie pokazują, że takich zdarzeń jest coraz więcej, a sezon pożarowy się wydłuża. Naukowcy zastanawiają się, czy jest to skutkiem wyłącznie globalnego ocieplenia, czy też inne czynniki, takie jak gospodarka leśna, także mają wpływ na trend wzrostowy. Okazuje się, że dendrochronologia może być pomocna także w tym przypadku.

Pożary lasów kojarzą nam się z totalną destrukcją, która zostawia po sobie wypalone zgliszcza. W niektórych lasach naturalne pożary nie sieją takiego spustoszenia – wypalają przede wszystkim ściółkę i nie sięgają koron drzew. Taki rodzaj pożarów może jednak pozostawiać na dojrzałych drzewach blizny, które wyraźnie widoczne są w próbkach. Valerie Trouet, autorka książki „Tree story. The history of the world written in rings", pisze np., że jej osobisty rekord to trzystuletnie drzewo (ścięte w 1854), w próbce którego zarejestrowała aż 33 blizny pożarowe. Ogień „ranił" je średnio co 10 lat.

Aby jednak powiedzieć coś o wzorcach pożarów i czynnikach, które mogły na nie wpływać, potrzebny jest duży i reprezentatywny zbiór danych. Dzięki współpracy z zespołem Alana Taylora z Penn State University, Trouet udało się zgromadzić niemal 2 tys. próbek z rejonu Sierra Nevada, zawierających prawie 20 tys. blizn pożarowych, obejmujących ostatnie 400 lat. Analiza zebranych danych doprowadziła do mało zaskakującego wniosku, że liczba pożarów wzrastała w okresach suszy. Lecz odkryto także trzy wyraźne zmiany w trendach kalifornijskich pożarów, które można datować mniej więcej na lata 1776, 1865 i 1904. Ku zaskoczeniu badaczy, żadna z rekonstrukcji przeszłego klimatu dla tego regionu nie była w stanie wyjaśnić tych zmian. Co je wywołało?

Zagadkę roku 1904 rozwiązano jako pierwszą. Ta zmiana w częstotliwości pożarów zbiega się bowiem z powołaniem (dokładnie 1 lutego 1905 r.) Służby Leśnej (US Forest Service) przez prezydenta Theodore'a Roosevelta. Jednym z jej głównych zadań było tłumienie pożarów. Dość łatwo udało się także wyjaśnić spadek intensywności pożarów po ok. 1865 r. Ta data nieźle korelowała bowiem z początkiem gorączki złota, gdy do Kalifornii napłynęły setki tysięcy ludzi, a wraz z nimi stada owiec, które skubiąc trawę, ograniczały ilość „paliwa" w leśnej ściółce.

RDC POLSKIE RADIO

KAMIL KOPIJ będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 9 czerwca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Czy zwrot w okolicach 1776 r. też mógł wynikać ze zmian aktywności ludzkiej?

Rok 1776 w historii Stanów Zjednoczonych jest oczywiście kluczowy. To wówczas, 4 lipca podpisano przecież Deklarację Niepodległości. Ale wydarzenie to nie miało żadnego wpływu na ówczesną Kalifornię. Jak się jednak okazuje, ledwie kilka lat wcześniej – w 1769 r. – franciszkanie zaczęli tworzyć tam swoje misje, wraz ze Słowem Bożym przynosząc rdzennym mieszkańcom choroby. Te zaś zdziesiątkowały populację, której przedstawiciele stosowali wcześniej wyrafinowane praktyki wypalania lasu, dzięki którym rzadziej dochodziło do dużych, naturalnych pożarów. Gdy tych praktyk zabrakło, liczba i intensywność pożarów wzrosła.

Świadectwo upadku

Biblijna historia upadku człowieka nierozerwalnie wiąże się z drzewem – badania dendrochronologiczne mogą nam zaś powiedzieć coś o zmierzchu archeologicznych kultur.

Studium tysięcy próbek drewna pozyskanych z domostw zamieszkałych przez ludność amerykańskiej kultury Pueblo jasno pokazuje jej wzloty i upadki. Aktywność budowlana, a więc wykorzystanie drewna, świetnie koreluje z kolejnymi fazami tej istniejącej między ok. 500 a ok. 1300 rokiem kultury okupującej teren tzw. Four Corners – styku amerykańskich stanów Utah, Colorado, Nowy Meksyk i Arizona. Samo w sobie nie jest to zaskakujące. Zespół Martena Scheffera z Uniwersytetu w Wageningen wgryzł się w pobrane próbki głębiej. Naukowcy zauważyli, że wzorzec aktywności drwali w ostatniej fazie istnienia kultury Pueblo znacznie różnił się od poprzednich. W tym okresie mieszkańcy doświadczyli także suszy, a w społeczności zanotowano wzrost przemocy. Inny wzorzec wahań rocznej liczby ścinanych drzew, a więc i aktywności budowlanej, wskazuje, że ludność Pueblo miała problemy z dostosowaniem się do tempa zachodzących zmian, a to jest niemal nieuchronnym zwiastunem upadku. Właśnie taki los spotkał Pueblo. Nie będąc w stanie sprostać niekorzystnym zmianom (głównie klimatu, być może również erozji gleby czy presji innych grup ludzkich), porzucili oni swoje dotychczasowe siedziby i wyemigrowali na południe.

Obecnie w dendrochronologii rozwijane są także nowe metody analizy. Jedna z nich polega na mierzeniu stosunku izotopów tlenu w poszczególnych pierścieniach. Dzięki niej możemy nie tylko jeszcze dokładniej rekonstruować przeszły klimat, ale – co ważniejsze – uwzględnić w badaniach gatunki drzew, które trudno było badać tradycyjnie (np. ze względu na małe zróżnicowanie pierścieni), a także materiał pochodzący z młodych drzewek (które nie zdążyły wytworzyć zbyt wielu słojów). Metoda ta została wykorzystana m.in. do datowania najstarszego nadal stojącego budynku na terenie Walii, znanego jako Llwyn Celyn. Okazało się, że najstarsze części domu pochodzą z ok. 1420 r., co zaskoczyło specjalistów. Na podstawie stylu budowli szacowali, że wzniesiono ją kilkadziesiąt lat później.

O zaletach dendrochronologii być może najwięcej mówi to, że to właśnie jej używa się, ze względu na gwarantowaną precyzję, do kalibrowania innej popularnej metody datowania – radiowęglowej.

© KAMIL KOPIJ

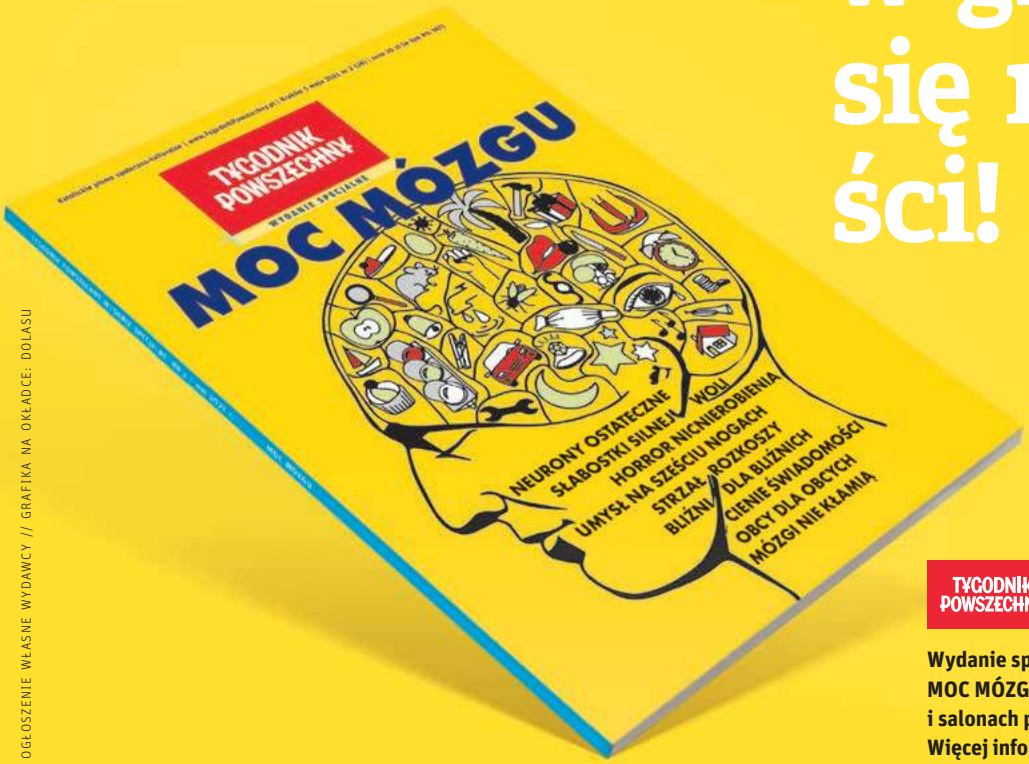

w głowie się nie mieści!

TYGODNIK POWSZECHNY

Wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego” MOC MÓZGU w sprzedaży – szukaj w kioskach i salonach prasowych.
Więcej informacji na powszech.net/mocmozgu

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: DOLASU

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall: *Zyta*

Chciała oddać palce Edwardowi Stachurze – swoje stracił pod pociągiem, z jej dwoma mieliby po równo.

Przeczytałam o tym w jego „Dziennikach" i napisałam we wstępie do „Ocalenia Atlantydy". Zła była, bo recenzenci zaczynali potem od Stachury. Jakby był najciekawszą sprawą w jej życiu. Jakby był ważniejszy od jej pisania. Wszystko przez ciebie, mówiła z pretensją. Może i miała rację, ale musiałam opowiedzieć – o osobie, która jest gotowa odciąć sobie palce z miłości.

Poznałam ją w Złotej Kaczce na Tamce, Marian Brandys zaprosił nas na obiad. Miała wszystkie palce u obu rąk, może Stachura ich nie chciał, może grupa krwi się nie zgadzała.

Słuchałam jej, patrzyłam na nią i myślałam – tak, ona mogłaby oddać człowiekowi swoje palce, może nawet całą rękę.

Parę razy pomagałam jej w czynnościach konspiracyjnych – przez przypadek, bo byłam pod ręką.

W Związku Literatów to było, jeszcze nie zawieszonym w stanie wojennym. W toalecie, najlepszym miejscu do konspirowania. Trzymaj drzwi i nikogo nie wpuszczaj, mówiła. Trzymałam i nie wpuszczałam, a ona coś chowała pod spódnicę. To klisze do matryc do „Tygodnika Wojennego", to jakieś tajemnicze koperty.

Możesz otworzyć, mówiła, lecę do Glempa. (Wyjaśniło się, że w kopertach były listy znanych ludzi, których oburzył stan wojenny i którzy chcieli poinformować o tym księdza prymasa).

Przyjeżdżali na naszą wieś i pomagali nam w winobraniu.

Byli taktowni. Nie mówili, że widywali większe winnice. Że w Szampanii albo w Beaujolais potrafili zebrać przez dzień po trzysta kilo.

(Takim *serpette* ścinało się, jakby małą kosą. Drewniany uchwyt z zakrzywionym haczykiem. Nie kosa, raczej mały sierp. To w Szampanii, bo w Prowansji potrzebne były sekatory).

Każdego roku tam jeździli, potem ruszali w Alpy. Lubiła przełęcz Charamillon, na granicy z Włochami. Rozstawiali namiot, na dnie wyschniętego jeziora parzyli kawę na kuchence. Szukali świstaków. Miały wysoki, przenikliwy głos, bardzo wyraźny. Były obok, ale złośliwie, uparcie niewidoczne. Skradali się, zaczajali w pobliżu głosu. Świst natychmiast przenosił się w inną stronę. Ktoś się z nimi droczył, naśmiewał się z nich...

Tablica ostrzegała przed niedźwiedziami. W nocy był mróz, coś trzeszczało, myśleli, że niedźwiedź. Chwyciła kuchenny nóż i głośno zapewniła, że nikt, nawet niedźwiedź nie dostanie jej bez walki. Rano okazało się, że trzeszczała zmarznięta płachta namiotowa. Dobrze im było w tych Alpach.

Amputowano jej nogę.

Napisałam, że gotowa była oddać rękę, a nikt nie może nogi jej oddać. I że nie jest to sprawiedliwe.

Znowu się rozgniewała.

Jak zakłada długą suknię i jak siedzi, nie widać, ile ma nóg. W Gdyni odbierała nagrodę i tak właśnie siedziała i wyglądała bardzo dobrze. To po co ludzie mają wiedzieć?

W Gdyni spotkali się z Pawłem Szwedem. Przyjechał potem do nich. Rozmawiali na ganku kilka godzin, pytał o dalszy ciąg „Ocalenia Atlantydy". Prosił, żeby się pospieszyła.

TYGODNIK POWSZECHNY

Wolność, równość, siostrzeństwo!

Wydanie specjalne „Moc kobiet" dostępne jako e-book na **powszech.net/emockobiet**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Mówiła, że dobrze byłoby umrzeć w szczelinie lodowca.
Umarła w Falenicy, w ich stuletnim, drewnianym domu.
Pogotowie przywiozło respirator.
Nie chcieli jej zabrać do szpitala.
Mówili – po co ma w karetce umierać.

Te same zachodnie ziemie co w „Atlantydzie" – poniemieckie, zasiane piastowskim ziarnem, na których wszystkiego jest w bród. Zwłaszcza obrusów, obrazów, makatek, garnków, nawet słoików z kompotem, nawet meloników i wachlarzy.

I bohaterowie tacy sami, nawet kiedy trochę inni. Przybysze nie wiadomo skąd, przybłędy takie.

Pan Chomiszczuk, co Niemców przepędzał, a jako teraźniejszy komunista całą willę otrzymał, poniemiecką.

Pani Chomiszczuk, co była szczuplusieńka przez całe życie.

Głuchoniemy niemiecki krawiec, który strzegł dawniejszej niemieckości.

Grabarz, z którym trzeba było w zgodzie żyć, bo niepodmokłą kwaterę umiał znaleźć i mogiłę porządnie uklepać.

Mama Janka, którą ruscy gwałcili i dzieciak z gwałtu się wziął.

Janek, który podpalał czereśnie w sadach, a potem płakał i kwilił.

Cyganka Roma, która mówiła, że nie Janek, tylko Pan Bóg kwili i płacze, bo po co stworzył przestrzeń i czas? Źle mu było bez czasu i przestrzeni?

A grabarz z panem Chomiszczukiem bynajmniej nie o Bogu rozmawiali, tylko jak bimber najlepiej pić, na wdechu czy na wydechu i czy nie trzeba przedtem oleju łyknąć.

A pan Chomiszczuk zakochał się w niefarbowanej rozłożystej blondynce, która wiedziała, że krem Nivea należy sprzedać w Pireusie, w Turcji kupić kożuszki, zaś polskie peruki zawieźć do Związku Radzieckiego.

A jak pani Chomiszczuk zobaczyła byłego męża z blondynką, to przestała się czesać i myć i jak filozof Kant przestała wiedzieć, jak się nazywa.

A na pogrzebie pani Chomiszczuk to śnieg padał grudkami i w twarze żałobników zacinał. Że też zachciało jej się umierać w taki czas, kiedy ziemia nieprzejednana, mówili między sobą.

Gdzie stał domek krawca, zajezdnię pobudowali.

Gdzie willa Chomiszczuków, to złomy żelastwa i stada gawronów.

Potem jest coś, niepewną ręką napisane. Adapter, nie wiedzieć skąd, który zachrypiał i zamilkł...

Potem nic nie ma, puste miejsce na kartce i dwa słowa, bez związku z czymkolwiek: Obłąkana Wiekuistość.

Tak kończy się niedokończona książka, o którą prosił Paweł Szwed.

Którego pogrzeb, ze względu na pandemię, będzie miał charakter kameralny. ©

Dziękuję Andrzejowi Kaczyńskiemu za udostępnienie mi rękopisu „Zatopionego jeziora", książki Zyty Oryszyn, jego żony. I za opowieści o ich wspólnym życiu.

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego"

Własny pokój
Rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej o kobiecej niezależności

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Sztuka powszechnie nieznana
Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!

Więcej na **powszech.net/podkast**

SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KULTURA

MARZENIE I STRACH

Przeczytał na studiach słynne pytanie Saula Bellowa: „Kto jest Tołstojem Zulusów?". Zajęło mu dwie dekady, nim znalazł odpowiedź: Tołstojem Zulusów jest Tołstoj.

WOJCIECH ENGELKING

DAVID LEVENE / EYEVINE / EAST NEWS

Mężczyzn było trzech. Pierwszy nazywał się James Baldwin. Miał 38 lat, gdy 7 lipca 1962 r. w towarzystwie swojej siostry Glorii wylądował w Dakarze w Senegalu – i zadziwił się. Po raz pierwszy w życiu był bowiem otoczony przez – wyłącznie – czarnoskórych. Owszem, podczas wizyt w USA (na stałe mieszkał w Paryżu) obracał się w towarzystwie Martina Luthera Kinga i odwiedzał czarne getta. Jednak atmosfera panująca w Dakarze była inna. Gdy na ulicy ktoś „spytał jego i Glorię, czy są Dahomejczykami – pisze w biografii pisarza David Leeming – Baldwin nagle zrozumiał, że nie musi się bać".

Pokłosiem tego poczucia był esej „Zadrżał mój loch", napisany w formie listu do syna Glorii. Baldwin przestrzegał w nim chłopaka, by nie zapomniał o tym, co spowodowało strach, jaki on i inni czarni czują w Stanach: „zbrodni, o którą oskarżam mój kraj i moich rodaków: niszczyli i niszczą setki istnień, nie wiedząc o tym i nie chcąc wiedzieć".

Drugi mężczyzna nazywał się Barack Obama. Miał 45 lat. Jako nastolatek czytał Baldwina, by dowiedzieć się, co to znaczy być czarnym w Ameryce. 10 lutego 2007 r. na schodach przed Starym Kapitolem w Springfield ogłosił swoją kandydaturę na urząd prezydenta. „Podsumowałem najważniejsze wątki: potrzebę (...) zajęcia się długofalowymi problemami, takimi jak: opieka zdrowotna i zmiana klimatu, przekroczenie partyjnych podziałów w Waszyngtonie" – pisał o tym dniu w „Ziemi obiecanej". O rasie nie wspomniał ani słowem, jego język nie był też, zarzucono mu, językiem czytelnika Baldwina. W 2020 r., w rozmowie z PEN Center wyjaśnił, czemu wybrał taki styl na przemowę: „bo James Baldwin nie musiał wyruszać na poszukiwanie wyborców".

Trzeci mężczyzna – bohater tego tekstu – nazywał się Ta-Nehisi Coates. Miał 32 lata. Podobnie jak drugi, w młodości także czytał pierwszego. W pół wieku po wizycie tegoż w Senegalu i kilka dni po tym, jak drugi ogłosił swoją kandydaturę, siedział u pośrednika pracy w nowojorskim Harlemie. Swe dotychczasowe życie zawodowe uważał za porażkę: od kilku lat próbował utrzymać się z pisania i jego próby spełzały na niczym. To, co pisał – wiedział – miało znaczenie; ale znaczeniem trudno było nakarmić żonę i kilkuletniego syna.

„Społeczeństwo niemal z konieczności każdą historię sukcesu zaczyna opowieścią, która najbardziej mu służy – powiada Coates w wydanym właśnie po polsku autobiograficznym eseju „Między światem a mną". – W Ameryce prawie zawsze będzie to opis czynu dokonanego przez wyjątkową jednostkę". Tak – zapewne – dałoby się opowiedzieć też jego historię. W końcu: w kilka lat po wizycie u pośrednika stał się najważniejszym intelektualistą swego pokolenia, a cytowany esej był bestsellerem, zdobywcą National Book Award i finalistą nagrody Pulitzera.

To jednak niewłaściwa rama dla tej opowieści. Koncentrując się na osobistym sukcesie Coatesa, nie można bowiem ująć czasów, w których dokonał się jego wzlot. Ktoś mógłby powiedzieć, że to czasy, w których dowcip opowiadany niegdyś przez Richarda Pryora – „a co by było, gdyby prezydent był czarny?" – przestał być dowcipem i Ameryka zechciała posłuchać opowieści o czarnym doświadczeniu. Ten ktoś nie miałby jednak racji.

Z lęku

Choć owszem – pisał Coates w wydanym w 2017 r. „We Were Eight Years in

Ta-Nehisi Coates na Międzynarodowym Festiwalu Książki i Filmu „Étonnants Voyageurs", Saint-Malo, Francja, maj 2016 r.

Power" – sukces Obamy sprawił, że amerykańskie media otworzyły się na głosy czarnoskórych, to społeczeństwo nie przyjęło czarnej historii jako własnej. Pozostała mu obca. Obcość owa nie polegała tylko na „zobojętnieniu okazywanym przez białych – jak pisała Reni Eddo-Lodge – gdy osoba o innym kolorze skóry dzieli się swym doświadczeniem". Przeciwnie: była destrukcyjna. Wynikała z niej bowiem ta emocja, której brak w senegalskim mieście sprawił, że Baldwin napisał esej dla siostrzeńca: strach. Jemu właśnie poświęcone jest „Między światem a mną".

Coates idzie tropem Baldwina: konstruuje tekst jako list do swego – wówczas nastoletniego – syna. Jego opowieść jest jednak inna niż „Zadrżał mój loch". Jeżeli Baldwin tylko wyjaśniał siostrzeńcowi, jakie są powody jego strachu – „ten niewinny kraj zepchnął Cię do getta, w którym miałeś zginąć. (...) Urodziłeś się tam, gdzie się urodziłeś, i czekała Cię taka, a nie inna przyszłość, ponieważ byłeś czarny" – Coates uprzytamnia synowi coś innego: że strach, który odczuwa, służy podtrzymaniu istnienia Ameryki.

Zaczął się bać – powiada – nie sam z siebie, lecz został tego nauczony. Urodzony w 1975 r. w wielodzietnej rodzinie, był synem niegdysiejszego członka Czarnych Panter i wydawcy, własnym sumptem upubliczniającego klasykę czarnej literatury. „Mój ojciec był wysoki, poważny, przystojny. Nocami grillował tofu, na parze gotował basmati i myślał o rewolucji" – pisał o nim w swej pierwszej książce. „The Beautiful Struggle" została wydana w tym samym roku, w którym Obama wygrał wybory. Odczytano ją jako rzecz o ojcostwie nieobecnym. Pisarz nie wyjaśnił krytykom, z czego ta nieobecność wynikała.

Siedem lat później, w „Między światem a mną", przyznał, że ojciec go bił. Stary Coates nie robił tego, bo był sadystą; zirytował się, że sześcioletni chłopiec zgubił się na placu zabaw. Robił to, bo chciał go przygotować na spotkanie z Ameryką. „Później słyszałem strach w jego głosie, gdy tłumaczył: »Albo ja go zbiję, albo policja«. (...) przemoc wyrasta ze strachu jak dym unoszący się znad ogniska".

Ten strach zapadł mu w pamięć – i szybko zauważył, że w jego rodzinnym Baltimore boją się wszyscy czarni, ↦

↦ najbardziej zaś ci, którzy starają się to ukryć. Choć złoty wiek hip-hopu niedawno się skończył, wystający na ulicach chłopcy wciąż słuchali go jak zahipnotyzowani. „(...) uwielbiali tę muzykę, bo na przekór wszelkim dowodom mówiła im, że są panami własnego życia, własnych ulic i własnych ciał". Nie byli, i Coates – zrozumiał to, odkrywając w tekstach Nasa i Biggiego cytaty z Malcolma X – też nie był. Ale, jak bijący go ojciec, pragnął być.

To pragnienie zaprowadziło go na waszyngtoński Uniwersytet Howarda – mekkę czarnych studentów. Gdy pierwszy raz znalazł się na kampusie, doznał szoku: „byli tam potomkowie nigeryjskich arystokratów w eleganckich garniturach, witający się z łysymi Quesami w fioletowych wiatrówkach. Byli synowie pastorów z Afrykańskiego Kościoła Metodystycznego". Na uczelni wykładała Toni Morrison, świeżo nagrodzona Noblem. Były lata 90., epoka Billa Clintona, właśnie nazwanego przez Morrison pierwszym czarnym prezydentem – bo urodzonym w biedzie i rozumiejącym ją. W telewizji na gwiazdę pierwszego rzędu wyrastała Oprah Winfrey. W Sądzie Najwyższym po Thurgoodzie Marshallu zasiadł Clarence Thomas. Zdawało się, że postrasowa Ameryka jest w zasięgu ręki – ale tylko zdawało.

Z gniewu

Tamten mężczyzna był jednym z wielu ogniw łańcucha, który nie zaczyna się na Emmecie Tillu i nie kończy na George'u Floydzie. Nazywał się Prince Jones, pochodził z dobrej rodziny. Coates: „kochałem tego chłopaka (...) to znaczy uśmiechałem się, ilekroć go zobaczyłem, bo w jego obecności czułem ciepło". Pewnego wieczora, gdy Jones jechał przez Wirginię na spotkanie z narzeczoną, miejscowa policja, przodująca w ogólnokrajowych rankingach użycia broni palnej, zastrzeliła go. Policjant twierdził, że chłopak starał się go zaatakować, i prokuratura mu uwierzyła.

Pierwsze, co Coates poczuł, to znany strach – którego w czarnym środowisku Howarda zdążył się niemal pozbyć. Ten jednak szybko minął: „Tamto wydarzenie przeobraziło go w gniew, który płonie we mnie do dziś".

Na co to był i jest gniew? Co powodowało strach Coatesa i jego ojca, strach, od którego James Baldwin uwolnił się dopiero w Senegalu? Michelle Alexander, aktywistka i autorka „The New Jim Crow", powiedziałaby, że na zinstytucjonalizowany rasizm, który organizuje pracę najważniejszych amerykańskich instytucji. Ekonomista i prawnik Richard Rothstein dodałby, że na systemowe wykluczenie, spowodowane uchwalonymi dawno temu prawami, które – pisze w „The Color of Law" – „dziś już, co prawda, nie obowiązują, ale ich skutki nie zostały nigdy naprawione".

Odpowiedź, jakiej udziela Coates, jest inna – a udziela jej wszystkim, co pisze. Bodaj najpiękniej wybrzmiewa w jego pierwszej powieści, „Tańczącym z wodą" z 2019 r.: „bez żadnego ważnego powodu jedna dziewczynka żyć będzie w pałacu, a druga zostanie skazana na podziemną norę. (...) Utrudzeni, pochyleni na polach, wiedli życie wypełnione harówką, a Wartościowi, mieszkający w wysoko położonej rezydencji, byli wolni od tego losu". To opis systemu kastowego; a taki potrzebuje mitu, który by go uprawomocniał.

Z hipokryzji

Znów: Coates nie jest pierwszym, który tak interpretuje społeczne reperkusje niewolnictwa. Już W.E.B. Du Bois w „The Souls of Black Folk" pisał, że USA zbudowane zostały dla dwóch kategorii ludzi – wychowanych przez te same instytucje, tak samo pracujących na rzecz amerykańskiej gospodarki i kultury, ale istniejących obok siebie, w stosunku podległości – Isabel Wilkerson zaś pokazała w „Caste", że Ameryka nie jest jedynym miejscem na ziemi, w którym kastowy system uskuteczniono. Także w Indiach i nazistowskich Niemczech panowała „domniemana wyższość jednej grupy względem niższości innych [określana] na podstawie pochodzenia i niezmienialnych cech".

Coates przenosi jednak opowieść o kaście na nowy poziom. Jeżeli Du Bois twierdził, że status czarnoskórych w Ameryce definiowany jest nie tym, kim są, ale kim nie będą, on stwierdza: na tym, że nie będą, oparte jest amerykańskie Marzenie.

W Marzeniu są „domy z pięknymi trawnikami. Grille z okazji Dnia Pamięci Narodowej, kluby dzielnicowe i podmiejskie uliczki. Domki na drzewie i drużyny zuchów. Marzenie smakuje ciastem truskawkowym". Biegnie w poprzek dystynkcji klasowej, łącząc białych, bo w Ameryce – powiedział John C. Calhoun – i biedny biały należy do klasy wyższej. I biedny biały bowiem – dodaje Coates – ma prawo zamachnąć się na czarne ciało.

„W Ameryce unicestwianie czarnych ciał jest tradycją, dziedzictwem tego kraju. (...) niewoli towarzyszą przypadkowe akty wściekłego bicia, roztrzaskiwania czaszek i niszczenia mózgów kulami, kiedy ciało próbuje uciec przez rzekę". W USA czarne ciało nie należy do tego, kto je posiada. Należy do białych, bo mają prawo je wychłostać, ale i szturchnąć, okaleczyć, ale i przesunąć, gdzie im się podoba. Niezależnie od skali, zdaniem Coatesa, każde takie działanie to rodzaj unicestwienia, odbierające czarnemu jego ciało.

W Marzeniu interesujące jest też coś innego: hipokryzja. Jeśli Obama w „Ziemi obiecanej" pisał, że już za młodu opierał się „poglądowi (...) że biali ludzie są niereformowalnymi rasistami", Coates stwierdza: owszem, gdyby ich spytać, powiedzieliby, że nie są. Tak powiedziała biała pani w kinie w West Village, uprzednio, zniecierpliwiona, popchnąwszy jego syna. Marzenie to ma bowiem do siebie, że udaje, iż jest przezroczyste, a Ameryka – jak określił ją James Baldwin – jest niewinnym krajem. Nie jest, mówi Coates. Nie jest nim od czasu wojny secesyjnej.

A właściwie: od czasu, gdy ta ostatnia w taki, a nie inny sposób rozgościła się w amerykańskiej zbiorowej wyobraźni. Rozgościła się w niej zaś jako opowieść o „sportowej rozgrywce, w której obie strony rywalizowały z odwagą, godnością i entuzjazmem". Brak otwartego potępienia Konfederatów zaowocował przekonaniem, że Południe, walczące o prawo do zniewolenia czarnych, było po prostu stroną konfliktu, reprezentującą odmienny niż północny interes. Innymi słowy: zniewolenie czarnych stało się konceptem do rozważania w debacie; czymś, o czym można porozmawiać, osiągnąć kompromis.

Z niewiary

„Niewolnictwo – mówi narrator „Tańczącego z wodą" – to codzienna tęsknota". Pojąwszy, że biali już mają swój mit, Coates począł tęsknić do takiego, który by mógł być udziałem jego i jego ziomków. Szybko go jednak z tego wyleczono.

Stało się to na studiach, jeszcze przed zabójstwem Prince'a Jonesa. Idąc na Howarda, był przekonany, że pozna argumenty na rzecz wyjątkowości czarnych. Nauczyciele wiedzieli, jak go rozbroić.

„Stosowali szorstkie, bezpośrednie metody. Czy czarna skóra znamionuje szlachetność? A co z czarnymi, którzy przez całe tysiąclecia praktykowali niewolnictwo i sprzedawali niewolników na drugą stronę Sahary?". Dzięki dyskusjom z nimi Coates pojął, że uleganie mitowi skazuje go na życie w kłamstwie. Nie zrezygnował jednak z zadawania pytań, co czarni winni w Ameryce uczynić, by kastowy system rozsadzić od środka.

Propozycja pierwsza: zwracać na rasizm uwagę, ale prowadzić się tak, by biali nie mieli nic do zarzucenia. Dzieciom na imię nie dawać Muhammad, gdy zaś słuchają rapu o napadach na banki, wyłączyć sprzęt. Kto wie, może da się takim życiem zrealizować przykazanie Jamesa Baldwina: „możesz zostać zniszczony tylko wtedy, jeśli uwierzysz, że rzeczywiście jesteś tym, co biały świat nazywa *nigger*" – złodziejem, mordercą, zagrożeniem? Nie – powiada Coates – nie da się. Był wszak człowiek, który tak żył: był profesorem prawa, ożenił się z silną kobietą, został ojcem pięknych dzieci. Został prezydentem USA. Kiedy się na niego i jego żonę spojrzało – pisał Coates w 2008 r. w „The Atlantic" – można było uznać, że są biali.

Ale nie byli, a ten czarny człowiek swoim sukcesem zagroził Marzeniu. Przez osiem lat jego prezydentury, które jednocześnie były ośmioma latami wzlotu Coatesa – od blogera „The Atlantic" do prozaika, do którego powieści prawa z automatu nabywa wielka wytwórnia filmowa – krytykował Obamę często i ostro. Podziwiał go, ale zarzucał mu uprawianie polityki ślepej na kolor skóry, które miało obrócić się przeciw niemu.

Biali – pisze w „We Were Eight Years in Power" – nie potrafili uwierzyć w sukces czarnego prezydenta. Za rządów Obamy spostrzeżenie Du Bois z wyborów w Południowej Karolinie w 1890 r. – „jedyne, czego się boją bardziej od złego rządu czarnych, to dobry rząd czarnych" – stało się opisem stosunków panujących w Ameryce. Z niewiary białych wynikło kłamstwo głoszące, iż Obama nie urodził się na terytorium USA. Ponieważ nie można było skrytykować prezydentury czarnego za jego czyny, odmówiono mu prawa do bycia prezydentem.

Biali nie potrafili uwierzyć w sukces czarnego prezydenta, stąd wynikło kłamstwo głoszące, że nie urodził się na terytorium USA. Ponieważ nie można było skrytykować Obamy za jego czyny, odmówiono mu prawa do bycia prezydentem.

Z pamięci

Na studiach Coates przeczytał słynne pytanie Saula Bellowa: „Kto jest Tołstojem Zulusów?". Zajęło mu dwie dekady, nim znalazł odpowiedź: Tołstojem Zulusów jest Tołstoj. Uważać inaczej oznacza zgadzać się na kastowy system, w ramach którego do autora „Wojny i pokoju" mogą mieć prawo tylko biali – podobnie jak do Supermana, nad scenariuszem do filmu o którym to, ale czarnoskórym, Coates teraz pracuje.

Uznać jednak Tołstoja i Supermana za swojego, przyjąć, że z białymi dzieli się cywilizację – nie oznacza zgodzić się na kastowy system. Przeciwnie: trzeba pamiętać, co się wydarzyło dawno temu, bo – mówi jedna z bohaterek „Tańczącego z wodą" – „pamięć to rydwan, to droga, to most z przekleństwa niewolnictwa do skarbu wolności". Żyć, pamiętając – to robi się na kilka sposobów.

Raz – na ulicach. Kiedy jeszcze za prezydentury Obamy powstał ruch Black Lives Matter, Coates był w komentarzach oszczędny. W eseju „My President Was Black", opublikowanym w „The Atlantic" w grudniu 2016 r., krytykował aktywistów BLM, że odmawiają spotkań z prezydentem, niechętni jego postrasowej wizji Ameryki. W zeszłym roku jednak, komentując protesty po śmierci George'a Floyda, stwierdził, że dostrzega nadzieję, jaką niosą upamiętniające go marsze: po raz pierwszy włączyło się w nie tak wielu białych, czyniąc je protestami przeciw kastowej stratyfikacji społeczeństwa.

Dwa – w polityce i w prawie. W 2013 r. w eseju „The Case for Reparations" Coates wskazywał, że jedną z przyczyn położenia czarnoskórych w Ameryce jest dziedziczona bieda, spowodowana tym, że niegdyś to położenie było jeszcze gorsze. Owej biedzie – powiadał – należy zadośćuczynić finansowo, tak jak Niemcy zadośćuczynili Żydom. W prawyborach prezydenckich w 2020 r. pomysł odszkodowań za niewolnictwo poparli Elizabeth Warren, Beto O'Rourke i Kamala Harris. W lutym 2021 r. ogłoszono, iż Joe Biden zamówił ekspertyzę prawną na temat podobnego rozwiązania.

Po trzecie – między sobą. O ile w 1996 r., na swojej pierwszej płycie „Reasonable Doubt" Jay-Z rapował z perspektywy czarnego dilera: „Mamy przesrane w tych ciemnych uliczkach / Żaden z kumpli nie odzywa się słowem / Każdy z nas próbuje zgarnąć pulę", Coates ma inną propozycję. „Niedawno czekałem na lotnisku przy taśmociągu, by odebrać bagaż. Przypadkiem wpadłem na młodego czarnego i powiedziałem: »Kiks, bracie«, na co on odparł: »Wporzo, ziomek«. Ten dialog, oparty na prywatnym języku, mógł zaistnieć wyłącznie między dwoma obcymi, którzy są członkami tego samego plemienia". To przykazanie wspierania się, wzajemnej życzliwości.

Głoszonemu przez mężczyznę numer trzy przykazaniu niedaleko do wspomnień mężczyzny numer dwa z czasów, gdy zjawił się jako animator w czarnej dzielnicy Chicago i doświadczył „bezcennych więzi, jakie zadzierzgnąłem z rodzinami na South Side, swoich błędów i małych zwycięstw oraz poczucia nowej wspólnoty". Niedaleko mu też do wyjaśnienia mężczyzny numer jeden, czemu po powrocie z Senegalu daje swemu siostrzeńcowi te wszystkie rady: „Mówię Ci o tym, ponieważ kocham Cię, i proszę, nigdy tego nie zapomnij".

© WOJCIECH ENGELKING

Fragmenty z „Zadrżał mój loch. List do mojego siostrzeńca w setną rocznicę emancypacji" Jamesa Baldwina podaję w przekładzie Daniela Passenta, „Ziemi obiecanej" Baracka Obamy i „Tańczącego z wodą" Ta-Nehisiego Coatesa – Dariusza Żukowskiego, „Dlaczego nie rozmawiam już z białymi o kolorze skóry" Reni Eddo-Lodge – Anny Sak.

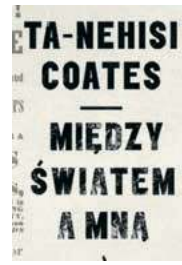

Ta-Nehisi Coates **MIĘDZY ŚWIATEM A MNĄ**, *przełożył Dariusz Żukowski, Agora, Warszawa 2021*

KAROL BUDREWICZ / MATERIAŁY PRASOWE

Katarzyna Dworak i Ewa Galusińska (z prawej) w spektaklu „Rzeź" w reżyserii Jacka Głomba, Teatr im. Modrzejewskiej w Legnicy, maj 2021 r.

Powrót: dwa z czterdziestu i czterech

DARIUSZ KOSIŃSKI

Podobno w sobotę 29 maja odbyły się w Polsce czterdzieści i cztery premiery teatralne. Nie sprawdzałem, bo liczba zbyt jest symboliczna, by ją weryfikować.

Jeśli data ponownego otwarcia polskich teatrów po lockdownie zostanie w przyszłości uznana za ważną (co w końcu wcale nie jest takie pewne), historycy teatru będą mieli problem z jej ostatecznym ustaleniem. Rząd najpierw z niezrozumiałych powodów zadecydował, że teatry mogą być otwarte jako ostatnie, 29 maja. Po pewnym czasie jakby się zreflektował i zgodził się na rozpoczęcie przedstawień w budynkach tydzień wcześniej. Refleksja przyszła jednak na tyle późno, że ta zmiana niczego zasadniczo nie zmieniła, bo repertuary były już ustalone, bilety w przedsprzedaży. Więc choć formalnie otwarcie teatrów nastąpiło 22 maja, to realny i gremialny powrót do grania na żywo przed publicznością odbył się tydzień później.

Przez cały czerwiec premiery sypać się będą jedna po drugiej. Cały sezon w jeden miesiąc to dawka doprawdy zabójcza nawet dla wytrwałych i zaangażowanych widzów. Owoce tego superteatralnego czasu będziemy smakować po wakacyjnej przerwie, gdy rozpocznie się – oby nieprzerywany już żadnymi zamknięciami – sezon 2021/2022. To on tak naprawdę pozwoli zobaczyć, czy wszystko, co wydarzyło się w czasie lockdownu, w znaczący sposób wpłynęło na życie teatralne.

Spośród czterdziestu i czterech premier weekendu otwarcia wybrałem dwie. Obie na Dolnym Śląsku, w regionie od dekad przodującym w kraju pod względem nagromadzenia ważnych miejsc teatralnych nieskupionych w jednym mieście. Nawet utrata znaczenia Wrocławia, nazywanego kiedyś (ktoś to jeszcze pamięta?) teatralną stolicą Polski, nie zachwiała poważnie pozycją regionu, bo na Dolnym Śląsku, jak bodaj nigdzie indziej w kraju, mocne centra teatralne ulokowały się nie tylko w wojewódzkiej metropolii, ale też w miastach średniej wielkości. I właśnie taki teatr o mocnym ogólnopolskim znaczeniu i lokalnym zakorzenieniu wybrałem na pierwszą popandemiczną podróż teatralną, ruszając w deszczowy poranek do Legnicy.

Jedzie Zapust, jedzie

Teatr im. Modrzejewskiej stanowi jeden z najlepszych przykładów, jak instytucjonalny teatr repertuarowy, będący wciąż najważniejszą formą organizacyjną polskiego życia teatralnego, może z powodzeniem funkcjonować jako publiczny, zespołowy i dramatyczny w realnie pełnym, a nie tylko formalnym znaczeniu tych słów. Kierowany od 1994 r. przez Jacka Głomba i przez niego głównie wykreowany, stanowi niekwestionowalny dowód na to, że teatr stabilnego „środka" jest możliwy, że może nie obrażać się na rzeczywistość i żyć czymś innym niż społeczne rytuały melancholijnych inteligentów. Trudno niestety tę legnicką wersję „środka" utożsamiać z głównym nurtem teatralnym płynącym przez większość podobnych instytucji, ale przynajmniej można być w miarę pewnym, że jeśli chce się zobaczyć, jak wygląda „normalny współczesny teatr polski" – trzeba pojechać do Legnicy.

Pojechałem więc i ja. Dodatkowy powód był taki, że właśnie tu, we wrześniu ubiegłego roku, byłem na jednej z pierwszych premier odbywających się po wiosennym lockdownie w warunkach pandemicznych obostrzeń. Wydało mi się, że taki łuk między początkiem a końcem tego przedziwnego sezonu tworzy dobre warunki dla powrotowego tekstu. Na dodatek na weekend otwarcia Jacek Głomb zaproponował własną inscenizację dramatu swojego wieloletniego współpracownika, Krzysztofa Kopki, o rabacji Jakuba Szeli.

„Rzeź" to inteligentnie i sprawnie zbudowana gra z historią i kulturą. Z histo-

rii przychodzi na scenę między innymi starosta tarnowski Joseph Breinl (Grzegorz Wojdon), z kultury, a wręcz z teatru – przede wszystkim rodzina Cedrów, znana kiedyś powszechnie z „Popiołów", a pojawiająca się właśnie w kontekście rzezi galicyjskiej w niegranym już od ćwierćwiecza „Turoniu" Stefana Żeromskiego (Krzysztof – Robert Gulaczyk, Weronika – Zuza Motorniuk, dodany przez Kopkę w miejsce Xawerego Nikodem – Paweł Palcat).

Oczywiście podział na tych, co z historii, i tych, co z kultury, jest tu bardzo umowny, bo przecież Szela równie blisko ma do Legnicy z kart poematu Brunona Jasieńskiego, cytowanego w programie, a w pamięci widzów może nawet bliżej z „Baśni o wężowym sercu" Radka Raka. Wprawdzie z nagrodzoną Nike powieścią dramat Kopki nie ma wiele wspólnego, ale sam fakt, że Szela znów począł całkiem intensywnie nawiedzać naszą pamięć, trudno uznać za przypadek.

Twórcy legnickiej premiery też całkiem wyraźnie o tym mówią, odwołując się w zapowiedziach przedstawienia do „dzisiejszych bolączek", wśród których wymieniają „rozpad społeczeństwa, głęboki konflikt pomiędzy różnymi jego warstwami, przepaść dzielącą Polskę". Nie wiem, czy byłbym skory do budowania tak prostych analogii, ale trudno wątpić, że w dzieje rabacji galicyjskiej nasza współczesność wpisuje własne pęknięcia. W „Rzezi" powraca wątek buntu Szeli jako niedokończonej rewolucji, która zatrzymała się w pół kroku i nie przyniosła zapowiadanego wyzwolenia (rewolucyjnego ducha uobecnia przede wszystkim dopisana przez Kopkę, ale też przychodząca poniekąd z Wyspiańskiego postać Urlopnika – Paweł Wolak).

Zaskakujące tylko, że nad tym całym pańsko-chłopskim konfliktem jako anioł pokoju unosi się figura Księżnej Sanguszkowej (Małgorzata Urbańska), która jako prawdziwa *dea ex machina* przywraca ład. Czyżby miała to być figura wynurzającego się z głębi zbiorowej podświadomości fantazmatu Wielkiej Pani tym razem nie w wersji macierzyńskiej, ale arystokratycznej? Lady S. – Królowa Polskich Serc? Ku niej zdają się prowadzić linie dramatu, ale energie teatralne eksplodują zupełnie gdzie indziej.

Oglądałem przedstawienie Kopki i Głomba z zainteresowaniem i uwagą – jest sprawnie i klarownie skomponowane, daje do myślenia, unika jednoznaczności, a równocześnie wciąga w świat postaci wyraziście skonstruowanych i przekonująco zagranych. Poziom – jak zawsze w Legnicy – utrzymany i wyrównany. Ale długo nic mnie nie unosiło w fotelu, nie wsysało energetycznie. Pozostawałem zainteresowanym, ale jednak widzem. Nie świadkiem, bo niczego do świadczenia nie dostawałem. Aż przyszła teatralna kulminacja całości, czyli scena „krwawych zapustów", grająca z Żeromskim, ale przede wszystkim grana na instrumentarium żywego teatru. To tu wszystkie elementy już wcześniej obecne na scenie – żywa muzyka, specjalnie skonstruowana podłoga z niemalowanych desek tworząca wielkie pudło rezonansowe, a przede wszystkim świetny zespół – zabrzmiały razem z mocą, której odczucie jest możliwe tylko w teatrze.

Rzeź dworu Cedrów rozgrywana jest w rytm pieśni o Zapuście – baśniowym księciu, który nawiedzał dwory i chałupy w ostatni dzień karnawału. Gdy aktorki i aktorzy zaczynają ją śpiewać, wieje ku nam ze sceny pozostająca poza politycznymi i nawet emocjonalnymi eksplikacjami energia czystej rebelii. Jakby cały odczuwany przecież przez nas wszystkich, a za każdym razem inaczej motywowany gniew na świat, jaki jest, nagle eksplodował, zagarniając nas w wir, który mogę teraz próbować nazywać i objaśniać, ale który tych objaśnień nie potrzebuje. Jego energia jest jakoś związana, czy wręcz wywołana przez „Rzeź", ale przychodzi też spoza tego przedstawienia i tej „sprawy" – jest czysto teatralna, radosna, potężna, a zarazem niepokojąca. Zanim cokolwiek pomyślałem, ciało zareagowało podnosząc się w fotelu. I dopiero potem pojawiła się myśl, że nawet jeśli to nie dla tej sceny Jacek Głomb zrealizował „Rzeź", to ja dla tej sceny do Legnicy przyjechałem.

Jak daleko, jak blisko

Drugą premierą, którą wybrałem z bogatej oferty dolnośląskich teatrów, była „Tirza" – adaptacja powieści Arnona Grunberga przygotowana przez Joannę Bednarczyk, a wyreżyserowana przez Pawła Miśkiewicza we Wrocławskim Teatrze Współczesnym.

Przez cały spektakl miałem wrażenie, że wszystko to już widziałem, słyszałem i znam bardzo dobrze. Z setek filmów i przedstawień znam tę pozorną zwykłość znużonego sobą i pozbawionego znaczenia codziennego życia dobrze sytuowanego mieszkańca zamożnego kraju zachodniej Europy, który wprawdzie sam nie reprezentuje niczego cennego, ale miał szczęście urodzić się w państwie zapewniającym dobrobyt i stabilizację. Znam to z lubością wręcz powtarzane odkrywanie własnej zbędności, na którą Jörgen Hofmeester (Jerzy Senator) pozornie się godzi, zarazem dystansując się od tej zgody kolejnymi rozbudowanymi autoanalizami. Widziałem już wiele razy, jak błyszcząca powierzchnia poczciwej normalności pęka, ujawniając coraz bardziej niepokojące symptomy popadania w – też dobrze ↦

Maria Kania i Jerzy Senator w spektaklu „Tirza" w reżyserii Pawła Miśkiewicza, Wrocławski Teatr Współczesny, maj 2021 r.

NATALIA KABANOW / MATERIAŁY PRASOWE

↦ znane – choroby toczące współczesność: pedofilię, mizoginię, rasizm.

Finałowe ujawnienie potworności ukrytej za glamourową fasadą rodzinnego życia też jest spodziewane i nie szokuje, a raczej wzbudza kłopotliwe wzruszenie ramion. Czemu jeszcze raz mam to oglądać? Czy na pewno tym, za czym tęskniliśmy w czasie lockdownu, był sceniczny obraz upadku cywilizacji Zachodu i odkrywane pod pozorami ludzkich uczuć okrucieństwo postkolonialnych społeczeństw?

Konstrukcja przedstawienia Miśkiewicza nie pozwala jednak tych pytań zadać w sposób zdecydowany i jakoś realnie krytyczny. Sam spektakl zbudowany jest bowiem z dystansujących się wzajemnie od siebie pomnożeń, z piętrzących się efektów osobliwości. Twarze aktorów i stwarzane przez nich sytuacje wyświetlane są na wielkich ekranach otaczających z dwóch stron przestrzeń sceny, zbudowaną przez Barbarę Hanicką tak, jakbyśmy niemal cały czas oglądali życie Hofmeestera i jego rodziny na zbliżeniach. Efekt tego jest dość niespodziewany – zbliżenia oddalają, niszczą niemal w zarodku pokusę współodczuwania. Kiedy wydaje nam się, że wiemy, co bohater czuje, zbliżenie na jego nieruchomą twarz przypominającą maskę z gutaperki podaje tę wiedzę w wątpliwość.

Jerzy Senator znakomicie utrzymuje całość roli w tej niepokojącej dwuznaczności. Spokojny chłód, z jakim zdaje się demonstrować podróż Jörgena do kresu złudzeń na swój własny temat, wytwarza nie efekt osobliwości, ale niepokojące poczucie niezrozumienia. Nawet kiedy w finale przed torturowaną dziewczynką z Namibii (graną przez mężczyznę) ujawnia, kim w istocie jest, wcześniejsza zmienność stylów gry i konwencji nie pozwala przyjąć na wiarę jego potworności. Ona też wydaje się rolą, o której autentyczności Hofmeester chce nas przekonać, jakby w ten sposób usiłował odwrócić nasz wzrok od czegoś innego, co może byłoby dla nas boleśniejsze i trudniejsze niż w sumie uspokajająca diagnoza, że bogate społeczeństwa liberalnego Zachodu przepojone są słabo ukrywaną nienawiścią, przemocą i morderczymi pożądaniami.

Łatwo uznać, że Jörgen Hofmeester nie jest jednym z nas. Ale niepokojąco zmęczonej i wycofanej twarzy Jerzego Senatora już tak łatwo unieważnić się nie da. To między innymi dzięki temu „Tirza" zmusza do wędrowania myślą po drogach dalekich od oczywistości i nieukładających się w pocieszający wywód: czy na pewno mam prawo czuć się bezpiecznie w przekonaniu, że nie mam z Jörgenem nic wspólnego?

Proces potencjalnie (bo wcale niekoniecznie) uruchamiany przez „Tirzę" działa na zasadzie odmiennej od tego wessania, które uaktywniło się w kulminacyjnej scenie „Rzezi". Ale nie znaczy to, że jest mniej teatralny. Może nawet w swojej nieoczywistości stanowi ważniejsze przypomnienie czegoś, o czym pozbawieni żywego teatru zapomnieliśmy – że teatralna „nażywość" wcale nie musi eksplodować ładunkami energii, a teatralne doświadczenie rodzić się może z niejasnego dyskomfortu, który wywołują sygnały nieukładające się w spójną całość, płynące ze sceny strumieniem nieoczywistości.

Taką nieoczywistością jest też i to, z czego zdałem sobie sprawę wracając do domu: oba, w końcu przypadkowo wybrane, przedstawienia popandemicznego otwarcia prowadzą przez gęstniejącą sieć ludzkich relacji do tego samego punktu. „Tirzę" kończy ryk piły mechanicznej. Na frontonie legnickiej sceny wisi krwawy napis „Rzeź w teatrze". Wątpię, by cała gama możliwych interpretacji tego pozornie prostego komunikatu była wynikiem przypadku.

Można wprawdzie spokojnie i naiwnie przyjąć, że przedstawienia Głomba i Miśkiewicza planowane były już dawno, a rozpoczynanie oczekiwanego powrotu do „normalności" od rzezi to zbieg okoliczności. Ale gdy nocą jadę przez czyste, jasno oświetlone dworce kolejowe wybudowane niedawno za europejskie pieniądze, gdy mijam kolejny billboard głoszący radość z 770 miliardów dla Polski, nie mogę się pozbyć wrażenia, że to tylko fasada.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

RADIO KRAKÓW **Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".**
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Kant z Kantorem

PIOTR KOSIEWSKI

Tegoroczna odsłona Miesiąca Fotografii w Krakowie miała się otworzyć na wydarzenia ostatnich miesięcy. W Cricotece zaplanowano dużą wystawę „Powaga sytuacji" i zaraz ją zamknięto – zadziałała polityczna cenzura.

Pandemia zmieniła funkcjonowanie sztuki i instytucji jej poświęconych. Radykalnie ograniczone zostały możliwości wystawiennicze, a także podróże artystów, jak i samych dzieł. Ubiegłoroczny Miesiąc Fotografii odbył się więc w oszczędniejszej formule. Miały miejsce ważne prezentacje, jak wystawy duetu Dyba Lach i Adam Lach oraz Zygmunta Rytki, ale z konieczności m.in. ograniczono udział gości z zagranicy. Tymczasem to otwarcie na świat, wejście w dialog z artystami i kuratorami w znacznym stopniu definiowało krakowską imprezę – przez lata można tam było zobaczyć prace Serhija Bratkowa, Taryn Simon czy jednego z najciekawszych dziś francuskich artystów, Mohameda Bourouissy.

W tym roku 19. już Miesiąc Fotografii ponownie skupił się na twórcach polskich. Z konieczności zapewne zmniejszyła się też skala samej imprezy, a jej struktura stała się bardziej otwarta na nowe formy prezentacji. Hybrydowa formuła, szersze wejście w przestrzeń miasta, a jednocześnie mocna obecność w internecie, otwarcie na nowe inicjatywy, jak Fringe 2021 poświęcony młodym twórcom, wreszcie rozbudowanie programu debat mają służyć przekształceniu Miesiąca w platformę współpracy i miejsce eksperymentu.

MATERIAŁY PRASOWE

Tomasz Machciński, Bez tytułu, 2011 r.
Dzięki uprzejmości Fundacji Tomasza Machcińskiego i artysty

Za wcześnie wyrokować, czy ten nowy model festiwalu się sprawdzi. Być może z czasem wśród artystów, ale też odbiorców przeważy pragnienie powrotu do stanu sprzed pandemii. Na pewno jednak sieć pozostanie ważną przestrzenią tworzenia i udostępniania. Podobnie katalog wystawy jako książka będąca samodzielną, autonomiczną wypowiedzią (a nie publikacją dokumentującą ekspozycję). Czyli wykorzystanie tych sposobów prezentowania działalności artystycznej, które pozwalają ominąć rozmaite ograniczenia: od epidemiologicznych po finansowe czy – jak się okazuje – polityczne.

Radar na współczesność

Tegoroczna odsłona miała być okazją do otwarcia Miesiąca Fotografii na wydarzenia ostatnich miesięcy. W Cricotece zaplanowano dużą wystawę „Powaga sytuacji". Miała ona przyjrzeć się temu, jak rzeczywistość społeczna i polityczna stają się tworzywem artystycznym, ale też jak sztuka jest wykorzystywana w protestach.

Pomysł wystawy był niemalże oczywisty, bo pytanie o społeczny wymiar twórczości po ogłoszeniu 22 października 2020 r. wyroku Trybunału Konstytucyjnego zaostrzającego prawo aborcyjne stało się jeszcze aktualniejsze. Wśród protestujących przeciw tej decyzji były artystki i artyści. Jednak nie mniej ważny jest sam proces dokumentowania rozmaitych przejawów ostatnich protestów, by wymienić działalność Archiwum Protestów Publicznych.

Wystawa, której kuratorką była Agnieszka Rayss, miała pokazać zarówno klasyków współczesnej sztuki, jak Łódź Kaliską czy Zbigniewa Liberę, ale też Agnieszkę Sejud czy Tytusa Szabelskiego, reprezentujących młode pokolenie. Do jej otwarcia jednak nie doszło. Dyrekcja Cricoteki nie zgodziła się na umieszczenie na wystawie instalacji Krzysztofa Powierży „Banery z placu Wilsona", która prezentowała kartony z hasłami niesione przez uczestniczki i uczestników protestów po 22 października. Przedmiotem sporu stała się także akcja kolektywu akcjonistycznego „Czarne Szmaty". Ostatecznie zdecydowano, że projekt zostanie zaprezentowany w późniejszym terminie w formie publikacji lub w przestrzeni wirtualnej.

Kierująca Cricoteką Natalia Zarzecka żądając usunięcia pracy Powierży powołała się na wierność ideom patrona instytucji. „Kantor świadomie unikał bezpośredniego angażowania się w bieżącą rzeczywistość i odżegnywał od konfrontacyjnego języka" – podkreślała. I dodała: „Cricoteka jest instytucją publiczną. Ten element jej tożsamości oznacza, że jej program jest skierowany do całego społeczeństwa, nie zaś do wybranych grup. Dlatego instytucja odmawia uczestnictwa w przedsięwzięciach mogących pogłębiać podziały i eskalujących wrogość".

Od kilku lat podejmowane są próby cenzurowania instytucji kultury – by wymienić niedawne przypadki galerii Arsenał w Białymstoku, lubelskiego Labiryntu czy BWA w Opolu. Jednak tym razem aktu cenzury dokonała sama instytucja, i to aspirująca do bycia jedną z najważniejszych w kraju. Dodatkowo przy tym uznając, że apolityczność rozumiana jako uległość wobec władz jest rzeczą pożądaną i definiującą funkcje instytucji publicznej (powołanie się na Kantora, pamiętając o jego relacjach z rządzącymi PRL-em, zwłaszcza w latach 80., jest mało fortunne).

Wystawa, do której nie doszło, stała się najmocniejszym punktem Miesiąca Fotografii. Już sprowokowała do kluczowej obecnie dyskusji na temat funkcji instytucji publicznych i ich relacji z władzą. A też, mimo starań Natalii Zarzeckiej, jeszcze silniej wybrzmiał protest przeciwko polityce PiS-u – rozpoczęciu Miesiąca towarzyszyły manifestacje pod siedzibą Cricoteki. Podważone wreszcie zostało zaufanie do samej instytucji.

Warto jednak przytoczyć fragment oświadczenia organizatorów Miesiąca Fotografii: „Usunięcie pracy z przestrzeni galerii można odczytywać zarówno jako ↦

akt autocenzury prewencyjnej, jak i wyraz troski o przyszłość i dobro instytucji" – napisali Joanna Gorlach i Tomasz Gutkowski. I dodali: „Nasz sprzeciw budzi przede wszystkim fakt, że rzeczywistość polityczna zmusza kogokolwiek – instytucję, organizację, artystę czy kuratora – do stawania przed tego typu dramatycznymi wyborami". Można te słowa uznać za próbę usprawiedliwienia postępowania szefowej Cricoteki, jednak niezależnie od oceny jej decyzji pozostaje pytanie o odpowiedzialność tych, którzy rządzą obecnie Polską.

Fotografia, czyli...

Spór wokół „Powagi sytuacji" nie powinien przysłonić innych tegorocznych wystaw. W Galerii Szarej Ada Zielińska zajęła się problemem, który w czasach pandemii stał się jeszcze bardziej aktualny, czyli sytuacją finansową artystów. Sam jej tytuł – „Jaki mamy budżet? – Where's the Money?" – to też pytanie, które od dawna stało się kluczowe w rozmowach z twórcami i pracownikami instytucji artystycznych. Bo od odpowiedzi na nie zależy, czy praca lub pokaz dojdą do skutku. Zielińska połączyła fotografie martwych natur, często bardzo wystudiowane formalnie, z konkretnymi przykładami: 80 tys. zł – kwota, której zabrakło na realizację pracy Norberta Delmana na Biennale w Stambule, 1500 zł – honorarium kuratorskie w Galerii BWA w Bielsku-Białej. Tworzenie dzieł i ich wystawianie nagle nabrało bardzo konkretnego, bo finansowego wymiaru.

Z kolei pokaz Marty Bogdańskiej „Zmiennokształtne" w Galerii ASP jest przykładem dziś bardzo ważnego nurtu twórczości, w którym artysta wciela się w rolę archiwisty. Bogdańska zebrała imponujący materiał, przede wszystkim zdjęciowy, o obecności zwierząt w wojsku: od gołębia Cher Ami zapewniającego łączność na froncie podczas I wojny światowej i suczki Judy służącej na brytyjskiej kanonierce, po niedźwiedzicę Baśkę, która w 1919 r. wraz z polskim wojskiem dotarła do kraju aż z Murmańska. Relacjonując ich dzieje, jednocześnie opowiada o historii współczesnej z innego punktu widzenia – zwierząt. Upomina się o pamięć o nich, poszerza spojrzenie na ubiegłe stulecie o innych, zazwyczaj pomijanych. „Zmiennokształtne" to praca wi-

MATERIAŁY PRASOWE

Fragment ekspozycji Tomasza Machcińskiego „Tysiące twarzy, setki miraży" w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha, Kraków, maj 2021 r.

KAMIL KRAJEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

zualno-dźwiękowa, ale też imponująca, ponad 700-stronicowa publikacja, pokazująca, że inne wystawiennictwo jest też możliwe.

Wreszcie w Muzeum Manggha – to najważniejsze wydarzenie tegorocznego Miesiąca Fotografii – znalazł się wybór fotografii Tomasza Machcińskiego. Jego twórczość – tworzone od lat 60. autoportrety – to jedno z najważniejszych odkryć w polskiej sztuce (część z nich nabyło już warszawskie Muzeum Sztuki Nowoczesnej i Muzeum Historii Fotografii w Krakowie). Tomasz Machciński tworzy bowiem dzieła niezwykłe i zarazem totalne. Z uporem i sumiennie wciela się w postacie historyczne i wymyślone, przedstawicieli popkultury i wybitnych intelektualistów. Staje się wręcz tymi osobami.

„Wszystko musi być prawdziwe – mówił w rozmowie z „dwutygodnikiem". – Należy umieć zrobić twarz tak, żeby wyglądała naturalnie, jak własna. Zawsze wykorzystuję to, co dzieje się z moim ciałem: odrastanie włosów, łysienie, starzenie się. Projekt zmienia się z biegiem czasu, bo ja się zmieniam. A pomysłów mi nie brak". Machciński swoje ciało uczynił materiałem. Sam jest aktorem i reżyserem, kostiumografem i charakteryzatorem. Sam wreszcie robi zdjęcia i je archiwizuje. Do dziś wykreował ponad 22 tys. wcieleń mężczyzn i kobiet, różnych nacji i koloru skóry.

Długo wykonywał fotografie czarno-białe. Na wystawie „Tysiące twarzy, setki miraży" w Krakowie pokazano jego nowe prace z lat 2006-2018. Tym razem to kolorowe zdjęcia (są też nagrania wideo). Ponad 700 fotografii ułożono w jeden wielobarwny fryz, mieniący się postaciami. Tomasz Machciński bywa na nich uwodzącą kobietą, księdzem, marynarzem, żołnierzem. Wciela się w Czesława Niemena i Leszka Kołakowskiego. Podważa granice płci i tożsamości. Dawno też zamazał granice między życiem i sztuką. Jak sam podkreśla: opisałem swoje życie w fotografii.

Nierealność i świat rzeczywisty

Ograniczenie programu jeszcze wyraźniej podkreśliło znaczenie Sekcji ShowOFF, od lat odrębnej części Miesiąca Fotografii poświęconej twórcom, którzy są dopiero na początku artystycznej drogi. Stała się ona znakiem rozpoznawczym tego festiwalu, a o jej randze może świadczyć lista dotychczas prezentowanych fotograficzek i fotografików, ↦

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Protest przed Ośrodkiem Dokumentacji Sztuki Tadeusza Kantora Cricoteka przeciwko cenzurowaniu sztuki podczas Miesiąca Fotografii w Krakowie, 28 maja 2021 r.

Po lewej: Jędrzej Nowicki, Bez tytułu 2, z serii Blizny, 2020 r. Dzięki uprzejmości artysty.

↦ na której są m.in. Dominika Gęsicka, Irena Kalicka czy Diana Lelonek.

Na tegoroczną edycję nadesłano zresztą blisko 500 zgłoszeń z 40 krajów. W tym roku zrezygnowano ze wspólnego pokazu. Dzięki temu powstały bardzo indywidualne ekspozycje. W Muzeum Fotografii pokazano prace Bartosza Wajera. Są to zdjęcia nieoczywiste – Wajer sięgnął po materiały zamieszczane na portalach erotycznych, ale przefotografował je tak, że rozpoznawalne są jedynie fragmenty: zarysy ciał kobiet i mężczyzn, jakieś wyrwane sceny. Wszystko też zostało obdarte z erotyki. To tylko cienie, trochę oniryczne zjawy, duchy, a nawet barwne plamy. Wystawa „Od oka do kości" intryguje, zachęca do snucia domysłów, zabawy z wyobraźnią.

Po gotowe zdjęcia sięgnęła też Jagoda Valkov. Na jej wystawie „Szczęśliwa wina" pokazanej w galerii Podbrzezie znalazły się kolaże, w których wykorzystała fotografie z rodzinnych albumów. Połączyła je z wyobrażeniami religijnymi: nad grupą odpoczywających na łące unosi się gołąb – symbol Ducha Świętego. Postaci księdza głoszącego kazanie towarzysz wąż. Niepokojące, odrealnione, dziwne. Świat wiary i codzienność niepokojąco się tu mieszają.

Z kolei fotografie Jędrzeja Nowickiego boleśnie przypominają o rzeczywistości. Wystawa „Blizny" prezentowana w Fundacji Razem Pamoja opowiada o protestach przeciwko reżimowi Alaksandra Łukaszenki. Sfotografowane przez Nowickiego siniaki, otarcia, blizny na ciałach kobiet i mężczyzn są bardziej niż realne. To ślady po interwencjach OMON-u. Nie są to jedyne świadectwa niedawnych wydarzeń. Jest też scena pogrzebu – młodzi mężczyźni niosą trumnę przykrytą historyczną biało-czerwono-białą flagą Białorusi. Na innej fotografii tłum protestuje przed wielkim blokiem. Jest wreszcie zdjęcie kordonu funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa. Zdjęcia Jędrzeja Nowickiego przypominają, że nadal jedną z podstawowych funkcji fotografii jest dawanie świadectwa.

© PIOTR KOSIEWSKI

19. Miesiąc Fotografii w Krakowie. Pokazy trwają do 27 czerwca br. (wystawa w Muzeum Manggha do 5 września).

KINO ŚWIAT / MATERIAŁY PRASOWE

Dawid Ogrodnik i Mateusz Kościukiewicz jako Albert i Albin Hudini w filmie „Magnezja"

Pogranicze w proszku

ANITA PIOTROWSKA

W scenerii na poły sztetlowej, tuż przy sowieckiej granicy, twórcy „Magnezji" osadzili awanturniczą opowieść rodem ze spaghetti westernu i kina gangsterskiego.

Płyta z Marleną Dietrich i radziecka „Katiusza". Jan A.P. Kaczmarek nawiązujący gitarową frazą do Ennia Morricone i piosenki niczym z festiwalu w San Remo. Wystarczy sam przegląd ścieżki dźwiękowej, by już wiedzieć, jak potraktować „Magnezję": ani historycznie, ani z powagą. Osadzony w polskim międzywojniu „eastern" Macieja Bochniaka kreuje przed kamerą mocno przekręcony świat, w którym władzę dzierżą kobiety-pistolety, a bliźniacy syjamscy nakręcają wojnę polsko-ruską pod flagą narkotykową. To świat umownie kostiumowy, umownie brutalny i równocześnie jakoś wywrotowy na naszym gruncie.

W scenerii na poły sztetlowej, tuż przy sowieckiej granicy, Bochniak i jego współscenarzysta Mateusz Kościukiewicz osadzili awanturniczą opowieść rodem ze spaghetti westernu i kina gangsterskiego. Wiele się tu dzieje, choć wszystko odbywa się zarazem niezgodnie ze swoim planem. Ten wariacki tryb anegdoty dopełnia w „Magnezji" menażeria ludzkich typów. Oto bezwzględna Róża Lewenfisz (Maja Ostaszewska), córka lokalnego „ojca chrzestnego", która po jego śmierci staje na czele gangu i, jak to bywa w klasyce gatunku, zaprowadza nowe porządki, próbując zdominować wschodzący rynek narkotyków. Oto zrośnięci tułowiem właściciele zakładu fotograficznego, romantyczny Albert i filozofujący Albin Hudini (w tych rolach Dawid Ogrodnik i Kościukiewicz), którym marzy się operacja rozdzielenia i w związku z tym przygotowują podkop do lokal-

nego banku. Oto Zbroja Lewenfisz (zagrana, a jakże, przez Borysa Szyca) – dama wielce dekadencka, z zamiłowaniem do Chopina, ostrego seksu i białego proszku, która swoim swobodnym prowadzeniem się przysporzy rodzinie poważnych kłopotów. Jest jeszcze najmłodsza z sióstr, zimna i dawno temu wyklęta przez najbliższych Lila (Małgorzata Gorol), jest też zmotoryzowana i szorstka w obyciu inspektorka policji Stanisława Kochaj (Agata Kulesza) oraz prymitywny „czerwony" mafioso zza wschodniej miedzy, Lew Alińczuk (Andrzej Chyra). Przyznajmy: z takim składem personalnym nie da się opowiedzieć tej historii po bożemu.

Można za to wnieść do fabuły odrobinę potencjału krytycznego, i tak właśnie robią twórcy filmu. Rodzeństwo Hudinich z powodu fizycznej deformacji i niechrześcijańskich korzeni stanowi w miasteczku obiekt wzgardy i szykan. Życie seksualne mieszkańców bywa, eufemistycznie mówiąc, o wiele bardziej skomplikowane, niż mogłoby się wydawać miejscowemu kapłanowi. Najsilniej oczywiście wybrzmiewa feminizacja gatunkowych konwencji w warunkach II Rzeczypospolitej, czego wyrazem postępowy babiniec w domu Lewenfiszów. Komizm filmu w dużej mierze wyrasta z jaskrawych różnic cywilizacyjnych. Na jednym biegunie mamy więc zacofany kresowy grajdołek, na drugim ostre kowbojki. Równocześnie, po naszej stronie granicy, mimo nietolerancji i feudalnych podziałów, rozciąga się Dziki, lecz ciągle jeszcze Zachód, podczas gdy na sowieckim Wschodzie oficjalnie rządzi obskurantyzm i tępa siła. Ale mimo tych kontrastów nie spodziewajmy się czegoś na kształt witkacowskiej historiozofii. Prawie wszyscy są tu nawzajem siebie warci, ogarnięci chciwością czy żądzą zemsty, zafiksowani na swoich interesach. Kobiety zaś – z nielicznymi wyjątkami – zmuszone są reprodukować typowo męskie wzorce. Trup zatem ściele się gęsto i najczęściej bez sensu, a jeśli nawet zatriumfuje w końcu sprawiedliwość, to jedynie szczątkowa i spóźniona.

Anarchistyczny duch rozsadza ekran, podobnie jak przerysowana zawartość kadru, w szczególności zaś wyglądy ludzi i rzeczy. Twórca „Disco polo" (2015) ponownie ożywia fantasmagoryczny świat – tym razem przegięty w drugą stronę, bo rozmyślnie pobrzydzony. Co i raz uwagę przykuwa cudaczny detal. Zwłaszcza w dziedzinie protetyki, perukarstwa i doczepianych biustów film imponuje wyobraźnią i rozmachem. Stąd zasłużone gdyńskie Lwy dla Waldemara Pokromskiego i Agnieszki Hodowanej (charakteryzacja), a także dla innych twórców rzeźbiących w filmowej materii – Doroty Roqueplo (kostiumy) i Marka Warszewskiego (scenografia). „Magnezja" wręcz iskrzy się od konceptów, rozmaitych smaczków i zapaszków, które nie zawsze jednak spełniają swoją rolę światotwórczą. Chciałoby się więcej westernowego gawędziarstwa, więcej zanurzenia w samej opowieści, a nie tylko rozróby i estetyczno-obyczajowego ekscesu. Stąd chwilami wrażenie, jakby ktoś misternie usypał na blacie biały proszek, a następnie tęgo weń kichnął. Jest przy tym sporo zabawy, kuriozum goni kuriozum, ale esencja, czyli historia, raz po raz ulega rozproszeniu.

To z pewnością propozycja dla wygłodniałych polskiego kina w jego najbardziej ekstrawaganckim wydaniu. Film brawurowy, choć złożony raczej z pojedynczych rozbłysków – by odwołać się do tytułu, który odsyła do dawnej technologii fotograficznej z udziałem metalicznego pyłu. „Magnezja" przypomina jednak nie tyle wizytę w fotograficznym atelier, co w lunaparkowym gabinecie osobliwości albo w filmowym gabinecie luster, gdzie odbijają się znane już skądinąd figury i motywy. Znajdziemy tu i coś z Tarantina, i z bardziej swojskiego Kusturicy, choć inscenizacyjnie czy stylowo najbliżej filmowi Bochniaka do rodzimego serialu „Król". Tam przedwojenna Polska ubrana została w podobny, groteskowo-karykaturalny strój, każąc oglądać siebie z dystansu i co chwila puszczając oko do współczesności. „Magnezja" również obraca historię i kulturowe klisze w krwawy lub sprośny żart, na dodatek nieortodoksyjnie opowiedziany, co z pewnością wywoła w widzach zróżnicowane reakcje. Wszak polskie kino raczej niechętnie odwiedza tak ryzykowne pogranicza – obyczajowe, narracyjne, historyczne. ©

MAGNEZJA – *reż. Maciej Bochniak. Prod. Polska 2020. Dystryb. Kino Świat. W kinach od 11 czerwca.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Przypadek Johanny Langefeld

Dokumentalny, reż. Władysław Jurkow, Gerburg Rohde-Dahl, Niemcy/Polska 2019, Canal+ Dokument, 14 VI, 00.05

Oto kolejny dowód na to, że mówienie o historii wyłącznie w kategoriach czerni i bieli jest ślepą uliczką. Tytułowa bohaterka była wysoko postawioną nadzorczynią w obozach koncentracyjnych, ale po wojnie udało jej się zbiec z krakowskiego więzienia – dzięki sekretnej pomocy byłych więźniarek Ravensbrück. Film bada nadzwyczajne okoliczności tego zdarzenia.

2. Hirokazu Koreeda

Przegląd, mojeekino.pl

Z okazji urodzin japońskiego reżysera dostępne są trzy jego świetne filmy: „Jak ojciec i syn", „Nasza młodsza siostra" i „Złodziejaszki". Porównywany do Yasujirō Ozu, stworzył własny niepowtarzalny styl kina familijnego – mocno osadzony w rodzimej kulturze, pełen czułych obserwacji dnia codziennego i tego, co niecodziennie, ale jednak się dzieje między bliskimi sobie ludźmi.

3. Ostatni rycerze prawej strony

Dokumentalny, reż. Michał Edelman, Polska 2020, DAFilms

Oto członkowie łódzkiego oddziału ONR-u. Oczywiście, nasuwa się pytanie, czy młodzieżowej organizacji głoszącej skrajnie nacjonalistyczne hasła należy oddawać „czas ekranowy". Edelman, 25-letni syn znanego operatora, odważył się to zrobić, portretując z bliska kilkoro członków tej grupy i filmując ich działalność spod znaku „Bóg, Honor, Ojczyzna, Rodzina, Tradycja i Przyjaźń".

4. Zbawiciel na sprzedaż

Dokumentalny, reż. Antoine Vitkine, Francja 2021, vod.mdag.pl

Choć wszystko zdarzyło się naprawdę, ogląda się to niczym rasowy dreszczowiec. Jego głównym bohaterem jest „Salvator mundi", obraz uchodzący za najdroższy w historii. Czy rzeczywiście był oryginalnym dziełem Leonarda da Vinci? Dochodzenie w tej sprawie pozwala przyjrzeć się rozmaitym kuriozom rządzącym dzisiejszym rynkiem sztuki.

JAN

Klata:

Pisarze i czytelnictwo

Oto Polacy – prawdziwi Polacy – będą teraz odsyłać noblistce jej książki, jako wyraz patriotycznie skrajnej dezaprobaty dla jej zagranicznych (nie)wypowiedzi na temat (rzekomych) paralel/paraleli pomiędzy Białorusią i Polską. Fundacja noblistki nie może się doczekać, żeby jej owe książki odesłano, ale chyba obejdzie się smakiem, gdyż akcja odbyła się głównie na Twitterze pana Mikkego, więc za dużo egzemplarzy się nie odzyska. Pomysł pochodzi ponoć jeszcze z czasów Knuta Hamsuna, co to z nazizmem flirtował, więc może będzie odsyłanie na adres IPN we Wrocławiu, jednak chyba jeszcze nie ustalono szczegółów, gdyż jest to akcja nieprawdopodobnie wręcz spontaniczna oraz – zważywszy na wskaźnik czytelnictwa w naszej Ojczyźnie – niebywale niszowa.

Niestety, podczas długiego weekendu nie zdążyłem wybrać się do Jelitkowa, aby zobaczyć tłumy plażowiczów doczytujących resztki „Biegunów" przed włożeniem ich do kopert. Zdołałem natomiast zauważyć, że internet prawicowy wrze oburzeniem, czyli *nihil novi sub sole*, wszak gdyby nie wrzał, toby wyparował, jak to internet, niezależnie od proweniencji zresztą. Tak czy owak, jeśli akcja się rozkręci, listonosze nie będą mieli lekko, ale zawsze mogą się pocieszać, że mogło trafić na Dukaja, a wtedy ciężko byłoby się im podnieść.

Marszałek Terlecki również trafił do Twittera na kierunku białoruskim, powiedział, co wiedział na temat liderki antyłukaszenkowskiej opozycji, odwinął się krótko, na odlew i bez sensu, ale jemu nikt nie chce odsyłać jego książek, bo one i tak po prostu leżą tonami na poczcie. Byłem, widziałem, jak w kolejce czekałem – leżą, w twardych oprawach, tzw. cegły Zdzikota, zdobią placówki jednoosobowej spółki Skarbu Państwa. Leżą, dodają prestiżu, ale Terlecki na poczcie nie kusi, nikt się nie ośmiela go nawet dotknąć – bo i po co, przecież sprzedany, Poczta Polska kupiła płody umysłu pana marszałka, za kilka lat kupi również jego dzieła zebrane, wśród nich Tweety Zebrane Terleckiego w kilkudziesięciu tomach. Kto bogatemu zabroni? Niech sobie Zdzikot kupuje, ku chwale Ojczyzny! ©

Lektor:

Podróż niesentymentalna

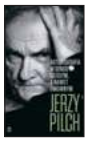

▪ *Jerzy Pilch*
AUTOBIOGRAFIA W SENSIE ŚCISŁYM, A NAWET UMOWNYM
Posłowie Marian Stala. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021, ss. 198.

Patrzy na nas z całostronicowej fotografii, jednej z wielu w tej książce: uważne i przenikliwe spojrzenie zza owalnych szkieł, cienka kreska ust, na głowie chusta. Maria z Chmielów Czyżowa, matka Wandy Pilchowej, babka Jerzego Pilcha i najważniejsze bóstwo jego rodzinnego Olimpu. „Jedna z najtwardszych i najdzielniejszych osób, jakie znałem, z najwyższym trudem znosiła ziemskie bytowanie". Despotycznego usposobienia, wzorem wielkich satrapów rządziła swoim imperium nie opuszczając wiślańskiej siedziby – „w ciągu bez mała dziewięćdziesięcioletniego życia, w tym bez mała siedemdziesięciu lat czynnego sprawowania władzy, najdalszą podróż odbyła do Krakowa". Od niej zaczynam, bo jest centralną figurą mitu, odtwarzanego czy też budowanego w „Autobiografii...". Jej części drukowane były w 2013 i 2015 roku w „Tygodniku", nie weszły jednak ani do „Drugiego", ani do „Trzeciego dziennika" i tworzą wyraźną całość – czy świadomie domkniętą, tego się już nie dowiemy. Okoliczności, które mogły zaważyć na decyzji autora, by wstrzymać się z jej publikacją książkową, omawia Marian Stala. Mamy więc dziesięć lat (1952–1962) mitycznego dzieciństwa zapisanego w obrazach, scenach i postaciach – dziesięć, bo jest i wspomnienie z izby porodowej (!), i opis przybycia do domu dziadków Czyżów – a potem wyjazd z rodzicami do Krakowa, początek nowego świata. O nim już jednak niewiele – najwięcej o postaciach ojca i matki. Jak tłumaczy Stala, w „Autobiografii..." Pilch „dokonał ostentacyjnej redukcji zdarzeń należących do powierzchniowej warstwy własnego życia. Uczynił tak, by tym mocniej wyeksponować drugą, głęboką warstwę tegoż życia, stanowiącą klucz do jego tożsamości i sposobu widzenia świata". Luterańskie wychowanie, Wisła zaludniona przez wyznawców kilkunastu religijnych denominacji, a także okultystów, wybudowana przez babkę ogromna kuchnia jako środek świata, ulubiony i zdradzony kot Głupielok – motywy wykorzystane wielokrotnie przez Pilcha w jego prozie wracają tu niejako w postaci pierwotnej. I przywoływane są z perspektywy postępującej choroby oraz finalnych rozliczeń. Nawet śmierć we własnej osobie zagląda do warszawskiego mieszkania na Hożej, by tym razem jeszcze się cofnąć i odwiedzić z ostatecznym przesłaniem stryja narratora, który też nazywa się Jerzy Pilch... ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Dzień twarogu

Sześćdziesiąt trzy procent oferty koncernu Nestlé liczonej wedle wartości sprzedaży nie spełnia kryteriów „uznanej definicji zdrowotności". Jeśli „Financial Times" decyduje się ujawnić wewnętrzny dokument tej treści, to nie dlatego, żeby wątpił w rozum swoich czytelników, każdy bowiem przytomny człowiek, a zwłaszcza abonent tej do bólu konkretnej gazety doskonale wie, iż ciastka w czekoladzie albo pizza z francuskiego ciasta nie służą ciału. „Niektóre kategorie naszych produktów nie będą nigdy zdrowe, jakkolwiek byśmy je przerabiali na nowo" – głosi prezentacja. A to grozi poważnym uszczerbkiem na rocznym przychodzie ze sprzedaży, który wynosi z grubsza 50 miliardów franków szwajcarskich. I dlatego ktoś podrzucił dokumenty do redakcji, a ta puściła temat w obieg, bynajmniej nie w dziale weekendowych ciekawostek.

Chociaż jest też w tym wszystkim element humorystyczny. Czytam dalej, że aż 82 procent wód oznakowanych markami koncernu spełnia zdrowotne kryteria. To znaczy, że pozostałe 18 procent szkodzi? Jak woda może być niezdrowa? Jasne, sam nieraz powtarzam, że lepiej pić wino niż wodę. Ale to żart odwołujący się do czasów, kiedy wino było bezpieczniejsze bakteriologicznie od wody z pierwszej lepszej studni. Lepiej to już zostawić, znacie moją skłonność do liczb i procentów, ale w takie meandry nonsensu to ja nie zapuszczam się nawet, gdy jako redaktor krajowy śledzę dla Was gry i zabawy polskiej opozycji. Gdy piszą, że w 14 gramach truskawkowego nesquika instant jest 14 gramów cukru (plus śladowa ilość farbki i aromatu), to czuję, że stoję na pewniejszym gruncie. Dzięki niemu, jak głosi reklama, dzieci „będą gotowe na nowy dzień".

W rzeczy samej żadne normalne dziecko Zachodu już nie zna smaku prawdziwego krowiego mleka. Przynajmniej w tej dziedzinie, jako nie całkiem jeszcze zeuropeizowani, mamy pewną przewagę. Co może najlepiej widać po tym, jak bogaty świat tworzy twarogi – sery tak mało przetworzone, że smak surowca jest w nich mocniej wyczuwalny. Miałem czas nad tym rozmyślać przez cały długi weekend, bowiem tuż przed nim, w środę, po raz już drugi obchodziliśmy Dzień Twarogu i aby to uczcić, powziąłem wyprawę zdobywczą po krakowskich straganach i sklepikach mleczarskich.

Udało mi się kupić parenaście rodzajów. Wszyscy się – co zrozumiałe – podniecamy tym, jak świetnie rozruszała się nam w segmencie „zagrodowym" produkcja wszelakich serów podpuszczkowych (choć świeży majowy bundz, który jest z nami od zawsze, mało co przebije). A tymczasem twaróg, czyli ser, którego skrzep powstaje dzięki działaniu bakterii kwasu mlekowego (przez kiśnięcie mleka, mówiąc po ludzku), jakby wpadł w jeszcze głębszą dziurę przeciętności i lekceważenia. Zna go każdy z osobna – dwa pokolenia wstecz prawie każdy miał mamę albo babcię, która robiła go w domu – więc jest tak, jakbyśmy go nie znali zbiorowo i nikt się nie chciał do niego przyznać.

„Chcemy, by twarogi wyszły z cienia przeciętności i częstej anonimowości. By nosiły z dumą nazwy pochodzące od ich twórców, miejsc, z których pochodzą, czasu, w którym powstają, od technik wytwarzania i przetwarzania" – piszą autorzy manifestu, w którym rok temu proklamowali 2 czerwca Dniem Twarogu: Gieno Mientkiewicz i Zbigniew Kmieć, niestrudzeni propagatorzy nieufryzowanej, nieskłamanej marketingowo lokalności stołu i spiżarni. Kiedy spytałem Giena, najlepszego znanego mi przewodnika po polskim serowarstwie, ile poznał odmian twarogu, odrzekł, że nigdy nie miał ambicji, by ująć to liczbowo, bo za dużo jest niuansów związanych z mlekiem, techniką, bakteriami i zastosowaniem.

Byłby więc twaróg w swojej janusowej zmienności i wariantach naszą dumną odpowiedzią na te przechwałki Francji, gdzie „co gmina, to inny ser"? Powiecie, że mało w tym wyrafinowania, kalejdoskopu kształtów i zapachów (lub smrodu, jak kto uważa)? Że nasze skromne *Lactobacteriaceae* mogą buty czyścić tamtym grzybom, pleśniom i porostom? Cóż, dobrze jest znać miarę i właściwy swoim nogom stawiać krok. Nie bać się własnej twarzy w lustrze. Cudze chwalić, ale swoje znać lepiej. I hołubić. Dużo złego się działo i dzieje nadal w polskim mleczarstwie, a za coraz marniejszym twarogiem mało kto zapłacze, choćby udało się ten specjalny dzień i jego idee rozpropagować. Ale nadal czuję się bezpieczniej, gdy w lodówce widzę logo OSM Skała niż któreś z tych, o których pisuje „Financial Times". ©℗

Zapytałem Giena Mientkiewicza o bardziej szalone zastosowania twarogu – choć nadal głównie będę go jeść z rzodkiewką albo miodem. Dużo mi opowiadał o „po-twarogu", czyli o tym, co można z nim dalej zrobić – ususzyć, uwędzić, sfermentować. I podzielił się dla nas dwoma pomysłami na trochę inne kluski leniwe. W salaterce kruszymy widelcem 500 g wędzonego twarogu. Dodajemy sól, 2 jaja, 4 łyżki mąki. Mieszamy na jednolitą masę, ale nie przejmujemy się małymi grudkami twarogu. Kluski odrywamy z brzegu miseczki, tak jak się robi kluski kładzione, ale zdecydowanie większe, wrzucamy na osolony wrzątek. Kiedy wypłyną, gotujemy je kilka minut. Hartujemy jeszcze w garnku niewielką ilością zimnej wody i odcedzamy. Jeśli chcemy jeść na słodko – roztapiamy masło na patelni, dokładamy kluski i polewamy miodem. Mieszamy, posypujemy bułką tartą i pozwalamy, aby się podsmażyły na złoto. Przewracamy tylko 2-3 razy, aby zbytnio nie połamać klusek. Wersja słona: na patelni roztapiamy masło, dokładamy kluski, obsypujemy siekanym szczypiorkiem, płatkami czarnego czosnku i ugotowanym, obranym bobem. Doprawiamy pieprzem. Potrząsamy patelnią, aby wszystko się zmieszało.

GRAŻYNA MAKARA

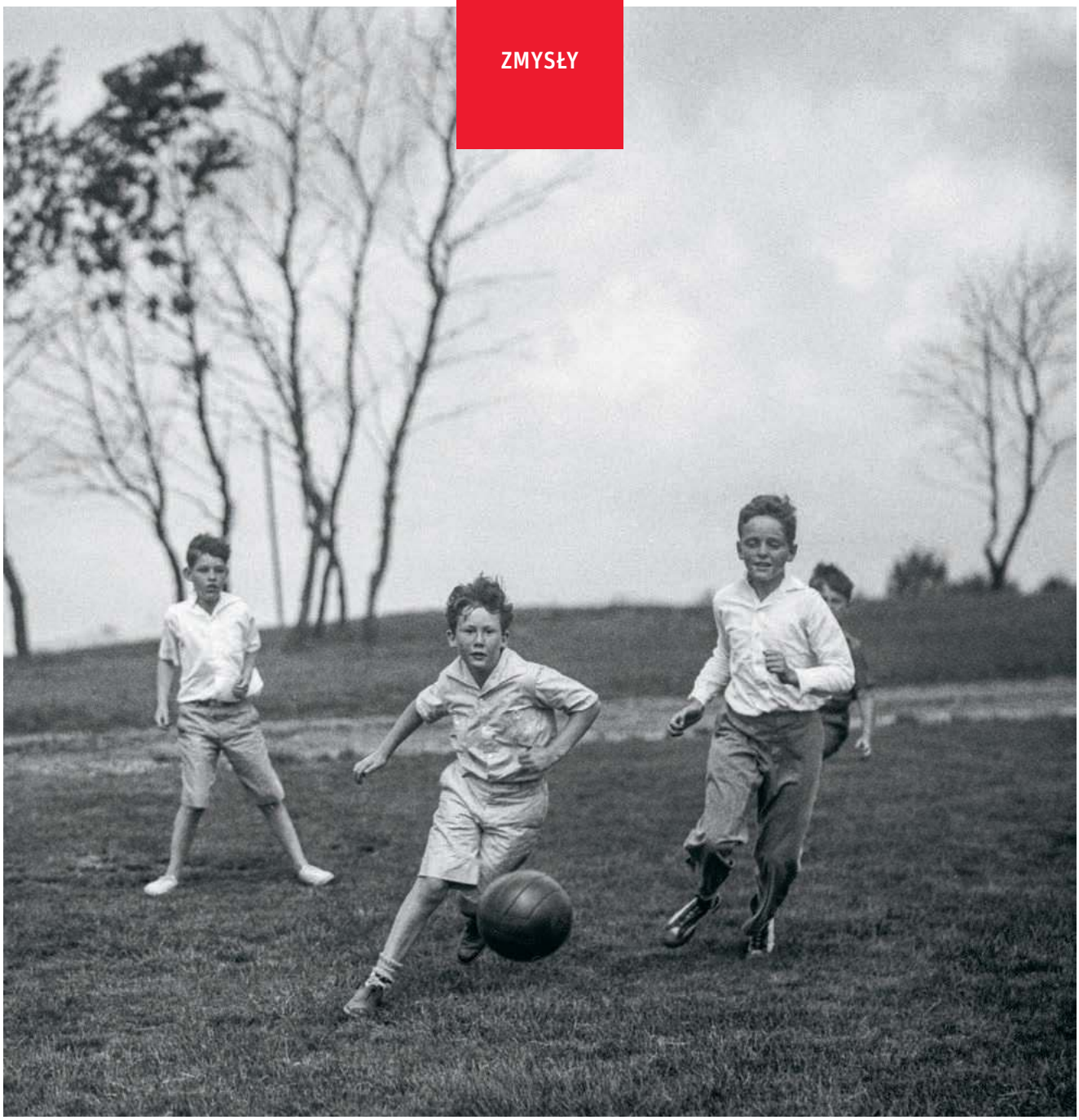

BETTMANN / GETTY IMAGES

Piłka nożna stała się grą dla wszystkich. Grą zglobalizowaną, owszem, ale zarazem mocno zakorzenioną w ziemi, która nie ma wiele wspólnego z tamtym wilgotnym polem za szkołą w Uppingham. Autor nieznany, ok. 1900 r.

TA WSTRĘTNA GRA

Dziś, gdy zaczynają się mistrzostwa Europy, futbol niesie przesłanie wolności, równości i braterstwa. Pomaga zwalczać uprzedzenia i leczyć rany po straszliwej pandemii. Ale nie zawsze tak było.

MICHAŁ OKOŃSKI

Na początku było słowo, lecz nie było to słowo Boga. Nie mówił go człowiek posłany przez Boga, choć za takiego się uważał. Człowiek ten nie był też w swym nauczaniu osamotniony – w drugiej połowie XIX w. takich jak wielebny Edward Thring z Uppingham było dużo, dużo więcej. Może zresztą należałoby napisać, że na początku był strach. Fundamentalny i dotyczący kwestii ostatecznych.

Kiedy dobrze ponad sto lat po szczycie kaznodziejskiej aktywności wielebnego Thringa, w wigilię Bożego Narodzenia 1973 r. legendarny trener Liverpoolu Bill Shankly sformułował najsłynniejsze trzy zdania w dziejach futbolu („Niektórzy ludzie uważają, że piłka nożna jest sprawą życia i śmierci. Jestem mocno rozczarowany takim podejściem. Mogę zapewnić, że to coś o wiele ważniejszego"), mylił się na mnóstwie poziomów. Choć śmierć naznaczyła dzieje jego klubu podczas tragedii na trybunach stadionów Heysel i Hillsborough, to zarówno za czasów Shankly'ego, jak tym bardziej w naszej epoce, piłka jest po prostu sportem. Czymś, co dostarcza rozrywki i pozwala realizować pasje. Wehikułem komercji. W najlepszym przypadku: ważną częścią kultury i użytecznym narzędziem do lepszego rozumienia historii społecznej kontynentów i krajów.

Jeśli jednak wypowiedź szkoleniowca Liverpoolu odczytać na poziomie najgłębszym, wracając zarazem do narodzin uprawianej przez jego podopiecznych dyscypliny, trudno odmówić mu słuszności. Dla ludzi, którzy z prawdziwie misjonarskim zapałem poświęcili się wprowadzeniu piłki nożnej do programu angielskich szkół, a następnie wymyśleniu i ujednoliceniu reguł, wedle których miała być rozgrywana, stawką było coś o wiele ważniejszego niż życie i śmierć. Strach, jaki żywili, wiązał się, owszem, z perspektywą hańbiącego kresu ziemskiego żywota, ale jeszcze bardziej przerażająca była perspektywa wiecznego potępienia.

No dobrze. Na początku był wytrysk.

Ta straszna rzecz

„Być może najlepszym sposobem na zrozumienie tego, jak rodziła się angielska piłka nożna – a w związku z tym cała piłka nożna, jaką znamy – będzie wyobrażenie sobie czegoś diametralnie odmiennego niż stworzenie świata, a przynajmniej stworzenie świata wedle starożytnych Egipcjan" – pisze David Winner w znakomitej książce „Those Feet" (nie od rzeczy będzie zauważyć, że tytuł tego dzieła nawiązuje do pierwszych słów poematu „Jeruzalem" Williama Blake'a; „A czy te stopy w dawnych czasach / Znaczyły Anglii górskie drogi? / I czy Baranek Boży hasał / Po naszej Anglii łąkach błogich?", przeł. Maciej Froński). Nie ukrywajmy: w kosmologii heliopolitańskiej bóg stworzenia Atum powołuje świat do istnienia przez akt masturbacji, Winner więc każe czytelnikowi wyobrazić sobie coś radykalnie innego. Zamiast ciepłej i słonecznej delty Nilu z jego życiodajnymi wylewami, wilgotne i zimne trawiaste pole w pobliżu równie wilgotnych i zimnych murów angielskiej szkoły w połowie XIX wieku. Zamiast egipskiego boga, „Tego, który stworzył sam z siebie" – anglikańskiego kapłana. Na przykład wspomnianego już starszego z braci Thring, Edwarda.

Mówiąc o angielskiej szkole wypada odejść od współczesnych skojarzeń. „Nowe lub zreformowane »szkoły publiczne« w gruncie rzeczy były prywatnymi szkołami z internatem – kształciły głównie synów bogatych rodzin" – zauważa Norman Davies w „Wyspach", a synowie ci (bo przecież nie córki...) wywodzili się wyłącznie z arystokracji bądź z często nuworyszowskiej, rodzącej się na skutek rewolucji przemysłowej burżuazji. Proponowany przez te placówki model wychowania – czy raczej kiełznania owych dość nieokrzesanych młodzieńców – miał się opierać na ideale „muskularnego chrześcijaństwa", patriotyzmu, odpowiedzialnej dyscypliny i służby społeczeństwu – tak to streszcza Davies, zauważając, że pozamykani w dormitoriach chłopcy byli izolowani od miejscowej ludności i że wszystkim wszczepiano ten sam światopogląd, a także ten sam południowoangielski dialekt, choćby byli Walijczykami czy Szkotami.

Opowiadamy tu o miejscach, w których na porządku dziennym była przemoc, kary fizyczne i donosicielstwo. W których za akt „samookaleczenia" (jak nazywano onanizm, kiedy nie mówiono o nim jako o „tej strasznej rzeczy, którą robi się w sekrecie") można było zostać wydalonym. W których o prawie do prywatności nie było mowy: źle widziane było samo przebywanie w czterech ścianach bez obecności towarzyszy. Jakkolwiek to zabrzmi, wzajemne szpiegowanie się przez uczniów miało służyć wytworzeniu atmosfery „czystości".

Jesteśmy bowiem w wiktoriańskiej Anglii. W czasach rygorystycznej moralności i duszących spontaniczność konwenansów. W czasach obsesyjnej kontroli wszystkiego, co kojarzy się (albo choćby może się kojarzyć) z seksem. W czasach przekonania, że ciało jest w pierwszym rzędzie siedliskiem grzechu, a największymi zagrożeniami dla rozwoju człowieka są rozprzężenie, lenistwo i właśnie fizyczne pokusy.

Ta dzika bestia

Rzecz w tym, że w postaci, pod jaką znamy ją dzisiaj, piłka nożna rodziła się niejako w odpowiedzi, a w każdym razie nie bez związku z represyjnym klimatem tamtego czasu. Opiekunowie brytyjskich szkół – jedną z najważniejszych postaci miejscowego systemu szkolnictwa był właśnie Edward Thring – uznali, że najlepszą obroną przed praktykami masturbacyjnymi, które daremnie usiłowali wyplenić w licznych kazaniach, jako wiodącymi do „haniebnych i przedwczesnych śmierci", będzie rozwój sportów drużynowych.

David Winner rzuca ową antymasturbacyjną obsesję na szersze tło. Pisze o lęku i niepewności, spowijających potężne jeszcze wówczas imperium, a wiążących się z perspektywą osłabienia jego supremacji (zmierzch cesarstwa rzymskiego, jak wynika z ówczesnych odczytań dzieła Edwarda Gibbona, był tak naprawdę skutkiem dekadencji i utraty seksualnej samokontroli jego przywódców; najazdy barbarzyńców i rozkwit chrześcijaństwa nadeszły później), o traumie wywołanej np. śmiercią Charlesa Gordona i triumfem Mahdiego w Chartumie. Cytuje obserwację zajmującego się dziejami XIX-wiecznej męskości Johna Tosha, że podobne obsesje zwykle wiążą się ze znanymi psychoanalitykom przeniesieniami, projekcjami lub przemieszczeniami, wraz z dosadnym podsumowaniem, że zamiast zająć się tym, co dzieje się z imperium, ówcześni poddani królowej woleli martwić się o to, co dzieje się z ich (proszę mi darować to słowo, ale cytuję cenionego brytyjskiego historyka) „wackami".

Autor „Those Feet" przypomina też, że seksualne niepokoje znajdowały odzwierciedlenie w literaturze tamtych ↦

czasów – pisze o popularności takich przeciwstawień jak Van Helsing i Drakula, Jekyll i Hyde, Holmes i Moriarty, gdzie po jednej stronie były dobro, opanowanie i rozum, po drugiej zaś zło, chaos i żądza. Pisze również o lęku przed kobiecością (był to czas, kiedy kobiety zaczynały już żyć samotnie, nosić spodnie, jeździć na rowerach i czytać „podejrzane" książki). Co ciekawe: w przypadku kobiet – sprowadzanych w dominującym dyskursie do roli „anioła w domu" – o istnieniu energii seksualnej nie mogło być mowy, lekarze tamtych czasów kwestionowali jej istnienie; to zadaniem mężczyzny było „ujarzmienie drzemiącej w nim bestii".

To przeklęte myślenie

Męskość, dość specyficznie rozumiana, była więc wtedy na ustach wszystkich, także pionierów futbolu. Arthur Conan Doyle, skądinąd utalentowany bramkarz i obrońca współzakładanego przez siebie Portsmouth FC, pisał, że „lepiej, aby nasz sport był trochę zbyt brutalny, niż żeby miał stać się zniewieściały".

Wielu historyków brytyjskiej piłki zastanawiać się będzie w przyszłości, czy utrzymująca się aż do naszych czasów tamtejsza nieufność do błyskotliwych dryblerów i filigranowych rozgrywających, a zarazem kult ociekających krwią z rozbitego łuku brwiowego twardych obrońców, podobnie jak niechęć do sprytu i taktyki, a zarazem uwielbienie dla kondycji i krzepy, nie mają swego źródła właśnie w czasach wiktoriańskich. Piłkarz na boisku, tak samo jak żołnierz w okopach (Norman Davies cytuje pieśni, w których dzielność zawodnika przekłada się wprost na dzielność piechura: „Pułkownik padł, karabin głucho szczeknął", ale „chłopięcy głos znów podrywa szeregi: »Graj dalej! Graj! Masz rozegrać ten mecz!«"), ma być przede wszystkim waleczny. Nie może być artystą, nie może być delikatny. Nie powinien płakać. Co oczywiste: nie może za dużo myśleć.

Dla kogoś, kto bacznie obserwuje futbol z Wysp, wydaje się oczywiste, że nieco topornemu Wayne'owi Rooneyowi o wiele łatwiej było podbić serca rodaków niż metroseksualnemu Davidowi Beckhamowi. A o tym, że myślenie szkodzi, mówił wprost do tysięcy swoich słuchaczy jeden z przywódców czystościowej krucjaty w wiktoriańskiej Anglii, Alfred Dyer. Zamiast „tej strasznej rzeczy robionej w sekrecie", która tysiące najlepszych synów ojczyzny zabija lub zamienia w idiotów – perorował – powinno się więcej jeździć na trycyklu, uprawiać sporty zespołowe, ewentualnie pójść porąbać drzewo lub ruszyć na długi spacer, po których to czynnościach można się wreszcie położyć do łóżka porządnie zmęczonym (i, broń Boże, nie myśleć przed zaśnięciem!).

Analizująca podobne wypowiedzi w rozprawie „James Joyce, Sexuality and Social Purity" historyczka Katy Mullin zauważa z humorem, że jak na czasy przed Freudem przystało, nie brakowało w nich fraz, które ojca psychoanalizy doprowadziłyby do wzniesienia brwi, w stylu: „Młody człowieku, weź się mocno w garść". Jej kluczowa obserwacja brzmi jednak serio. „Panika związana z masturbacją była tak powszechna, że samotność, prywatność, indywidualizm, stały się czymś podejrzanym – pisze. – A wszelkie sporty zespołowe, z futbolem na czele, potraktowano jako antidotum". Trudno się więc dziwić, że rewolucjonizując program nauczania w Uppingham School, Edward Thring wprowadził doń obowiązkowe zajęcia z krykieta, futbolu i gier okołopodobnych, a skupowaniem terenów nadających się na boiska zajmował się równie intensywnie jak sprawdzaniem, czy uczniowie trzymają ręce na kołdrach.

> Opiekunowie brytyjskich szkół uznali, że najlepszą obroną przed praktykami masturbacyjnymi **będzie rozwój sportów drużynowych.** I takie są początki współczesnego futbolu.

Ten kulisty przedmiot

W jego krucjacie pozostawał wszak pewien słaby punkt. Za piłką uganiano się, kopano ją i rzucano w Anglii od wieków. Była to jedna z ulubionych rozrywek ludu w czasie świątecznym: w czymś, co od biedy uznać można było za mecze, uczestniczyły setki mężczyzn, przy braku lepszego sprzętu posługując się czasem głową owcy bądź Wikinga.

Nie ukrywajmy: rozgrywka należała do niezwykle brutalnych, a efektem bezpardonowej walki o ów kulisty przedmiot były nie tylko wybite szyby czy połamane nogi, ale także wypadki śmiertelne, co jakiś czas więc angielscy władcy zwyczajnie jej zabraniali. „Ponieważ gonitwy za piłką w miejscach publicznych powodują wiele zgiełku, z którego może wynikać wiele zła zabronionego przez Boga, w imieniu króla zakazujemy pod karą uwięzienia uprawiania tej gry w przyszłości w mieście" – ogłaszał mer Londynu Nicholas de Farndone już w 1314 r. Zakaz szybko jednak uchylono i jeden z XV-wiecznych kronikarzy wyrzekał, że „ta wstrętna gra" jest bardziej rozpowszechniona, niegodna i bezwartościowa niż jakikolwiek inny rodzaj zabawy. Czy nie lepiej – proponowali kolejni monarchowie – byłoby rozwijać szlachetną pasję łucznictwa?

Nieodżałowany Wiktor Osiatyński w swoim „Przez Wembley do Monachium" cytuje pracę W.B. Johnsona z 1929 r., zatytułowaną „Futbol jako przeżytek magii" – jej autor dowodzi, że boje między wioskami miały charakter rytualny, a w zdobyciu piłki i zatrzymaniu jej we własnej miejscowości mogło chodzić o zatrzymanie słońca w celu zapewnienia dobrych plonów; jednak jesteśmy niedaleko heliocentrycznego Egiptu. Rewolucja przemysłowa i urbanizacja osłabiły wprawdzie popularność tej zabawy, ale akurat to nie martwiło wielebnego Thringa. Większym problemem był brak czytelnych reguł, wedle których mogłaby toczyć się gra.

Jak bowiem ustalić zasady rywalizacji drużyn reprezentujących dwie szkoły albo (zakładane początkowo głównie przez byłych absolwentów tychże, czyli tzw. oldbojów) dwa kluby? Czasami przed meczem spotykali się kapitanowie i próbowali coś uzgodnić, ale coraz częściej różnice okazywały się zbyt wielkie, i nie chodziło bynajmniej tylko o to, na jakim boisku, w jakim czasie, jaka liczba uczestników i jakiej wielkości bramkę będzie atakować. Najbardziej

fundamentalne debaty dotyczyły kwestii, czy piłkę można jedynie kopać i biec z nią przy nodze (podawanie długo uchodziło za niemodne – współpraca między zawodnikami polegała na tym, że jeden pędzi, a reszta, zwykle stojąca niżej w społecznej hierarchii, udziela mu wsparcia w przypadku straty), czy także łapać ją w ręce, jak w rugby. Oraz – znów jak w przypadku rugby – czy można przeciwnika łapać, przepychać i podcinać.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Pastor Edward Thring

To nieangielskie podcinanie

W 1862 r. młodszy brat Edwarda, J.C. Thring, publikuje zbiór zasad, zatytułowany skądinąd „Najprostsza gra" i – wzorem Mojżesza – próbujący zmieścić wszystko w dziesięciu przykazaniach. Rok później powstają „Zasady futbolu Uniwersytetu Cambridge", a grupa absolwentów tej uczelni – z młodszym Thringiem między nimi – spotyka się w londyńskiej Old Freemasons Tavern, zakłada Football Association, angielski związek piłkarski, i z zapałem poświęca się kolejnym kodyfikacjom.

Także w tym przypadku o rozumienie męskości (oraz o autodefinicję Anglika) chodzi równie mocno jak o to, czy sznurek między słupkami powinno się rozwiesić na wysokości ok. 240 cm. Jakkolwiek portretuje sir Arthura Kinnairda, wieloletniego prezesa Football Association, dostępny na Netfliksie serial „Angielska gra", on również był jednym z liderów krucjaty na rzecz czystości. Choć to, jak grał, dobrze streszcza anegdota, w której matka sir Arthura zwierza się przyjaciółce z lęku, że jej ukochany syn wróci kiedyś z meczu ze złamaną nogą, by usłyszeć w odpowiedzi: „Proszę się nie martwić, madam, to z pewnością nie będzie jego noga".

Pierwsi kodyfikatorzy futbolu spierali się więc, czy zawodnikom powinno się zabronić podcinania i chwytania rywali – oraz jak ewentualny zakaz wpłynie na ich morale. J.C. Thring, niejako wtórując Conan Doyle'owi, obstawał, że choć futbol z samej swojej istoty jest twardy i nie powinien stać się „zniewieściały", to jednak celowe kopnięcie rywala w nogę nie jest ani męskie, ani *fair*: „nie zawahałbym się nazwać go barbarzyńskim i nieangielskim". Reprezentujący Blackheath Club niejaki F.W. Campbell uważał jednak, że to w podcinaniu zawiera się istota futbolu, jego przeciwnicy zaś są grupą mięczaków, którzy „wyżej cenią ćmienie fajki i łyk grogu od prawdziwie męskiej gry". „Jeśli tego zabronicie – wywodził – pozbawicie nasz sport całej odwagi i śmiałości, ja zaś poczuję się zobligowany przywieźć wam tabun Francuzów, którzy pokonają was po tygodniu treningów".

„Jak widać, w sporcie chodziło o ból, brutalność i męstwo – podsumowywał tę logikę historyk futbolu Jonathan Wilson w klasycznym dziele „Odwrócona piramida" – a gdyby rzecz sprowadzić do umiejętności, wygrywać mógłby byle obcokrajowiec".

Te piękne mistrzostwa

W 2021 r., w przededniu kolejnych mistrzostw Europy, rzecz sprowadza się jednak do umiejętności, a piłka nożna dawno już nie jest angielską grą. Nawet jeśli początkowo to właśnie poddani Wiktorii, Edwarda VII czy Jerzego V uczyli jej podstaw mieszkańców globu zafascynowanych wszystkim, co brytyjskie, to nie sposób np. przecenić roli, jaką w rozwoju południowoamerykańskiego futbolu odegrali opuszczający swój kraj w międzywojniu Węgrzy (inna sprawa, że w 1953 r. reprezentacja Węgier dała również bolesną lekcję nowoczesnej piłki Anglikom, gromiąc ich na Wembley 7:1).

Mówiąc prościej: futbol stał się grą austriacką i węgierską, brazylijską, argentyńską i urugwajską, włoską i – nade wszystko, zważywszy fenomen Johana Cruyffa oraz jego amsterdamsko-katalońskie dziedzictwo – holenderską. Jego lokalne interpretacje potrafią naprawdę wiele powiedzieć o kulturze i historii danego miejsca (czy kojarzenie szarż husarii z kontratakami polskich drużyn, a ubóstwa tutejszej myśli szkoleniowej z frazą z „Pana Tadeusza": „Ja z synowcem na czele, i – jakoś to będzie" jest tylko publicystycznym nadużyciem?).

Mówiąc jeszcze prościej: piłka nożna stała się grą dla wszystkich. Grą zglobalizowaną, owszem (widać to choćby po koszulkach reprezentacji, które uczestniczą w Euro, dostarczanych przez kilka zaledwie koncernów i boleśnie do siebie podobnych), ale zarazem mocno zakorzenioną w ziemi, która nie ma wiele wspólnego z tamtym wilgotnym polem za szkołą w Uppingham.

Kiedy piszę, że piłka stała się grą dla wszystkich, mam na myśli także uprawiające tę dyscyplinę, komentujące ją i kibicujące jej kobiety. Mam na myśli gejów, których obecność w świecie futbolu staje się dziś równie oczywista, jak oczywista była (choć piętnowana niemal równie mocno jak masturbacja) w tamtych angielskich szkołach. Mam na myśli odmieniające oblicze poszczególnych reprezentacji „starej Europy" dzieci migrantów. Mam na myśli zawodników klękających przed pierwszym gwizdkiem w akcie niezgody na wszelką dyskryminację i nierówność (choć zaczęli to robić po śmierci George'a Floyda, nie chodzi tylko o dyskryminację rasową).

Jeśli powyższy akapit niejednemu czytelnikowi wydał się może zbyt kaznodziejski, ufam, że nowina w nim zawarta jest jednak lepsza od nowin wielebnego Thringa.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Do księgarń trafiła właśnie książka Michała Okońskiego „Światło bramki", a jego teksty na temat mistrzostw Europy będą dostępne regularnie na stronie internetowej „Tygodnika Powszechnego".

STANISŁAW

Mancewicz:
O prawdziwym buncie

My tu sobie gadu-gadu, a gdzieś w przepastnych studiach tutejszego Hollywood powstaje film o Jarosławie Kaczyńskim, jako człowieku zbuntowanym. Jest to informacja – każdy to przyzna – nienadająca się na główny temat jakiegokolwiek felietonu. Jest to jakby zwykły wycinek prasowy albo gotowa fiszka – dobre do włożenia do pudełka, w którym trzymamy inne, podobne, czekające jako pomoc źródłowa do przyszłego bardzo obszernego opracowania na temat obecności kultu jednostki w kinematografii polskiej pierwszych trzech dekad XXI wieku.

Zaiste, zajmowanie się – nawet dla zabawy – heroizowanym scenariuszem, mającym pokazać życie działacza partyjnego o umysłowości splątanej w stu najdziwaczniejszych motkach, nie może wydawać się ponętne dla nikogo zajmującego się zwartą i krótką formą, wymagającą przecież znakomitej gibkości i skrajnie wyćwiczonego rozumu. O p. Kaczyńskim jako buntowniku może sobie rozwlekle opowiadać aktyw partyjny przy karkówce i nalewce, może o tym gwarzyć godzinami p. Gowin z p. Czarnkiem na jakiejś konferencji humanistów polskich, najlepiej w Lublinie, może być to też pomysł na tematyczny festiwal Zbuntowanej Pieśni Kaczyńskiej, dajmy na to w Zielonej Górze, albo i w Jeleniej. Ale felietonu o zbuntowaniu p. Kaczyńskiego napisać się po prostu nie da.

Rzecz jasna nie w głowie nam sprzeciw wobec kręcenia filmów o Kaczyńskim. Nie o takich ludziach filmy kręcono, i nie o takich zostaną jeszcze nakręcone. Wydaje się, że ogólnie rzecz ujmując, pomysł kręcenia o nim filmu ma jakiś sens, ale ów sens, jak większość czynności, gdy się jest artystą, dokumentalistą, kreatorem jakiejś rzeczywistości, wymaga poważnego przemyślenia. No więc siedzimy tak oto – nie da się ukryć – martwo zastanawiając się, dlaczego jednak komuś przyszło do głowy kręcenie filmu, który musi być i będzie w perspektywie – powiedzmy – dwu, trzech dziesięcioleci materiałem bohatera gruntownie ośmieszającym. Ludzie, którzy o zbuntowaniu p. Kaczyńskiego będą przed kamerami mówić, muszą mieć tego świadomość. Takoż, że – powiedzmy: kilkadziesiąt lat temu – można było film zanadto śmieszny, bo ideologicznie przebarwiony, po prostu wyrzucić do kosza, teraz zaś nic – póki jest prąd – nie ginie i nie zginie. Dzieci, wnuki i prawnuki będą na swych pradziadów, mówiących dziwne rzeczy o tym dziwnym panu, patrzyć dziwnie. To pewne. Oczywiście dlatego, że nic takiego jak bunt u p. Kaczyńskiego, człowieka od dziesięcioleci otoczonego wieloma pierścieniami ochroniarzy prywatnych i państwowych, nie istnieje ani nie istniało.

Słowo bunt ma oczywiście swe definicje i jako fakt, i jako parabola, i doprawdy nic z tego nie pasuje do żywota bohatera. Jest to z naszego – buntowniczego od dziecka – punktu widzenia zwykły żywot, bardzo zwykłego urzędnika i polityka tutejszego głównego nurtu, mającego głowę ozdobioną polskim warkoczem, czyli spleceniem manii wyższości z manią niższości, ze skłonnością do paniki i furii, co jest w tym przypadku przecież dowodem na brak treningu w obcowaniu z bliźnimi niż jakąś trudną do przewidzenia taktyką manipulacyjną czy elementem wyuczonej techniki. Rzecz jasna, jakże wielu ludzi p. Kaczyńskiego się z tych powodów lęka, ale bądźmy mężni, do diaska, onże może i jest cezarem środkowoeuropejskiego państwa, może i może mianować konia ministrem, co zresztą w Polsce zdarza się co rusz, ale doprawdy człowiek ten nigdy przeciw niczemu się nie buntował, nie buntuje się i nie zbuntuje, a więc – powtórzyć wypada – pisanie o tym felietonu nie ma żadnego sensu.

Po co zatem to wszystko? Ta cała bazgranina? Ano po to, by na końcu powiedzieć, że w Libii – panie dziejku – dron podjął samodzielnie decyzję w ramach swej inteligencji, zaznaczmy: sztucznej. Jest to zatem dron – najściślej rzecz ujmując – zbuntowany. I to jest bunt dobry na film, a nie za przeproszeniem p. Kaczyński, wymęczony co cna obecnością setek ochroniarzy, radiowozów i bezustannymi wizytami przeuroczego p. Brudzińskiego z siatami pełnymi zakupów. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

pani łąka

ZAPRASZAM DO SKLEPU
Z MIESZANKAMI NASION
ŁĄK KWIETNYCH

Natalia Podyma

www.panilaka.pl

REKLAMA

Spis przez Internet? To proste!

Spis powszechny to:

- Obowiązkowe badanie realizowane raz na 10 lat przez Główny Urząd Statystyczny
- Ustawowa gwarancja ochrony Twoich danych
- Nowoczesna i bezpieczna formuła spisu online

Do 30 września trwa Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021. Nie czekaj, aż zadzwoni do Ciebie rachmistrz. Spisz się przez Internet!

Wypełnij formularz przez Internet

To najszybszy sposób realizacji ustawowego obowiązku spisowego! Formularz zawiera kilkanaście pytań, a jego wypełnienie zajmuje kilka minut. To proste i bezpieczne. Gwarantuje to tajemnica statystyczna.

Jak to zrobić?

1. Wejdź na stronę spis.gov.pl
2. Zaloguj się w wybrany sposób:
   - poprzez Krajowy Węzeł Identyfikacji Elektronicznej (profil zaufany, bankowość elektroniczna),
   - przy użyciu numeru PESEL, nazwiska panieńskiego matki i definiowanego hasła,
   - z wykorzystaniem e-maila i definiowanego hasła – w przypadku osób nieposiadających numeru PESEL.
3. Wypełnij formularz spisowy.

Pamiętaj, że od pierwszego poprawnego logowania masz 14 dni na wypełnienie formularza.
Podaj w nim dane według stanu na 31.03.2021 r.

Nie czekaj – wygraj nagrody!

Osoby, które spiszą się przez Internet, mogą wziąć udział w loterii.
Szczegóły na loteria.spis.gov.pl

Wejdź na spis.gov.pl i spisz się!

Liczymy się
DLA POLSKI!

GUS | Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021